Najnowszy bestseller

Tessa Dare

Romantyczny książę

AMBER

Romans historyczny

TESSA DARE

Romantyczny książę

Przekład
Agnieszka Dębska

AMBER

Korekta
Barbara Cywińska
Renata Kuk

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© VJ Dunraven/Fotolia
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
Romancing the Duke

Copyright © 2014 by Eve Ortega.
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6523-0

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Każdemu, kto kiedykolwiek był fanem czegoś.
A także Tessie Woodward, która nie ma większej fanki ode mnie.

1

Imiona, jakie nosiła – Izolda Ofelia – wróżyły jej raczej tragiczne życie. Izzy Goodnight tak właśnie widziała swoją sytuację. Straciła wcześnie matkę, a teraz i ojca. Była bez grosza. Bez przyjaciół.

Ale nie bez nadziei.

Jeszcze nie.

Jeszcze coś ją czeka.

Albowiem imiona Izolda i Ofelia przywodziły również na myśl romans. Oszałamiający, naznaczony przez los, baśniowy romans. Ona zaś, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, czekała z malejącą nadzieją i rosnącym zniecierpliwieniem, aby ten etap jej życia wreszcie się rozpoczął.

Odkąd była już na tyle duża, by zrozumieć, że matka nie żyje, pocieszała się świadomością, że to konieczny element wyśnionej przez nią opowieści. Bohaterki baśni nigdy nie miały matek.

Gdy papa wydał więcej, niż mu na to pozwalały dochody, i trzeba było zwolnić służącą, powiedziała sobie, że ciężka praca kiedyś się jej opłaci. Wszyscy przecież wiedzą, że Kopciuszek musiał szorować podłogi, nim zdołał zdobyć przystojnego księcia.

Kiedy skończyła piętnaście lat, ich sytuacja finansowa polepszyła się dzięki pisarskiemu sukcesowi papy. Wciąż jeszcze brakowało księcia z bajki, ale mogła na niego poczekać; powtarzała sobie, że kiedy dorośnie, jej duży nos stanie się mniej widoczny, a niesforne kręcone włosy jakoś się w końcu ułożą.

Nos jednak był nadal wydatny, a włosy wciąż niesforne. Brzydkie kacząteczko nie przeobraziło się w łabędzia.

Kiedy skończyła siedemnaście lat, wcale nie ukłuła się w palec jak Śpiąca Królewna.

Kiedy liczyła ich sobie dwadzieścia jeden, życie zmusiło ją, by zmierzyła się z przykrą prawdą gdzieś na drodze między Maidstone a Rochester. Prawdziwi rozbójnicy nie byli ani zabójczo przystojni, ani czarujący. Chcieli pieniędzy, i to szybko, a Izzy powinna była się cieszyć, że nią samą nie zainteresowali się ani trochę.

Pozbywała się wszelkich dziewczęcych rojeń, jednego po drugim.

Aż wreszcie rok temu papa zmarł i nie było już żadnych opowieści na dobranoc. Pieniędzy zabrakło wkrótce potem i Izzy po raz pierwszy w życiu była bliska prawdziwej rozpaczy.

Skończyły się marzenia o romansie. Teraz musiała myśleć o tym, z czego jej przyjdzie żyć. Jakaż czarodziejska baśń pozostała jeszcze zubożałej dwudziestoszścioletniej kobiecie, która miała nader nieciekawą powierzchowność i nigdy się nawet nie całowała?

Właśnie ta.

Ściskała kurczowo w dłoni list napisany czarnym atramentem na białym papierze.

To była jej ostatnia nadzieja. Starała się nie trzymać go w palcach zbyt mocno ze strachu, że może się rozwiać jak dym.

Szanowna Panno Goodnight!

Jako wykonawca testamentu mam obowiązek powiadomić Panią, że zmarł hrabia Lynforth. Pozostawił on Pani – podobnie jak każdej ze swoich chrześniaczek – pewien legat. Proszę się ze mną spotkać w Gostley Castle koło Woolington dwudziestego pierwszego czerwca, by omówić szczegóły tyczące spadku.

Pozostaję z szacunkiem

Fryderyk Trent, lord Archer

Spadek! Może ze sto funtów! Nawet dwadzieścia byłoby istną manną z nieba. Zostało jej już tylko parę szylingów i jeden pens.

Kiedy jednak ujrzała Gostley Castle, gwałtownie nabrała tchu.

Z daleka mógł wyglądać romantycznie, jak spiętrzona masa przeróżnych wieżyczek, okolona murem z blankami i wznosząca się wysoko wśród falujących zielonych pól. Park, w którym stał, tak bardzo jednak zgęstniał i zarósł wskutek zaniedbania, że nim jeszcze ujrzała samą budowlę, już padł na nią mroczny cień.

Ten zamek nie wyglądał przyjaźnie, jego widok nie był czarujący.

Przejmował lękiem.

Groził.

Niemalże zdjął ją strach, że może jej zrobić coś złego.

– To tutaj, panienko.

Najwyraźniej woźnicy zamek też się nie spodobał. Zatrzymał powóz w sporej odległości od domku odźwiernego, stojącego nieopodal kamiennej bramy wjazdowej.

Kiedy już pomógł jej wysiąść, podniósł kołnierz płaszcza i wyładował jej bagaż: jeden mocno zużyty sakwojaż. Postawił go na kamiennych stopniach wiodących do bramy, cofnął się pospiesznie, wsadził ręce w kieszenie i chrząknął wymownie. Czekał.

Izzy wiedziała na co. Zapłaciła mu już w Woolington, bo nie chciał się zgodzić, żeby zawieźć ją tutaj bez zapłaty z góry, ale teraz pragnął jakiejś dodatkowej sumy, z samej wdzięczności. Wygrzebała z sakiewki sześciopensówkę. W środku zostało tak niewiele monet, że nawet nie zabrzęczały.

Woźnica schował pieniążek do kieszeni i dotknął daszka czapki.

– Jak tam pani gadała, że się nazywa?

– Goodnight. Panna Izzy Goodnight.

Spodziewała się, że rozpozna jej nazwisko. Zrobiłaby tak w tym kraju większość ludzi umiejących czytać, a także sporo osób z ich służby.

Ale woźnica burknął tylko:

– Może ta kto przylezie i będzie się mnie pytał, jakby o pani nikt więcej nie słyszał. No to chciałem wiedzieć.

Izzy roześmiała się. Czekała, aż i on się zaśmieje.

Nie zrobił tego.

Wkrótce po powozie, woźnicy i zaprzęgu pozostał jedynie cichnący turkot kół.

Izzy podniosła sakwojaż i weszła w bramę. Po kamiennym moście przeszła nad czymś, co niegdyś było fosą, ale teraz zmieniło się w mulisty, zarośnięty rów.

Przed podróżą zapoznała się z tym, co na temat zamku mogła przeczytać. Nie dowiedziała się zbyt wiele. Tylko tyle, że Gostley Castle był siedzibą domu książęcego Rothbury od czasów Normanów.

Nie wyglądało na to, żeby ktoś w nim teraz mieszkał. W wielu oknach brakowało szyb i wcale się w nich nie świeciło. Wejście powinna była zasłaniać spuszczana krata, ale brakowało jej tutaj, podobnie jak drzwi.

Izzy minęła sklepione przejście i weszła na dziedziniec.

– Lordzie Archer! – zawołała. Jej głos zamarł w ciszy. Spróbowała ponownie: – Czy jest pan tam, lordzie Archer?

Tym razem echo odbiło się od murów, ale znów bez odpowiedzi.

Była zupełnie sama.

Oszołomiona dziwnym otoczeniem i osłabiona głodem, zamknęła oczy. Z trudem zaczerpnęła tchu.

Nie wolno ci zemdleć. Mdleją tylko niedorajdy i suchotnice, a ty nie należysz ani do jednych, ani do drugich.

Zaczęło padać. Duże, ciężkie krople letniego deszczu zawsze robiły na niej wrażenie czegoś nieprzyzwoicie rozwiązłego. Niczym rechoczący, brzuchaci pijacy rozpryskiwały się radośnie na ziemi.

Izzy mokła, ale alternatywa – szukanie schronienia pod którymś z mrocznych łuków – była jeszcze mniej pociągająca.

Jakiś szmer sprawił, że podskoczyła gwałtownie i rozejrzała się wokoło. To zerwał się do lotu kruk. Widziała, jak przeleciał nad murem zamkowym i zniknął.

Zaśmiała się słabo. Doprawdy, tego już za wiele. Rozległy, niezamieszkany zamek, deszcz, a teraz jeszcze i kruki! Ktoś spłatał jej okrutnego figla.

W tejże chwili dostrzegła w mrocznym, sklepionym przejściu za dziedzińcem jakiegoś mężczyznę.

Jeśli miał to być figiel, w takim razie wcale nie okazał się okrutny.

W naturze istnieją rzeczy piękne dzięki swej subtelnej strukturze i symetrii: kwiaty, muszle małży morskich, skrzydła motyli. Ale są też i takie, które swoje piękno zawdzięczają dzikości i niezgodzie na jej poskromienie: ośnieżone góry, chmury burzowe, kudłate lwy o ostrych kłach.

Mężczyzna, którego niewyraźną sylwetkę widziała przed sobą, stanowczo należał do tej drugiej kategorii.

Tak samo zresztą jak podobny do wilka pies siedzący u jego boku.

Chyba to nie wilk, pomyślała, tylko jakaś rasa psa. Przecież wilki od dawna wytępiono. Ostatni wilk angielski zdechł wiele lat temu.

Tylko że mężczyzn takich jak ten, któremu się przyglądała, też chyba od dawna nie ma.

Przestąpił z nogi na nogę, a wtedy jakiś słaby odblask oświetlił dół jego twarzy. Ujrzała szerokie, zmysłowe usta i kanciasty podbródek ocieniony bokobrodami. Zbyt długie włosy opadały mu na kołnierz. Miał na sobie tylko rozpiętą pod szyją koszulę, widoczną spod surduta. Spodnie z koźlej skóry okrywały go od wąskich bioder po muskularne łydki, ale stopy tkwiły w zużytych, zakurzonych heskich butach.

Och, jakże wielką słabość miała do podniszczonych butów. Rozpaczliwie wręcz pragnęła wiedzieć, jakie drogi przewędrowały.

Serce zaczęło jej bić znacznie szybciej, co przy osłabieniu i zawrotach głowy wcale nie było korzystne.

– Czy jest pan lordem Archerem? – spytała.

– Nie – odparł posępnie.

Jego pies warknął groźnie.

– A… czy lord Archer tu przyjechał?

– Nie.

– Czy jest pan dozorcą? Kiedy się go pan spodziewa?

– Nie jestem. I nie wiem.

Czyżby w jego głosie dosłyszała rozbawienie?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Dostałam list. Od lorda Archera. Prosił mnie, żebym się tu z nim dzisiaj spotkała w sprawie spadku po zmarłym hrabim Lynforth, który zostawił mi jakiś legat. – Drżącą dłonią wyjęła list. – Oto on. Chce go pan może przeczytać?

Jeden kąt szerokich ust uniósł się nieznacznie.

– Nie.

Izzy złożyła list najspokojniej, jak tylko mogła, i wsunęła go z powrotem do kieszeni.

Wsparł się ramieniem o sklepione przejście.

– Czy nadal będziemy to ciągnąć?

– Co?

– Tę grę. – Głos miał tak niski, że zdawał się dobiegać do niej tuż znad kamiennych płyt, którymi wyłożony był dziedziniec, a potem wnikać w nią przez podeszwy stóp. – Czy jestem rosyjskim księciem? Nie. Czy moim ulubionym kolorem jest żółty? Nie. Czy się sprzeciwię temu, by pani weszła do środka i zdjęła swoją przemoczoną do suchej nitki odzież? – Jego głos, choć zdawało się to niemożliwe, zszedł jeszcze niżej. – Nie.

Żarty sobie z niej stroił.

Izzy przycisnęła kurczowo sakwojaż do piersi. Nie chciała, żeby Śnieżynka ucierpiała od wilgoci.

– Czy pan wszystkich swoich gości traktuje w ten sposób?

Nazwała siebie w myśli idiotką i zebrała całą odwagę, by znieść kolejne szydercze „nie”.

– Tylko piękne panie.

Och, Boże. Powinna to była przewidzieć wcześniej. Zmęczenie i głód zaszkodziły jej. Z trudem mogła uwierzyć w ten zamek, w te kruki, w nagłe pojawienie się wysokiego, posępnego, przystojnego mężczyzny. Czyżby on z nią flirtował?

Chyba ma halucynacje.

Deszcz rozpadał się na dobre, niecierpliwie dążąc z chmur ku ziemi. Izzy patrzyła, jak jego krople rozpryskują się na kamiennych płytach. Każda z nich zdawała się sprawiać, że kolana pod nią coraz bardziej słabły.

Ściany zamku zaczęły się chwiać, widziała coraz mętniej.

– Ja… proszę mi wybaczyć… ja…

Sakwojaż Izzy padł na ziemię.

Pies zawarczał donośnie.

Mężczyzna wysunął się z cienia.

A wtedy Izzy straciła przytomność.

Dziewczyna osunęła się na kamienne płyty z głuchym plaśnięciem.

Ransom skrzywił się ironicznie. Mimo wszystkiego, co się zdarzyło, wciąż jeszcze mógł przyprawiać kobiety o zemdlenie. W taki czy inny sposób.

Gwizdnął z cicha na Magnusa. Gdy pies skończył uważnie obwąchiwać kobietę, Ransom odsunął go i sam z kolei zabrał się do niej.

Przejechał dłońmi po bezwładnym ciele leżącym przed nim. Mokry muślin, znoszone buty. Małe dłonie, smukłe nadgarstki. Była bardzo drobna, a składała się niemal z samych spódnic i włosów.

I to jakich włosów. Gęstych, kędzierzawych, obfitych.

Wyczuł na swojej dłoni słaby, ciepły oddech. Przesunął ją niżej, szukając serca.

Natknął się na pełną, krągłą pierś.

Przeniknął go jakiś nieproszony odruch. Nie pożądanie, jedynie męskie zaciekawienie. Nie powinien jednak dłużej myśleć o niej jako o dziewczynie. Stanowczo była już kobietą.

Zaklął. Nie życzył sobie żadnych gości. A zwłaszcza gości płci żeńskiej. Miał już po uszy wizyt córki miejscowego proboszcza, panny Pelham. Nachodziła go w zamku prawie co tydzień, narzucając mu się z czytaniem kazań albo z innymi bzdurami.

Ale kiedy radośnie wspinała się na wzgórze, dźwigając koszyk z wiktuałami na ramieniu, spodziewała się przynajmniej, że zobaczy okaleczony ludzki wrak, i była o wiele za rozsądna, żeby mdleć na jego widok.

Kobieta, która padła przed nim na kamienne płyty, nie spodziewała się, że ujrzy Ransoma.

Co ona takiego mówiła o jakimś lordzie Archerze? Miała ze sobą list, który to wyjaśniał, lecz nie mógł sobie teraz zawracać nim głowy. Musiał wnieść ją do środka i ogrzać, wlać jej whisky i mleka do herbaty.

Im szybciej oprzytomnieje, tym prędzej stąd pójdzie.

Z wysiłkiem dźwignął jej przemoczone, nieświadome niczego ciało i wstał. Ułożył je tak, żeby punkt ciężkości wypadł między jej biodrami i ramionami, a potem zaczął stąpać po schodach, wnosząc ją do wnętrza.

Liczył kolejne stopnie.

Piąty… szósty… siódmy…

Kiedy stanął na ósmym, poruszyła się w jego objęciach. Znieruchomiał, zmagając się z niemiłym uczuciem. Zemdlała na sam jego widok. Jeśli się ocknie i zrozumie, że on ją niesie, gotowa jeszcze doznać szoku i umrzeć.

Albo wrzaśnie tak głośno, że niemal mu uszy pękną. A najmniej ze wszystkiego trzeba mu było teraz uszkodzenia słuchu.

Wymamrotała coś niewyraźnie, ale nie oprzytomniała. Nie, zrobiła coś dużo gorszego!

Przytuliła się do niego.

Obróciła się na bok, skuliła i otarła policzkiem o jego pierś, szukając ciepła. Wydała słaby, gardłowy jęk.

Znów zbudziło się w nim coś nieproszonego. Przystanął na chwilę, żeby zdusić to w sobie, nim od nowa zaczął wspinać się po schodach. Jeśli pragnął czegoś mniej niż kobiety zemdlonej, to kobiety przytulonej do niego. Odkąd został ranny, nie lubił niczyjej bliskości. No i, dzięki Bogu, nie potrzebował jej. Miał psa.

Pies wyprzedził go, gdy Ransom stanął na szczycie schodów i skierował się ku wielkiemu holowi zamku. Tam właśnie rezydował. Tam spał, jadł i pił, a także przeklinał i wszystko rozpamiętywał. Duncan, jego sługa, zawsze go namawiał, żeby otworzyć więcej pokojów zamkowych, lecz Ransom nie widział w tym sensu.

Ułożył dziewczynę – nie, kobietę – na zniszczonej sofie wypchanej końskim włosiem i przysunął mebel bliżej do ognia. Nogi sofy zazgrzytały na kamiennej posadzce. Czekał, chcąc się przekonać, czy kobieta odzyska przytomność.

Leżała bez ruchu.

Potrząsnął lekko jej ramieniem.

Bez skutku.

– No, obudź się – powiedział głośno. – Spójrz tam. To lord Archer.

Nawet nie drgnęła.

Przysunął sobie krzesło i siadł koło niej. Pięć sekund później wstał ponownie i zaczął chodzić po holu. Dwadzieścia trzy kroki w stronę lewego okna i z powrotem. Cierpliwość nie była jego mocną stroną. Bezruch zmieniał go w gniewną, rozjuszoną bestię.

Kiedy Duncan wróci, należałoby go posłać po lekarza. Ale Duncan mógł wrócić za wiele godzin.

Magnus zaskomlał i trącił nosem jego buty.

Ransom kazał mu się wynosić na jego barłóg przy ogniu. Potem ukląkł przy sofie i położył dłoń na karku kobiety. Przesuwał nią wzdłuż delikatnej szyi, póki nie wyczuł końcami palców pulsu. Był słabszy, niż chciałby Ransom, i w dodatku bardzo pospieszny. Niech to licho.

Odwróciła głowę na bok, ocierając się policzkiem o jego dłoń. Potem zrobiła to jeszcze raz. Poczuł łagodny i delikatny kobiecy zapach.

– Kusicielka – mruknął z goryczą.

Jeśli już jakaś kobieta musiała mdleć i tulić się do niego na jego progu, czemu nie wydzielała woni octu albo starego sera? A tymczasem ta musiała, jak na złość, pachnieć rozmarynem i pudrem.

Nacisnął kciukiem jej policzek, wilgotny od deszczu.

– Na litość boską, kobieto, oprzytomnij!

Może rozbiła sobie głowę o kamienne płyty? Wsunął palce w rozwichrzone włosy, wyjmując z nich szpilki. Było ich całe mnóstwo, a w miarę jak je wyciągał, włosy zdawały się stawać coraz dziksze, wręcz gniewne. Kręte pasma owijały mu się wokół palców i uniemożliwiały ruchy. Nim zdołał wreszcie stwierdzić z ulgą, że czaszka jest nietknięta, przysiągłby, że są żywe. A także głodne.

Głowa była jednak cała i, jak mu się zdawało, bez guzów czy opuchlizny. Tylko że kobieta nadal nie wydawała żadnego dźwięku.

Może zraniła sobie jakąś inną część ciała? A może miała zbyt ciasno zasznurowany gorset?

Tylko w jeden sposób mógł się o tym przekonać.

Z ciężkim westchnieniem ściągnął z niej płaszcz i zakasał rękawy. Potem przekręcił ją na bok, odgarnął te jej drapieżne włosy i zaczął rozpinać guziki z tyłu sukni. Wyszedł już z wprawy, ale pewnych rzeczy mężczyzna

nigdy nie zapomina. A jedną z nich jest umiejętność rozpinania kobiecego odzienia.

Kolejną była umiejętność rozsznurowywania gorsetu.

Gdy pociągnął za sznurówki, poczuł, że jej piersi uniosły się pod naciskiem jego dłoni. Poruszyła się i westchnęła.

Zdrętwiał cały. Znów poczuł nieproszone pulsowanie w żyłach, a tym razem nie mógł go zbyć mianem nonsensownej nadwrażliwości.

Nie było to nic innego niż pożądanie. Bardzo długo nie miał kobiety w ramionach. Niebezpiecznie długo.

Zdusił w sobie podniecenie. Szybkimi, obojętnymi ruchami ściągnął jej z rąk rękawy, szukając złamanych kości. Potem zaczął zdejmować z niej stanik. Nie mógł pozwolić, żeby leżąc w mokrym odzieniu, nabawiła się przeziębienia.

Powinna mu być wdzięczna, kiedy odzyska przytomność, ale jakoś w to wątpił.

Izzy przyszła do siebie w jednej chwili.

Była w zamku. Wokół niej wyrosły nagle filary niby wiekowe drzewa, podtrzymując sklepienie wielkiego jak pieczara holu.

Rozejrzała się wokoło i ujrzała nieliczne, zniszczone sprzęty. Cały kraniec holu zajmowało ogromne palenisko kominka. Gdyby nie to, że płonął na nim ogień, Izzy mogłaby bez wątpienia stanąć tam bez pochylania się. Ogień zaś podsycały nie szczapki czy nawet większe polana, ale całe pnie.

Leżała na zakurzonej, zdezelowanej sofie. Okrywała ją szorstka wełniana kołdra. Wyjrzała spod niej i zaraz cała się skuliła. Nie miała na sobie sukni, gorsetu, halki i butów. Została tylko koszula i pończochy.

O Boże.

Uniosła dłoń ku rozpuszczonym włosom. Ciotka Lilith miała rację. Zawsze, do znudzenia, upominała ją podczas wakacji spędzanych w Essex:

– Nieważne, że nikt ich nie widzi – narzekała. – Zawsze, zawsze! – noś czystą koszulę i pończochy. Nigdy nie będziesz wiedzieć, kiedy ci się przytrafi jakiś wypadek!

Och, Boże. Zaczynała sobie wszystko przypominać. Deszcz. Zemdlenie.

Spojrzała przed siebie, a on tam stał.

– Ocknęła się pani – powiedział, ale nie odwrócił się, żeby potwierdzić te słowa.

– Tak. Gdzie moje rzeczy?

– Pani sakwojaż stoi jakieś dwa kroki od wejścia, na prawo.

Izzy odwróciła głowę na bok i dostrzegła sakwojaż właśnie w tym miejscu, o którym wspomniał. Nie ruszał się i nie był też otwarty. Śnieżynka widocznie nadal spała. Ulżyło jej.

– Pani suknia jest o, tam. – Wskazał gestem jej strój wiszący na oparciu dwóch zestawionych razem krzeseł, który suszył się przy ogniu. – Pani halki leżą trochę dalej, na jednym stole, a gorset na drugim.

– Dziękuję. – Izzy chętnie by umarła ze wstydu. Cała ta sytuacja była przeraźliwie żenująca. Już osunięcie się bezwładnie ku butom przystojnego nieznajomego było czymś trudnym do zniesienia, a słuchanie, jak on po kolei wymienia części jej bielizny… Okryła się kołdrą po samą szyję. – Niepotrzebnie się pan trudził.

– Ale pani musiała jakoś oddychać. A ja musiałem się upewnić, czy coś nie krwawi ani się nie złamało.

Nie miała pewności, czy wymagało to rozbierania jej do koszuli. Wystarczyłoby mu raz spojrzeć, żeby się przekonać, czy nie krwawiła.

– Jest pani chora? – spytał.

– Nie. A przynajmniej nie sądzę, żeby tak było.

– Jest pani w odmiennym stanie?

Parsknęła śmiechem tak donośnie, że wystraszyła psa.

– Stanowczo nie. Nie jestem też kobietą mdlejącą z byle powodu. Po prostu niedużo dziś jadłam. – Wczoraj i przedwczoraj także, pomyślała.

Głos miała schrypnięty. Może się przeziębiła. To by też wyjaśniało jej zemdlenie.

Podczas całej rozmowy jej gospodarz stał przy kominku, tyłem do niej. Płaszcz dobrze leżał mu w ramionach, ale niżej był nieco za luźny. Może ostatnio schudł? Wciąż jednak miał doskonałą sylwetkę, a ciało smukłe i twarde. Przypominało trochę ten wielki hol, gdzie się znajdowali. Może nieco zaniedbane, ale imponujące i silne.

A ten jego głos… Och, on był niebezpieczny.

Sama nie wiedziała, co ją bardziej niepokoi. Czy to, że ten posępny, a przystojny nieznajomy tak swobodnie sobie poczynał z jej osobą – niósł ją na rękach, rozsznurował gorset, rozpuścił jej włosy i rozebrał aż do spodniej garderoby? Czy to, że w jakiś osobliwy sposób przespała wszystkie jego czynności?

Znowu zerknęła na sylwetkę mężczyzny, rysującą się ciemno na pomarańczowym tle płomieni.

To drugie. Stanowczo to drugie! Najbardziej podniecający kwadrans swego życia spędziła najzupełniej nieświadomie! Izzy, ty niemądre stworzenie!

A jednak, choć nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ją tu wniesiono, jej ciało zdawało się to na swój sposób pamiętać. Wyczuwało, pod odzieniem, dotyk silnych dłoni na zmarzniętej skórze. Jakby się na niej trwale odcisnął.

– Dziękuję, że mnie pan tu przyniósł.

– Herbata stoi po pani lewej stronie.

Wyszczerbiony kubek pełen gorącego płynu znalazła na pobliskim stole – po lewej, jak powiedział. Chwyciła go w obie dłonie, pozwalając, by je przeniknęło na wskroś jego ciepło, nim pociągnęła wielki, ożywczy łyk.

Zapiekło ją w gardle jak ogniem.

Zakaszlała.

– Co w niej jest?

– Mleko. A także trochę whisky.

Whisky? Pociągnęła kolejny łyk. Nie mogła wybrzydzać. Napój, gdy się go piło z należytą ostrożnością, nie był znów taki zły. Poczuła w całym ciele ciepło.

Na tym samym stole znalazła mały kawałek chleba i rzuciła się na niego łapczywie.

– Kim pan jest? – spytała między jednym kęsem a drugim. Ciotka Lilith nie byłaby rada z jej manier.

– Nazywam się Rothbury. Znajduje się pani w moim zamku.

Izzy z trudem przełknęła chleb. A więc ten mężczyzna śmie twierdzić, że jest księciem Rothbury? Trudno było mu uwierzyć. Czyż książęta nie mają służby, żeby parzyła herbatę i pomagała się im należycie odziać?

Boże, zlituj się. Może trafiła do jakiegoś szaleńca?

Izzy naciągnęła na siebie kołdrę. Stanowczo nie chciała ryzykować, że go sprowokuje.

– Nie miałam pojęcia. Czy powinnam się do pana zwracać „Wasza Wysokość”?

– Nie wiem po co. Pewnie po kilku godzinach będzie pani o mnie myśleć jako o źle wychowanym natręcie, który się jej narzucił pewnego deszczowego popołudnia i któremu nigdy więcej nie wolno pozwolić na jej molestowanie.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– Piękne kobiety zawsze go sprawiają. Czy tego chcą, czy nie.

Albo się z nią przekomarzał, albo miał nierówno pod sufitem. Izzy nie wiedziała, o którą z tych możliwości chodzi. Miała pewność tylko co do jednego: nie odznaczała się pięknością. Choćby nie wiem jak szczypała policzki, żeby wywołać rumieńce, lub usiłowała porządnie upiąć nieznośnie rozwichrzone włosy, nic nie pomagało. Wyglądała pospolicie i już.

Za to ten mężczyzna bynajmniej nie był pospolity. Patrzyła na niego, gdy dorzucał drew do ognia. Polanem grubym jak jego udo manipulował tak lekko, jakby było byle patykiem.

– Jestem panna Izolda Goodnight – powiedziała. – Może słyszał pan gdzieś to nazwisko.

Poruszył ogień pogrzebaczem.

– Dlaczego miałbym je znać ze słyszenia?

– Moim ojcem był sir Henry Goodnight, uczony i historyk, ale bardziej znany jako pisarz.

– Właśnie dlatego nie słyszałem o nim. Nie lubię czytać.

Izzy spojrzała w ostrołukowe okno. Ściemniało się już. Gęstniejący mrok martwił ją, podobnie jak to, że wciąż nie widziała całej twarzy gospodarza. Coraz bardziej pragnęła przyjrzeć się jej, spojrzeć mu w oczy. Chciała wiedzieć, na łasce jakiego mężczyzny się znalazła.

– Pewnie lord Archer wkrótce się tu zjawi – zaczęła. – Może zapalimy jedną czy dwie świece, czekając na niego?

Po chwili ciszy ujął niechętnie pęk słomy, zapalił go od ognia i – ostrożnie osłaniając płomień dłonią – podszedł do świecy na gzymsie kominka.

Wydawało się, że wszystko to sprawiło mu niezwykłą trudność. Knot się zapalił, lecz on trzymał przy nim słomę tak długo, że w końcu sparzył sobie koniec palca. Zaklął pod nosem i trzepnął w słomę dłonią, zduszając ogień.

– Nie lubię się naprzykrzać, tylko że ja… – sama nie wiedziała, po co to mówi, czuła się jednak winna temu, że sparzył się, chcąc jej pójść na rękę – …nie lubię ciemności.

Odwrócił się ku niej ze świecą w ręce. Jeden kąt jego szerokich ust uniósł się jakby z ironią.

– Ja też się z nią nie umiem pogodzić.

Płomień rzucił złocistą poświatę na jego twarz. Izzy zamarła, zaskoczona. Jego pięknie wyrzeźbione, arystokratyczne rysy świadczyły wyraźnie, że słusznie nazywał się księciem. Ale coś w tej twarzy mówiło o czym innym.

Przeraźliwa, krzywa blizna biegła od jego czoła po skroń, kończąc się w zagłębieniu pod kością policzkową. Choć płomień świecy drgał i migotał, on nie zmrużył oczu ani nie odwracał wzroku.

No oczywiście.

Nagle zrozumiała w ułamku sekundy, co to znaczy. Wreszcie wszystko stało się jasne.

Wszystko nabrało sensu.

Wnętrze tonące w mroku, odmowa przeczytania listu, to, że przekonał się o jej zdrowiu tylko dotykiem. Wzmianki o piękności Izzy, mimo że wszystko świadczyło o jej braku.

Był niewidomy.

2

Ransom stał bez ruchu, pozwalając świecy oświetlać okaleczoną stronę twarzy. Byłby jej tego oszczędził, ale domagała się światła.

Czekał zatem, pozwalając jej na długi, dokładny ogląd.

Żadnych krzyków, jęków zgrozy ani głuchego łomotu, gdyby padła na posadzkę. Tylko wciąż ta sama woń rozmarynu.

– Dziękuję – powiedziała w końcu. – Za świecę.

Głos jej był jeszcze bardziej pociągający niż zapach. Miała akcent dobrze wychowanej angielskiej panny, ale z wyczuwalnym, lekko gardłowym, zmysłowym tonem.

– Kiedy pan został ranny? – spytała. – W bitwie? W pojedynku? W wypadku?

– To długa historia.

– Ogromnie lubię długie historie.

Stanowczym ruchem postawił lichtarz na stole.

– Ta się pani nie spodoba.

– Przepraszam. Wiem, że moje pytanie było zbyt śmiałe, ale mimo to postanowiłam je zadać. A potem sobie pomyślałam: z pewnością on wie, że jestem tego ciekawa. Gdybym z kolei zaczęła patrzeć w sufit lub mówić o pogodzie, również byłoby to niestosowne. A pan wygląda na kogoś, kto wolałby szczerość, nawet kłopotliwą, od nieszczerości, więc… – i tu jej głos zniżył się o pół oktawy – postanowiłam spytać.

Zamilkła. Nareszcie.

Irytowało go, że jego ciało reaguje na jej obecność. Jej kobiecość była jak koronkowa kapa na jego ulubionym fotelu. Nie chciałby jej tutaj, ale skoro już była… nie mógł zaprzeczyć, że pewna zraniona i zaniedbana część jego istoty chciwie pragnęła tej miękkości.

Do diabła, pragnęła jej aż do bólu.

– W porządku, nie będę nalegać, by pan wyjaśnił, co się za tym kryje – powiedziała – ale ostrzegam, najpewniej wymyślę sobie jakąś historię sama.

– Może sobie pani wymyślać do woli najróżniejsze, bylebym nie był ich bohaterem.

– Kiedy możemy się spodziewać przyjazdu lorda Archera?

Skądże mógł to wiedzieć, u diabła? Nie miał pojęcia, kim ten Archer może być.

– To jakieś nieporozumienie. Nie ma tu osoby, której pani szuka, obojętnie, kto nią jest. Mój sługa wkrótce wróci. Każę mu odwieść panią do Woolington.

Zawahała się.

– W takim razie powinnam się chyba ubrać.

– No to niech pani tak zrobi. – Kiwnął ręką zachęcająco. – Nie ma tu garderoby. A jeśli pani dotąd tego nie zrobiła, proszę nie czekać, żebym się odwrócił.

Mimo wszystko odwrócił się jednak do ściany. Cmoknął na Magnusa.

Słyszał za sobą lekkie kroki i szelest bielizny, co działało mu na nerwy. Schylił się, żeby lekko poskrobać psa za uchem.

– Na stole leży cały stos korespondencji – wytknęła mu. – Czy na pewno lord Archer do pana nie napisał?

Ransom zamyślił się. Rzeczywiście, nie mógł być pewien niczego, co wiązało się z otrzymywaną ostatnio korespondencją. Duncan posiadał wiele użytecznych talentów, ale nie nadawał się na sekretarza.

– No i jestem panu wdzięczna za chęć odwiezienia mnie do Woolington – powiedziała – ale nie mam pojęcia gdzie mogłabym się stamtąd udać. Widzę, że wyłożył pan zawartość mojej sakiewki na stół. Musiał pan zauważyć, że to niewiele.

Zauważył. Było tego dokładnie trzy szylingi i dziesięć pensów. Nie miała żadnej wartościowej biżuterii. Nie przeszukał sakwojażu, ale ważył on tyle co nic.

– Jeśli zmusi mnie pan dzisiejszego wieczoru, żebym się stąd zabrała, nie będę miała gdzie się podziać.

Dosłyszał lekkie drżenie w jej głosie.

Był na nie głuchy.

Nie rozumiał, czemu młoda, samotna kobieta pojechała, sama jedna, aż do Northumberland za ostatnie kilka szylingów.

Panna Goodnight musiała się z nim pożegnać. Nie życzył jej źle, nie miał też jednak nic do zaoferowania. Jeśli szukała kogoś, kto by jej pospieszył z pomocą, trafiła na nieodpowiedniego człowieka.

– Mój sługa może panią zabrać do wiejskiego kościoła – odparł. – Może proboszcz…

Magnus postawił uszy sztorcem pod jego dłonią. W psim gardle narastało niskie, niemal niesłyszalne jeszcze warczenie.

Chwilę później Ransom również dosłyszał ten dźwięk. Stukot kopyt na drodze. Rytm ich był mu nieznany. To nie mógł być Duncan.

– Może ten lord Archer w końcu przyjechał po panią?

Westchnęła donośnie.

– Dzięki Bogu!

– Istotnie.

Chwilę później kroki jakiegoś intruza rozległy się na podwórcu.

– Hej, panno Goodnight, jest pani tam?

Podbiegła ku oknu i zawołała:

– Proszę na górę, milordzie. Do wielkiego holu!

Gdy mężczyzna tam wszedł, skierował się od razu ku miejscu, gdzie stali przy kominku. Kroki jego były pewne, pospieszne. O wiele za szybkie.

Ransom zgrzytnął zębami. Do diabła, jakżeż nienawidził tego, że nie może kontrolować sytuacji, bo jest w niekorzystnym położeniu.

Zacisnął dłoń na pogrzebaczu i uniósł go.

– Stać!

Kroki zatrzymały się o jakieś dziesięć stóp od niego. Okaleczona twarz zaczęła go palić pod czyimś badawczym spojrzeniem.

– Czyżby to… Niemożliwe! – Nowo przybyły zbliżył się o krok. – Rothbury? Dobry Boże! Całkiem, jakbym stanął twarzą w twarz z upiorem.

– Nie znam pana – powiedział Ransom.

– Wiem, ale za to ja pana znam. – Archer zniżył głos do szeptu. – Widzi pan, byłem na liście gości. Zaproszony przez pannę młodą.

Ransom zacisnął zęby, pragnąc mieć twarz bez wyrazu. Nie chciał temu nędznikowi dać powodu do zadowolenia, że intruz dojrzał jego reakcję.

– Nikt pana nie widział od miesięcy – ciągnął Archer. – Po Londynie rozeszły się plotki, że pan nie żyje.

– Plotki były fałszywe.

Prawda okazała się jeszcze gorsza.

Ransom stuknął pogrzebaczem o posadzkę w wymowny sposób. To był jego zamek. Nie będzie tu odpowiadał na żadne pytania, tylko zadawał własne.

– Proszę się wytłumaczyć. Po cóż pan sprowadza nieoczekiwanie jakąś kobietę do mojego domu?

– Do pańskiego domu? – Archer zaśmiał się niepokojącym, przyciszonym śmiechem. – A to ciekawe!

Izzy poczuła się tak, jakby asystowała przy trzecim akcie jakiejś sztuki. Nie miała pojęcia, o co tu chodzi, lecz było to nie do zniesienia dramatyczne.

Lord Archer wyglądał jak pierwszorzędnie się prezentujący aktor. Uradował ją widok jego wykrochmalonego halsztuka i dopasowanych rękawiczek – oznak, że elegancja i dobre maniery wciąż jeszcze gdzieś istnieją.

– Jeśli pozwoli mi pan porozmawiać z panną Goodnight – powiedział Archer, nie przejmując się zaimprowizowanym morderczym narzędziem wymierzonym w jego pierś – to, jak sądzę, wyjaśni panu wszystko.

Książę Rothbury, bo w końcu był naprawdę księciem, opuścił pogrzebacz i burknął:

– Mów pan.

Lord Archer odwrócił się w stronę Izzy, uśmiechnął i zatarł dłonie.

– Ogromnie mi zależało na poznaniu sławnej Izzy Goodnight. Moje siostrzenice zzielenieją z zazdrości! – Jego entuzjazm przygasł jednak, gdy się jej przyjrzał. – Muszę przyznać, że niezupełnie odpowiada pani moim oczekiwaniom.

Izzy stłumiła westchnienie. Wciąż to samo!

– Zawsze wyobrażałem sobie panią jako dziecko z szeroko otwartymi oczami.

– Byłam dwunastolatką, kiedy utwory mojego ojca zaczęły się ukazywać w „The Gentleman’s Review”. Ale od tego czasu minęło czternaście lat, no i, co jest w końcu naturalne, z każdym rokiem stawałam się coraz starsza.

– No tak. – Pokiwał głową. – Przypuszczam, że inaczej być nie mogło.

Izzy jedynie uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi. Od dawna nauczyła się powściągliwie reagować na uwagi wielbicieli twórczości ojca. Różni inni lordowie Archerowie nie chcieli widzieć w niej dorosłej kobiety z własnymi upodobaniami i marzeniami, tylko dziewczynkę z opowieści. W ten sposób mogli wciąż na nowo czytać ulubione historie, wyobrażając sobie siebie samych na jej miejscu.

Na tym właśnie polegał magiczny urok *Opowieści na dobranoc*. Czytelnicy wraz z każdym odcinkiem czuli, że sami leżą pod ciepłą

czerwoną kołderką, patrząc w górę, na sufit z wizerunkami srebrnego księżyca i złotych gwiazd, a kochająca ojcowska dłoń głaszcze ich po rozsypanych na poduszce włosach. Oni zaś oczekują zawsze tej samej obietnicy:

„Zgaś światło, droga Izzy, a ja zaraz opowiem ci pewną historię…”

Prawdziwe dzieciństwo Izzy wcale nie przypominało tego, co mogli przeczytać. Gdyby jednak pozwoliła sobie o nim napomknąć, znienawidziliby ją za to. Całkiem, jakby obrywała skrzydełka Ostatniemu Prawdziwemu Elfowi w Anglii.

Lord Archer przysiadł na poręczy sofy i nachylając się poufale ku niej, powiedział:

– Wiem, że pewnie wciąż słyszy pani to pytanie, ale moje siostrzenice udusiłyby mnie, gdybym go nie zadał. Nie sądzę, by pani ojciec…

– Nie, milordzie. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Nie wiem, w jaki sposób Kresyda zdoła uciec z wieży. Obawiam się też, że nie mam pojęcia, kim jest naprawdę Mroczny Rycerz.

– A więc Ulryk wciąż wisi uczepiony tego parapetu?

– Chyba tak. Bardzo mi przykro.

– Nieważne. – Uśmiechnął się do niej dobrotliwie. – To nie pani wina. Musi panią bardziej nękać ta niepewność niż wszystkich innych.

Nawet nie wiedział jak bardzo.

Rzeczywiście, nękała ją niepewność! Co najmniej trzy razy na tydzień zadawano jej te same pytania, w bezpośredniej rozmowie lub listownie. Gdy jej ojciec zmarł nagle na apopleksję, jego saga też nagle się urwała. Jego ulubieni bohaterowie pozostali więc bez ratunku w mnóstwie niebezpiecznych sytuacji. Zamknięci w wieżach lub zwisający z urwisk.

Sama Izzy była jednak w najgorszych opałach. Straciła wszystko, co posiadała, i wypędzono ją z jedynego domu, jaki kiedykolwiek znała. Nikt jednak nie troszczył się o nią. Wszyscy martwili się tylko o Kresydę

zamkniętą w wieży i jej ukochanego Ulryka wiszącego na parapecie, którego trzymał się kurczowo trzema palcami.

– Mój ojciec byłby niezwykle rad, że pan o to pyta – powiedziała do lorda Archera. – Ja również jestem wdzięczna.

Była to prawda. Mimo sytuacji, w jakiej się znalazła, czuła dumę z tej spuścizny.

Książę chrząknął, stojąc wciąż przy kominku.

– Milordzie – powiedziała – sądzę, że nasz gość wkrótce nas opuści. Czy mogę spytać, co zapisał mi mój ojciec chrzestny?

– Ach, tak. – Lord Archer pogrzebał w małej walizeczce. – Przywiozłem ze sobą wszystkie dokumenty. Możemy to załatwić od ręki. Rothbury wręczy pani klucze, jeśli w ogóle jakieś są.

– Klucze? – spytała. – Nie rozumiem.

– To właśnie pani spadek, panno Goodnight. Ten zamek.

Powietrze uciekło jej z płuc.

– Co takiego?

Książę również zaprotestował, mówiąc ponurym tonem:

– Niemożliwe.

Lord Archer zajrzał do dokumentów.

– O, spójrzmy tutaj: „Pannie Izoldzie Ofelii Goodnight zapisuję posiadłość znaną jako Gostley Castle”. Czy to się wymawia „Ghostly”, czy „Ghastly”? Każda z wersji wydaje się równie właściwa.

– Sądziłam, że dostałam w spadku pieniądze. – Izzy pokręciła głową. – Może tysiąc funtów, może dwa.

– Tu nie ma mowy o żadnych pieniądzach, panno Goodnight. Tylko o zamku. Lynforth miał kilka chrześniaczek i co roku coś im darowywał, od kucyków po wstążki do włosów. W ostatnich miesiącach życia postanowił zostawić im wszystkim coś, co jest marzeniem każdej dziewczyny. Własny zamek.

– Zaraz, zaraz – przerwał mu książę. – Ten zamek był w posiadaniu mojej rodziny od setek lat.

Archer znów zajrzał do papierów.

– Najwyraźniej sprzedano go Lynforthowi ledwie kilka miesięcy temu. – Spojrzał znad dokumentów na Izzy. – Czy jest pani tym zaskoczona?

– Jestem zdumiona – przyznała. – Hrabia zawsze traktował mnie serdecznie i był nie tylko moim ojcem chrzestnym, ale i opiekunem na dworze.

Izzy przedstawiono lordowi Lynforth parę razy, ostatnio wtedy, gdy ojciec otrzymał tytuł szlachecki. Z tej właśnie uroczystej okazji kochany staruszek wsunął jej do torebki cukierka i pogłaskał ją po głowie. Nieważne, że liczyła już sobie wtedy dwadzieścia dwa lata. Miał jak najlepsze intencje.

A teraz ten zacny staruszek zostawił jej zamek.

Zamek!

Archer podał jej tekę z dokumentami.

– Wszystko tu jest. Kopia testamentu i tytuł posiadania nieruchomości. Ten zamek wraz ze wszystkim, co się w nim znajduje, jest od tej chwili pani własnością.

Spojrzała na tekę ze zdumieniem.

– Co ja mam z nim zrobić?

– Jeśli nie chce pani tu zamieszkać… – Lord Archer spojrzał na zawilgocone sklepienie i wzruszył ramionami. – Chyba należałoby go wysprzątać, gdyby pani próbowała sprzedać…

Trach!

Izzy skuliła się, gdy coś uderzyło donośnie w najdalszą ścianę.

Rozejrzała się, chcąc poznać źródło tego dźwięku. Nie musiała szukać daleko. Rozwścieczony książę chwycił za drugie krzesło i rąbnął nim o mur. Przeraźliwy huk rozległ się ponownie.

Drzazgi posypały się na posadzkę.

Książę zaś stał, walcząc o oddech, wszystkie mięśnie miał napięte, pełen energii. Był wspaniałym, dynamicznym i bezsprzecznie męskim uosobieniem gniewu. W Izzy budził jednocześnie podziw i strach.

– Nie może go mieć! – powiedział. – Nie może w nim mieszkać! Nie może go uporządkować przed sprzedażą! – Huknął się pięścią w pierś, aż Izzy zjeżyły się włosy na karku. – Jestem Ransom William Dacre Vane, jedenasty książę Rothbury. To mój zamek!

Magnus warknął groźnie. Atmosfera w całym wielkim holu była pełna napięcia, od posadzki aż po sklepienie.

Lord Archer powoli przeglądał papiery, całkiem jakby dwa krzesła nie rozbiły się wcale o ścianę.

– Tak, tak. Czy jest pan księciem, czy nie, ostatnio sprawy nie idą po pańskiej myśli, prawda, Rothbury?

Książę nie odpowiedział, chyba że za odpowiedź można by uznać jawną wściekłość.

– Obawiam się, że dokumenty mówią o tym jednoznacznie – stwierdził Archer. – Zamek należy teraz do panny Goodnight.

– Niemożliwe – odparł książę. – Bo ja go nie sprzedawałem.

– Kiedy ktoś znika i nikt go nie widzi w Anglii przez siedem miesięcy, to jego sprawami powinni zająć się doradcy. – Archer spojrzał na długi stół ze stertą nierozpieczętowanych kopert. – Najpewniej odpowiedź kryje się gdzieś w tej poczcie.

Izzy nie odrywała wzroku od teki w jego ręce. Przybyła tu z pustą sakiewką, burczało jej z głodu w brzuchu. Ale teraz miała zamek. A w zamku był książę.

– No cóż, to wszystko. Będę już uciekał. – Po zatrzaśnięciu walizeczki lord Archer podniósł ją i najwyraźniej chciał opuścić hol.

– Niech pan zaczeka! – Izzy podbiegła, chwyciła go za rękaw i zniżonym głosem zapytała: – Zamierza mnie pan tu zostawić? Samą? W tym upiornym zamczysku? Z pewnością nie!

– Panno Goodnight, choć chętnie bym pozostał dłużej w tym uroczym miejscu, jestem bardzo zajętym człowiekiem. Spadek po hrabim Lynforth zmusza mnie, bym jeździł po całej Anglii, rozdzielając te zmurszałe kamienne ruiny pomiędzy niespodziewające się niczego młode niewiasty. Mógłbym zaoferować odwiezienie do wioski, lecz z pewnością pani woźnica przybędzie tu wkrótce.

Jej woźnica?

No oczywiście. Lord Archer nigdy by nie uwierzył, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazła: bez pieniędzy, bez domu i bez żadnego pojazdu. Sądził widocznie, że jej powóz na resorach i białe konie czekają gdzieś za rogiem.

Nie chciała jednak uwłaczać pamięci ojca, ujawniając, że był rozrzutnikiem, nie mogła więc zaprzeczać przypuszczeniom lorda Archera.

– Owszem, wkrótce po mnie przyjedzie – powiedziała słabym głosem. – Bez wątpienia.

Lord Archer powiódł wzrokiem po zamku, następnie spojrzał na nią, unosząc z rozbawieniem brwi.

A potem zrobił coś krańcowo niewybaczalnego.

Pogłaskał ją protekcjonalnie po głowie i rzekł:

– Ach, mała Izzy Goodnight, przecież pani lubi przygody!

3

No cóż – odważyła się powiedzieć Izzy po kilku minutach pełnej napięcia ciszy, jaka zapadła po odejściu lorda Archera – to kłopotliwa sytuacja.

– Kłopotliwa. – Książę krążył po posadzce, wymachując rękami, po czym zatrzymał się nagle, powtarzając z naciskiem: – Kło-pot-liwa!

Słowo rozległo się donośnie w całym holu, aż po sklepienie.

Izzy nie ruszała się z miejsca. Po prostu stała bez ruchu. Zakłopotana.

– Młodość – odezwał się ponownie książę – jest czymś kłopotliwym. Obecność na weselu byłej kochanki to rzecz kłopotliwa. Kochanie się z kimś na końskim grzbiecie to coś kłopotliwego.

Zgodziłaby się z nim co do pierwszego przykładu. Jeśli chodzi o drugi i trzeci, musiała uwierzyć mu na słowo.

– To nie jest kłopotliwa sytuacja – oświadczył – tylko zdrada!

– Zdrada? – Izzy kurczowo ścisnęła w ręku tekę z dokumentami. – Z pewnością nie dopuściłam się tu żadnej zdrady, Wasza Wysokość. Przecież nie prosiłam lorda Lynforth, żeby zostawił mi w spadku zamek! Nie znałam go bliżej niż pana.

– Zamek nie należał się nigdy hrabiemu Lynforth – odparł surowo. – A mnie pani wcale nie zna.

Może i nie. Ale bardzo tego pragnęła i nic na to nie mogła poradzić. Był taki intrygujący!

Teraz, kiedy znów zostali sami, skorzystała z okazji, by uważnie się przyjrzeć jego twarzy. Mimo blizny była dumna, o szlachetnych rysach, z

mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i kanciastym podbródkiem. Cerę miał smagłą i złotawą, oczy za to iście celtyckie. Ciemne i szeroko rozstawione.

Trudno byłoby coś z nich wyczytać, nawet jeśliby doskonale widział. Gdyby nie to, że z taką trudnością zapalił świecę, mogłaby dopiero po paru godzinach zdać sobie sprawę z tego, że jest niewidomy.

Chętnie zadałaby mu nawet sto pytań. Gdzie tam sto, chyba z tysiąc! A najgłupszymi byłyby te, które wprost cisnęły się jej na usta.

„Czy naprawdę kochał się pan z kimś na końskim grzbiecie? Jak to w ogóle możliwe? Czy właśnie wtedy został pan ranny?”

– Wasza Wysokość, ja przecież nie zamierzam pana stąd wyrzucać. – Nie mogła sobie wprost wyobrazić, że można by podobnie postąpić z takim człowiekiem. – Nie jestem wcale pańskim wrogiem, tylko co najwyżej… gospodynią.

– Moją gospodynią? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Owszem. Z pewnością dojdziemy jakoś do porozumienia.

– Do porozumienia?

Przeszedł na przeciwną stronę holu, poruszając się pomiędzy sprzętami ze swobodą, której chętnie by mu pozazdrościła.

Potykała się o nie dużo częściej niż on, a przecież nie była wcale niewidoma.

Jeśli przebywał w Gostley Castle, odkąd został kaleką, musiał nieustannie odtwarzać w wyobraźni mapę tego miejsca. Zaczynała rozumieć, czemu za nic nie chciał go opuścić. Nawet gdyby przeniósł się gdzieś do dużo lepszego pomieszczenia, zmiana miejsca oznaczałaby zaczynanie wszystkiego od nowa. Nie miała najmniejszej ochoty, by jako bezlitosna właścicielka wyganiać ociemniałego człowieka z jego domu.

Podniósł sakwojaż z miejsca, gdzie stał przy wejściu – dwa kroki na prawo od drzwi, jak już jej przedtem powiedział, i po przebyciu z powrotem tej drogi postawił go na stole.

– Niech pani wreszcie zrozumie, że musi stąd pójść.

– Co takiego? – Z rosnącym przerażeniem spojrzała na torbę. – Ależ ja nie mam dokąd pójść ani żadnych pieniędzy na podróż.

– Nie wierzę. Skoro pani ojciec znany był w całej Anglii, a nawet uzyskał tytuł szlachecki, musi pani jakieś mieć. A jeśli nie pieniądze, to przyjaciół.

Pies skulony przy jego nogach zawarczał.

– Co jest w tym sakwojażu? – spytał, marszcząc brwi.

– Tylko mój… – Machnęła ręką. – Teraz to nieważne. Powiedziałam, Wasza Wysokość, że nie chcę pana stąd wyganiać. Ale i pan nie może mnie zmusić do odejścia.

– Och, naprawdę? – Chwycił jej szal suszący się nieopodal i zwinął go w kłąb, chcąc, by zmieścił się w torbie.

Pies znów warknął i zaszczekał.

– Co u diabła jest w środku? – zapytał i otworzył zamek sakwojażu.

– Nie, nie! – Izzy zerwała się i podbiegła do stołu. – Ostrożnie! On śpi. Jeśli go pan przestraszy, to…

Za późno.

Wyszarpnął dłoń ze środka z głośnym okrzykiem.

– Matko Boska!

Izzy skrzywiła się boleśnie. Stało się właśnie to, czego się lękała. U jego palca zwisało coś smukłego, drapieżnego i zębatego, białe w brunatne cętki.

– Śnieżynko, puść!

Pies wręcz oszalał, wściekle ujadając i skacząc wokół stworzenia, które zaatakowało jego pana. Ransom zaklął i wstrząsnął ramieniem, usiłując uwolnić się od zwierzątka. Ale Śnieżynka, jak to ona, wpiła się w nie z całej siły.

– Śnieżynko! – krzyczała Izzy, biegając wokół obydwu. – Śnieżynko, puść go w tej chwili!

W końcu wdrapała się na stół i z całej siły złapała księcia oburącz za przegub, chcąc go unieruchomić.

A potem zamarła bez ruchu, zdając sobie sprawę z ich niestosownej bliskości. Ramię Ransoma, twarde jak kamień, gniotło ją w brzuch, a łokieć wbił się pomiędzy piersi.

– Proszę się nie ruszać! – błagała go bez tchu. – Im bardziej będzie się pan miotał, tym mocniej się wgryzie!

– Wcale się nie miotam.

No i rzeczywiście. Chwyciła go przecież za ramię, co pozwoliło jej zdać sobie boleśnie sprawę z jego siły. Ale zdawała sobie też sprawę i z czegoś innego. Z jego powściągliwości.

Gdyby tylko chciał, mógłby trzepnąć i nią, i Śnieżynką o ścianę z taką samą łatwością, z jaką przedtem zdemolował oba krzesła.

Usiłowała pohamować drżenie rąk, sięgając ku Śnieżynce, i zdołała wreszcie rozewrzeć palcami jej drobne szczęki.

– Puść go, kochanie. Na litość boską, puść księcia!

W końcu udało się jej uwolnić jego skaleczony, krwawiący palec.

Oboje odetchnęli z ulgą.

– Dobry Boże! – mruknął, potrząsając dłonią. – Cóż to takiego? Szczur?

Izzy zlazła ze stołu, tuląc mocno Śnieżynkę do piersi.

– Nie żaden szczur. Gronostaj.

Zaklął.

– Nosi pani ze sobą łasicę w torbie podróżnej?

– Nie. Noszę gronostaja.

– Łasica czy gronostaj, jeden diabeł.

– Ależ skąd – sprzeciwiła się, głaszcząc uspokajająco Śnieżynkę po pyszczku. – No cóż, może to i racja – zgodziła się. – Ale gronostaj brzmi wytworniej.

Tuliła Śnieżynkę jedną dłonią, drugą głaszcząc ją po brzuszku, aż wreszcie podeszła z nią do torby i otworzyła małe drzwiczki okrągłej

klateczki z pozłacanych drutów.

– Właź tam – szepnęła – i bądź teraz grzeczna.

Pies znów zawarczał na Śnieżynkę, a ta w odpowiedzi wyszczerzyła ostre jak igły ząbki.

– Bądź grzeczna! – nakazała jej Izzy, tym razem ostrzejszym tonem, i odwróciła się ku księciu. – Wasza Wysokość, proszę pozwolić, żebym obejrzała zranienie.

– To nic takiego.

Izzy jednak chwyciła go za przegub i przyjrzała się końcowi palca.

– Niestety, mocno krwawi. Trzeba to zaraz oczyścić, nie można zwlekać. Och…

Podczas jej przemowy książę chwycił ze stołu karafkę whisky i chlusnął nią prosto na ranę.

Izzy skrzywiła się na ten widok.

On jednak ani nie drgnął.

Wyciągnęła z kieszeni czystą chustkę.

– Proszę pozwolić, żebym go owinęła.

Gdy to robiła, przyjrzała się uważnie jego dłoni. Wielkiej. Mocnej. Naznaczonej mnóstwem śladów po okaleczeniach i oparzeniach. Niektóre były świeże, inne już zagojone. Na trzecim palcu prawej ręki nosił złoty, masywny sygnet. Najwyraźniej książęta wszystko lubią mieć okazałe.

– Ranka wciąż krwawi – powiedziała. – Pewnie pan nie ma plastra?

– Nie mam.

– W takim razie trzeba ją mocno uciskać, póki krwawienie nie ustanie. Proszę mi pozwolić. Już to robiłam przedtem. – Owinęła koniec jego palca chustką i ścisnęła ją. – O, tak. Teraz poczekamy minutę lub dwie.

– Ja ją potrzymam. – Cofnął się i sam chwycił za palec.

Była to najdłuższa i najbardziej przepojona zmysłowością minuta jej życia.

Poprzednio przeżyła wiele takich nieodwzajemnionych zauroczeń. Na ogół jednak traciła głowę dla zadumanych uczonych ubranych w tweedy lub poetów o rozwichrzonych, ciemnych kędziorach i tęsknej minie.

Książę Rothbury wcale jednak nie przypominał dżentelmenów, którzy niegdyś zawrócili jej w głowie. Był bezwzględny, nieustępliwy i nieoczytany, nawet zanim odniósł ranę. Co więcej, kłócili się o prawo do zamku, a on groził, że ją wyrzuci prosto w zimną noc północnej Anglii.

Mimo to wszystko w niej drżało z podniecenia na jego widok.

Był tak blisko. I taki wysoki. Taki władczy.

Taki męski.

Cała drżała. Może to właśnie czują górale, stojąc u stóp groźnych, ośnieżonych stoków? Radosne podniecenie, lęk przed niebezpieczeństwem i zarazem pewną słabość w uginających się kolanach.

– Śnieżynka! – parsknął z pogardą, wspierając się o kant stołu. – Powinna pani raczej zmienić jej imię na Piranię. Któż, u licha, hoduje łasicę jako ulubieńca?

– Dostałam ją w prezencie.

– Któż daje łasicę w prezencie?

– Jeden z wielbicieli pisarstwa mojego ojca.

– Chyba jeden z jego wrogów.

Izzy siadła przy nim na blacie stołu, rezygnując z dalszych wyjaśnień. Cała ta historia wymownie świadczyła o tym, że literacki sukces ojca i powszechne uwielbienie nigdy nie pociągały za sobą konkretnych korzyści.

– Mój ojciec pisał długą, ciągnącą się bez końca sagę o rycerzach, damach, ich podłych wrogach, czarownikach… i zamkach. O wszystkim, co łączyło się z romantyczną rycerskością. A każda z tych historii zaczynała się od opowiadania mi czegoś na dobranoc. Mnie, małej Izzy Goodnight.

– I dlatego Archer spodziewał się małej dziewczynki?

– Właśnie. Ludzie zawsze się jej spodziewają. – Westchnęła. – Bohaterka tych baśni hoduje jako ulubione zwierzątko gronostaja. Oczywiście

fikcyjnego gronostaja. Równie dzielnego, wiernego, majestatycznego, białego i gładkolicego jak jego pani. A ten fikcyjny gronostaj potrafi się imać wszelkich przemyślnych, śmiałych, fikcyjnych przedsięwzięć, na przykład przegryza więzy swojej pani, gdy ta po raz trzeci zostaje porwana przez fikcyjnego Mrocznego Rycerza. No i dlatego jeden z wielbicieli opowieści mojego ojca uznał, że byłoby piękną rzeczą podarować prawdziwej Izzy Goodnight prawdziwego gronostaja, żeby miała go na własność.

Czyż to nie będzie wspaniałe? – musiał sobie pomyśleć ten głupiec. Czyż to nie będzie cudowne i zachwycające?

Tylko że ów pomysł wcale taki nie był. Ani dla Izzy, ani dla Śnieżynki.

Prawdziwy gronostaj bynajmniej nie był przemiłym, dzielnym i wiernym zwierzątkiem. Śnieżynka, owszem, miała smukłe, eleganckie ciałko, zwłaszcza zimą, gdy jej gęste futerko nabierało jeszcze większej białości. Tylko że – choć ważyła ledwie pół funta – zachowywała się jak agresywny drapieżnik. Przez całe lata Izzy musiała wycierpieć mnóstwo ukąszeń i zadrapań.

– Idiotyczny prezent – mruknął książę.

Niewątpliwie miał rację. Nie było w tym jednak winy Śnieżynki. Cóż mogła poradzić na to, że jest gronostajem? Przecież nie była w stanie stać się czymś innym. No i miała już prawie dziewięć lat. A Izzy nie mogła rzucić jej na pożarcie wilkom ani wilczurom.

– Zdaje mi się – powiedziała – że lord Lynforth miał podobny pomysł. Uznał, że zrobi wspaniale, darowując Izzy Goodnight prawdziwy zamek.

– Jeśli pani nie chce tego dziwacznego daru, można przecież odmówić jego przyjęcia.

– Ach, to nie to samo, co gronostaj. To posiadłość. Nie pojmuje pan, jak rzadko kobiety miewają jakąś posiadłość? Zawsze mają je ojcowie, bracia, mężowie, synowie. My nigdy nie posiadamy niczego na własność.

– Proszę mi nie wmawiać, że jest pani jedną z kobiet o radykalnych poglądach.

– Skądże! – odcięła mu się. – Właśnie jedną z tych kobiet, co nie mają niczego. Jest nas całe mnóstwo!

Wbiła wzrok w posadzkę.

– Kiedy zmarł mój ojciec, wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, przeszło na własność mojego kuzyna. Odziedziczył dom, gdzie mieszkałam od dziecka, razem z całym umeblowaniem. Każdy talerz z kredensu i każdą książkę z biblioteki. A nawet dochód z pisarstwa ojca. Cóż mi przypadło w udziale? Tylko Śnieżynka.

Zaczęły się jej trząść ręce. Nic nie mogła na to poradzić; wciąż jeszcze była zła na ojca. Za to, że umarł, i w dodatku właśnie w taki sposób. Za to, że pomagała mu przez wszystkie te lata, rezygnując z własnego życia; za to, że nigdy nie znalazł czasu, żeby napisać nowy testament i zadbać o jej bezpieczeństwo na wypadek nieszczęścia. Był zbyt zajęty odgrywaniem roli czułego taty snującego opowiastki córeczce.

Nie wyglądało na to, by książę przejął się jej losem.

– Może się pani przecież zwrócić do kuzyna.

– Do Martina? – Zaśmiała się na samą myśl. – Zawsze mną gardził, nawet gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Pchnął mnie do sadzawki, kiedy miałam osiem lat, i pękał ze śmiechu na brzegu, kiedy krztusiłam się i miotałam w wodzie. Nie ratował mnie wtedy, a teraz też tego nie uczyni. Mogę zrobić tylko jedno. To samo, co wtedy.

– Cóż takiego?

– Nauczyć się pływać. I to szybko.

Szerokie usta drgnęły z jednej strony. Nie potrafiła stwierdzić, czy był to półuśmiech uznania, czy ironia. I jedno, i drugie niepokoiło ją tak samo.

– Dosyć tej gadaniny – stwierdziła, patrząc na zaimprowizowany opatrunek. – Chyba krwawienie ustało.

Ransom oddarł zębami pas płótna z rogu chustki, owinął go wokół palca, starannie podwinął na końcach i mocno zawiązał.

– Wiem, że nie chce pan opuścić Gostley Castle – powiedziała. – Może zgodzimy się na wynajem płatny co kwartał?

Dochodu z budowli tej wielkości wystarczyłoby chyba na zapewnienie jej dobrze wyposażonego domku. Izzy nie potrzebowała zbyt wiele. Po całych miesiącach tułania się po cudzych domach jako gość tęskniła za najskromniejszą choćby wygodą. Zasłony, świeczniki. Pościel z jej wyhaftowanym monogramem…

Cokolwiek, co mogłaby nazwać swoją własnością.

– Czyste wariactwo! – sarknął. – Nie będę płacił za wynajmowanie własnego domu!

– Ależ on nie należy już do pana. Hrabia Lynforth kupił go i zostawił mnie.

Pokręcił głową.

– Ktoś go wystrychnął na dudka. Jakiś oszust musiał zaopatrzyć się w fałszywe dokumenty, żeby naciągnąć umierającego człowieka. Zatrudniam ponad tuzin rządców i prawnych doradców, żeby zajmowali się moimi sprawami, a oni nie mogli sprzedać zamku bez mojej zgody.

– Jest pan pewien? – Izzy uniosła brwi i spojrzała na stos zapieczętowanych listów. – Skąd pan może o tym wiedzieć, skoro od miesięcy nie otwiera pan poczty?

Wyjęła ze stosu listów jeden i przyjrzała mu się.

– Gdyby pan zechciał, mogłabym go odczytać i napisać odpowiedź. Od lat byłam sekretarką ojca.

– Nie chcę pani pomocy.

Powiedział to tak ostrym tonem, że list wypadł jej z rąk.

– Dam pani małą lekcję historii, skoro pani ojciec tak bardzo lubił przeszłość. Moi przodkowie zyskali tytuł książęcy, bo skutecznie strzegli szkockiej granicy. Przez całe wieki. A nie robili tego, by wznieść ręce do

góry i mówić: „Doskonale, niech ktoś zapuka do twoich drzwi i powie ci, że to jego zamek”.

Izzy zaśmiała się niepewnie.

– Przecież nie jestem bandą szkockich maruderów. A my nie żyjemy w szesnastym stuleciu.

– Owszem. Mamy prawo, mamy sądy. Jeśli więc pani chce zgłaszać pretensje do tego zamku, proszę sobie poszukać doradcy. Niech przejrzy dokumenty i napisze do moich ludzi, a potem mogą się spierać, ile wlezie. W końcu sprawę rozpatrzy kancelaria królewska. Pewnie za jakieś trzy lata, jeśli szczęście pani dopisze.

Trzy lata?

Izzy nie mogła czekać trzy lata. Gdyby zmuszono ją do odejścia stąd, nie wiedziałaby, jak sobie dać radę przez trzy najbliższe dni. No i nie miała pieniędzy na doradców – a już z pewnością nie na takich, którzy byliby w stanie negocjować z księciem.

Nie miała wyboru. Musiała obstawać twardo przy swoim i zachowywać się tak, jakby zamek należał do niej. Jeśli książę zdoła wyrzucić ją stąd dzisiaj, nigdy nie będzie tu mogła wrócić.

– Jeśli pańscy doradcy pofatygują się tutaj i obejrzą dokumenty, chętnie im na to pozwolę. Ale się stąd nie wyniosę.

– Ani ja. – Zmarszczył czoło po tej stronie, gdzie nie było blizny. Gdyby mógł spiorunować ją wzrokiem, byłoby to chyba spojrzenie zdolne przeciąć diament.

– Po cóż ta wrogość? – spytała. – Na litość boską, przecież wniósł mnie pan tu na rękach, żebym nie mokła na deszczu. Mogłabym drugi raz zemdleć już na samą myśl o tym.

– Proszę nie mylić tego z rycerskością.

– W takim razie cóż to było?

– Trzeźwy sąd. Nie mogłem pani tam zostawić. Jeszcze by panią oblazło jakieś robactwo.

– Och jej. – Izzy uśmiechnęła się. – W dodatku ma pan poczucie humoru!

Najwyraźniej nikt mu od dawna nie prawił komplementów, bo wyglądał teraz jak ktoś trafiony nabojem. Albo jak zmokły kot.

Mógł sobie być bogaty, możny, gniewny i potężnej postury. Ale przynajmniej pod jednym względem miała nad nim przewagę. Dobrze wiedziała, jak sobie radzić w niełatwej sytuacji i wziąć górę nad kimś o niemiłym usposobieniu.

Kiedy ją pchnięto do sadzawki, z miejsca nauczyła się pływać.

– Po cóż mamy się spierać? Pan chce tu zostać. Ja także. Póki nie załatwi się wszystkiego należycie pod względem prawnym, będziemy tutaj przebywać razem.

– Razem?

– Tak, razem. Zamek jest obszerny, zbudowano go dla mnóstwa ludzi. Po prostu zamieszkam w jednej z jego wież albo skrzydeł. Nawet mnie pan nie zauważy.

Nachylił się ku niej.

– Och, zauważę panią, panno Goodnight, zauważę! Zamek nie jest na tyle duży, żeby mężczyzna taki jak ja mógł choć na chwilę nie zdawać sobie sprawy z obecności kobiety takiej jak pani. Nie musiałaby się pani nawet odzywać. Mógłbym słyszeć szelest pani halek. Mógłbym czuć zapach pani skóry. Mógłbym czuć ciepło pani ciała.

O Boże. Jeśli mógł wyczuć jej ciepło, to właśnie w tej chwili. Całe ciało miała gorące.

– Nie jestem lordem Archerem – ciągnął tym samym niskim, uwodzicielskim głosem. – Nigdy nie czytałem ckliwych historyjek pani ojca i nie uważam pani za małą dziewczynkę. Przesuwałem dłońmi po całym pani ciele. A moje dłonie mają znakomitą pamięć.

O… Boże.

Nie wiedziała o tym. Nie mogła wiedzieć, żyjąc w zupełnej samotności, czego nie mógł się domyślać. Dał jednak wyraz wszystkiemu, czego pragnęła od tak dawna. Żeby na nią zwrócono uwagę. Nie tylko jako na dziewczynkę z opowieści. Żeby zauważono ją jako kobietę.

– Czy pani pojmuje, o czym mówię? – spytał.

– Tak – odparła niemalże szeptem. – Ale byłby pan niespełna rozumu, gdyby uznał, że cofnę się teraz.

Stali naprzeciw siebie w napięciu i bez słowa.

– A właśnie, że tak – odparł z wolna. – Opuści pani to miejsce w ten sam sposób, w jaki tu przyszła.

Dźwignął się, chwycił ją za nogi, przewiesił sobie przez ramię – z wprawą mężczyzny, który niejedną kobietę potraktował w identyczny sposób. Na pewno nie robił tego po raz pierwszy.

Natomiast Izzy po raz pierwszy znalazła się w podobnej sytuacji i nie miała pojęcia, jak się zachować. Czy miała bić go pięścią po plecach? Kopać i krzyczeć? Później rozmyślała o tym mnóstwo razy. Wynajdywała zręczne odpowiedzi i cięte riposty. Teraz krew uderzyła jej jednak do głowy, a w głowie miała zupełną pustkę.

Uniósł ją całą ku górze, podpierając od tyłu jej ciało przedramieniem.

– Ależ pani waży tyle, co nic.

Lekceważące słowa rozwiązały jej język.

– Nieprawda. Jest we mnie sporo siły, Wasza Wysokość. Więcej, niż pan przypuszcza. Może mnie pan stąd wynieść, ale ja wrócę. Znowu wrócę. Tyle razy, ile będzie trzeba. Bo to jest teraz mój zamek. Nie zrezygnuję z niego!

4

*R*ansom pokręcił głową. Dzielna odpowiedź jak na tak wątłą kobietkę, którą niósł na ramieniu. Ale panna Goodnight mogła sobie mówić, co tylko chciała. Prawda zaś przedstawiała się następująco: była bezbronną, niezamężną dziewczyną niemal bez grosza, a on – księciem. Decyzje należały do niego.

Resztki rozumu i obolały palec prawej ręki mówiły mu jednak, że niełatwo będzie sobie z nią poradzić. Ze swym upośledzonym wzrokiem zależny był od pamięciowej mapy tego miejsca, jaką sobie wypracował. Mapa ta obejmowała każde wnętrze, każde schody, każdą płytę kamiennej posadzki. Nie było w niej miejsca na skaczące łasice ani na wytrącające go z równowagi kusicielki.

Trzeba się jej było koniecznie pozbyć.

Tylko że teraz, kiedy znów trzymał ją w objęciach, z piersiami przyciśniętymi do jego pleców i uroczym, zaokrąglonym tyłeczkiem wspartym na jego przedramieniu, jakże daleko od jego mózgu, inne części własnego ciała podsuwały mu całkiem odmienne sugestie. Niebezpieczne sugestie.

Co oznaczało, że stanowczo trzeba się jej pozbyć.

Nawet przed swoim okaleczeniem nie pozwalał kobietom zbytnio się zbliżać do siebie. Och, brał ich wiele do łóżka, ale zawsze sowicie je wynagradzał za tę słabostkę – pieniędzmi, rozkoszą, albo i jednym, i

drugim – a potem się z nimi żegnał. Nigdy się nie budził rankiem obok żadnej z nich.

Jeden jedyny raz zapragnął postąpić inaczej i nie skończyło się to dobrze. W rezultacie wylądował w tym walącym się zamku, niewidomy i załamany.

A jednak w jakimś głęboko ukrytym, zaniedbanym zakątku duszy kiełkowała bolesna świadomość, jak drobna i samotna była Izzy. I że mimo zuchwałych słów cała drżała.

Dobry Boże. Panno Goodnight, co ja z panią pocznę? – pomyślał.

Nie mógł pozwolić, żeby się rozgościła w zamku. Nie mogła go z nim dzielić, to było wykluczone. Ale czy naprawdę musiał być okrutnym brutalem bez serca, który pragnął wyrzucić z niego bezbronną młodą kobietę prosto w noc?

Nie chciał w to uwierzyć. Nie teraz. Nigdy się łatwo nie poddawał, o czym świadczyły szczątki jego złamanej duszy.

Postawił pannę Goodnight z powrotem na nogi. Ciało jej ześlizgnęło się z niego niczym kropla deszczu ze skały.

Wiedział, że pożałuje tego, co zaraz powie. Było to bowiem coś przyzwoitego, a jeśli w życiu czegoś się nauczył, to tego, że ile razy zrobił coś przyzwoitego, musiał potem za to płacić.

– Może pani tu zostać na jedną noc.

Niemądrze zrobił, tracąc czas na kłótnie o to, kto ma do zamku prawo, bo sama budowla była dostatecznie przekonującym argumentem. Kiedy ona spędzi noc w Gostley Castle, zapragnie stamtąd wiać na cztery wiatry.

Panna Izolda Goodnight spędzi w nim Bardzo Nieprzyjemną Noc.

„Może pani tu zostać na jedną noc”.

Izzy chętnie by podskoczyła z radości, ale pohamowała się.

Zamiast tego cofnęła się o krok, wygładzając suknię i włosy. Twarz miała całą czerwoną, ale przynajmniej tego nie mógł dostrzec.

– Tylko na jedną noc – powtórzył. – A zgadzam się na to jedynie dlatego, że jedna noc w tym miejscu całkiem pani wystarczy.

Istotnie, zyskała niewiele, ale dobre i to na początek.

– Chodźmy więc. Pokażę pani pokój. Mój sługa przyniesie tam później pani rzeczy.

Izzy opuściła hol i poszła za nim po spiralnie kręconych schodach. Były tak wąskie, że się wzdrygnęła. Po zapadnięciu zmroku kamienne klatki schodowe i korytarze zamku robiły iście grobowe wrażenie.

– Bez wątpienia zechce pani przenocować w najlepszym pokoju, skoro sądzi, że to teraz jej zamek.

Zapuścili się w długi korytarz. Wysokie stopnie zawiodły go ku samemu jego środkowi. Nie liczył ich na głos, ale mogła wyczuć, że robi tak w myśli. Orientował się w przestrzeni wręcz zdumiewająco.

Wreszcie stanął, a potem odwrócił się nagle ku niej.

– No proszę. Spodziewam się, że będzie pani odpowiadał.

Kiedy zajrzała do środka, zaskoczył ją widok bogato umeblowanego pokoju. Masywne łoże zajmowało połowę miejsca. Stało na podwyższeniu, a mahoniowe podpory baldachimu sięgały niemal pod sufit. Wszędzie wisiały aksamitne kotary i gobeliny. Innych mebli było niewiele: krzesło z wgłębieniem w siedzeniu i kilka zaniedbanych kuferków podróżnych, a także gotowalnia pokryta grubą na palec warstwą kurzu. Cały szereg gotyckich ostrołukowych okien widniał w tylnej ścianie, lecz niemal wszystkie miały potłuczone szyby.

– Och – powiedziała, usiłując pohamować przestrach na widok fatalnego stanu pokoju. – Ojej.

– Proszę się dobrze przyjrzeć – powiedział drwiąco – i podziwiać splendor pani domniemanego dziedzictwa. Aż do mojego przyjazdu kilka miesięcy temu nikt tu nie mieszkał przez całe dziesiątki lat. Ograbiono to miejsce całkowicie. Zostało tylko kilka umeblowanych pokoi, wszystkie w stanie całkowitego zniszczenia.

– Jeśli tak, jestem rada, że przetrwało aż tyle mebli. – Izzy weszła do wnętrza. Posadzkę pokrywał wzorzysty dywan. Mocno wprawdzie wytarty, ale jeśli dotrwał aż dotąd, musiał być solidnej roboty. – Rzucę tylko okiem na to łóżko.

– Mierzy czterdzieści stóp. Duże na tyle, by pomieścić księcia i pół tuzina kobiet na dodatek. Sprawia, że człowiek zaczyna tęsknić za średniowieczem.

– Nie było przeznaczone do spania – powiedziała. – A przynajmniej… nie do takiego spania, o jakim pan myśli. To zapewne największa komnata zamkowa. Średniowieczni panowie prowadzili w takim łożu interesy w ten sam sposób, w jaki królowie siedzieli na tronach. Dlatego właśnie ustawiano je na podwyższeniu i z tego powodu miało tak imponujące rozmiary.

– Fascynujące.

– Mój ojciec był w tych sprawach ekspertem. – Izzy podeszła do łoża i spojrzała na zasłony. Skrzywiła się. – Najwyraźniej zjadły je mole. To haniebne.

– Owszem. A szczury rozprawiły się z materacami.

Szczury?! Izzy odskoczyła w tył. Zakryła twarz rękami i przez szpary między palcami zerknęła na łoże zasłonięte wystrzępionymi kotarami. Rzeczywiście, materace były pełne dziur, a słoma i końskie włosie ze środka wyciągnięte i przeistoczone w…

O Boże, pewnie w szczurze legowiska.

Kiedy zaczęła przypatrywać się im dokładniej, przysięgłaby, że w zniszczonych siennikach zbutwiała słoma się porusza.

Zmusiła się, żeby powiedzieć:

– Śnieżynka byłaby temu bardzo rada, no i miałaby się czym pożywić.

Wzdrygnęła się, słysząc odległy jęk.

– Co to takiego?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie głos jakiegoś ducha.

– Ducha?

– To zamek na ziemiach pogranicza, panno Goodnight. Jeśli zna się pani na zamkach, powinna pani wiedzieć, co to znaczy.

– Wiem.

Powodem wzniesienia Gostley Castle była chęć zduszenia szkockich rebelii. Co oznaczało, że rebeliantów brano do niewoli, a nie przyjmowano ich tu jako gości. Trudno powiedzieć, jak wielu ludzi było tutaj więzionych, a nawet torturowanych i zabijanych, przez całe wieki. Niewątpliwie przez przodków księcia.

– Nie wierzę w duchy – odparła.

Uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie wiem, czy powtórzy to pani po tej nocy.

Po tej nocy. A noc wkrótce zapadnie. Żołądek Izzy skręcił się w supeł na samą myśl o tym.

– Zakładam, że podoba się pani urządzenie tego pokoju – ciągnął, wspierając się ramieniem o wejście zakończone łukiem.

To nie było właściwe słowo. Lepiej byłoby powiedzieć, że ją przeraża. Myśl o spędzeniu tu nocy sprawiła, że cała się zatrzęsła.

Nie mogła sobie jednak pozwolić na przerażenie. Chciał najwyraźniej, żeby stąd uciekła.

A więc tutaj ma spędzić noc. Wśród szczurów, moli i całej reszty.

Zmusiła się do okazania entuzjazmu, którego wcale nie czuła.

– Z pewnością będzie to zachwycająca sypialnia, jeśli poświęci się jej trochę pracy i wyobraźni. Proporcje ma majestatyczne. Trzeba tylko zaopatrzyć łoże w nowe zasłony i materace. – Podeszła do rzędu okien. – A stąd jest piękny widok na zachody słońca.

– Dla tych, którzy mogą je oglądać.

Izzy pożałowała swojego nietaktownego komentarza.

– Mogę go panu opisać.

– Proszę się nie fatygować. Widywałem już zachody słońca.

– Ale akurat tego zachodu słońca pan nie widział.

Widok z okna zapierał wprost dech. Pokryte chmurkami niebo było częściowo szare, częściowo zaś jaskrawobłękitne i różowopomarańczowe. Z tej perspektywy można było dojrzeć zamkowe obwarowania. Tonęły w romantycznej wieczornej mgle, zasnuwającej wszystko od strony morza.

– Słońce zachodzi tuż za wieżą. Tylko że słowo „zachodzi” nie jest właściwym określeniem. Brzmi zbyt łagodnie. Bo to słońce walczy, osuwając się w dół, niby skrwawiony wojownik w paszczę wielkiej, kamiennej bestii.

Usłyszała kilka ciężkich kroków. Stanął za nią.

– Czy już znikło?

– Prawie. Jeszcze tylko ostatni złoty odblask, a potem stoczy się w dół i…

Wstrzymała dech.

– …już go nie będzie.

– Zachody słońca łączą się w tym zamku z pewną regułą, panno Goodnight.

– Z jaką?

Odwrócił ją ku sobie.

– Mężczyzna i kobieta stojący w tym właśnie miejscu są zmuszeni się jej poddać. Nie ma wyboru. Pozostaje im tylko jedno.

– Co?

Puls jej gwałtownie przyspieszył. Chyba on nie ma na myśli…

– Muszą się skulić.

– Skulić?

Wciąż jeszcze wpatrywała się w niego zdumiona, gdy przykuł jej uwagę jakiś dziwny dźwięk. Jakby mnóstwo wilgotnej bielizny trzepotało na sznurze, kołysane wietrzykiem.

Odwróciła się od okna.

O Boże!

Na jej oczach wielki baldachim łóżka zdawał się nabierać życia. Najpierw się zmarszczył, później zafalował niczym peleryna na wietrze.

A potem zaczęły się od niego odrywać, jeden za drugim, jakieś małe kształty.

– Och, nie! – Izzy zesztywniała. – Przecież to nie mogą być…

Ale to były właśnie one.

Nietoperze.

Cała ich kolonia gnieździła się w najwyższej części baldachimu. Teraz kolejno rozwijały skrzydła, najpierw kilka z nich, potem dziesiątki, a wreszcie setki.

Odwróciła się – akurat we właściwym czasie, by dojrzeć następny czarny rój nad kominkiem. Musiało ich tu być tysiące.

I wszystkie leciały prosto ku oknom.

– Proszę się skulić! – powtórzył. – W tej chwili!

Gdy nie zdołała zrobić tego natychmiast, objął ją ramionami i przygiął ku posadzce.

W tym momencie nietoperze były już wszędzie, tworząc ponad nimi ruchomą czarną chmurę. Izzy wtuliła głowę w ramiona i pozwoliła się osłonić Ransomowi. Podbródek jego wsparł się mocno na jej głowie, a bokobrody zetknęły się z włosami.

A jej serce biło teraz mocno i równo. Chwyciła obiema dłońmi za jego koszulę i skryła twarz zgodnie z tym rytmem, póki nie słyszała już nic innego. Żadnego łopotu. Żadnego pisku. Tylko bicie własnego serca.

Wreszcie uniósł głowę.

Izzy zrobiła to samo.

– Słyszałam, że pańskim zdaniem jest to najlepszy pokój.

– Wcale się nie myliłem. Poleciały stąd wszystkie. Nie wrócą aż do rana. Jest bezpiecznie.

Och, wcale nie było tam bezpiecznie. Zapadła już noc, a ona utknęła w tym nawiedzonym, pełnym szczurów i nietoperzy zamku. W ramionach bulwersującego, intrygującego, przebiegłego księcia. Nie miała pojęcia, co z nim począć. A nawet z sobą samą, chyba że zaczęłaby wymachiwać rękami i chaotycznie się jąkać. Nic innego nie przyszło jej na myśl. Żaden z tych pomysłów nie nadawał się zresztą do niczego.

A potem… poczuła, że coś ją drapie tuż za uchem.

I mogła już tylko wrzasnąć.

Ransom miał ją właśnie puścić, kiedy nagle przylgnęła do niego kurczowo.

– Proszę mi pomóc! – wyszeptała. Głos jej drżał. Ciało również.

– Co się stało?

– Nie… nietoperz!

O mało się nie roześmiał.

– Nie… nietoperze już sobie poleciały, panno Goodnight.

– Nie! Nie wszystkie. Jeden wkręcił mi się we włosy!

– Nic się tam pani nie wkręciło. To przesądy starych bab. Nietoperze nie wkręcają się ludziom we włosy.

– Jeden – jest – w moich – powiedziała, wymawiając każde słowo z osobna i o pół tonu wyżej. A potem pisnęła przeraźliwie: – Proszę go przepędzić!

Owszem, nietoperze nie wkręcają się nikomu we włosy, on jednak zapomniał, że Izzy nie miała zwyczajnych włosów. W tę kędzierzawą masę mógł się wplątać nawet królik.

Ransom obawiał się, zanurzając palce w ich krętą gęstwinę, że te włosy mogą zagarnąć nawet i jego.

Z pewnością zawiniła tu jego ciekawość, był tego pewien. Te loki musiały być ciemne. Głos jej, głęboki i ciepły, brzmiał jak u osoby ciemnowłosej, bo większość dziewcząt z tak mocno kręconymi włosami to brunetki. A jeśli miała ciemne włosy, ciemne też były zapewne jej oczy.

Obraz czarnowłosej, ciemnookiej piękności o pełnych, czerwonych wargach zaczął się coraz wyraźniej formować w jego umyśle, nim zdołał go zdusić.

– Proszę się nie ruszać – powiedział.

I ty także, zwrócił się w myśli do tego, co czuł w pachwinie.

Wsunął palce w jej włosy, niemal dotykając skóry, i rozgarniał je.

– Czy wyleciał?

– Nie. Wciąż tam jest. Czuję go.

Wzdrygnęła się cała.

– Wiem, o co tu chodzi. Jest pani silną, niezależną, przyzwoitą kobietą. Aż do chwili, kiedy coś na panią wlezie. A wtedy się słyszy: „Ojej! Ratunku!”

Mruknęła coś gniewnie.

– Jest malutki – powiedział, kiedy w końcu go znalazł. – Nie większy od sikorki i o wiele bardziej przerażony niż pani.

Westchnęła.

– Dlaczego ludzie zawsze coś takiego powiedzą? To nigdy nie pomaga.

– Odwróciłoby pani uwagę spojrzenie mi w twarz, ale to daremne. Poprzednim razem zemdlała pani na jej widok.

– Nie zemdlałam z powodu pańskiej…

Syknął, żeby się uciszyła, i rozgarniał nadal jej splątane włosy. Nie chciał słyszeć żadnych wyjaśnień ani przeprosin.

Wolną ręką trzymał ją za ramię. Pogładził je kciukiem.

Zrobił to, żeby ją uciszyć, jak sobie wmawiał.

A nie żeby ją pocieszyć.

Chciał bowiem, żeby się go bała. Żeby sobie stąd poszła. Żeby go zostawiła samego. Jak zrobiłaby każda rozsądna, młoda kobieta.

Stanowczo nie chciał jej trzymać w ramionach, ciepłej i ufnej, z sercem bijącym szybciej niż skrzydła nietoperza.

Poczuł, że nietoperz wyplątał się wreszcie z jej włosów i odleciał. A uwolnione od ciężaru loki wypełniły jego dłoń, miękkie, nieposkromione i zmysłowe.

– No, już go nie ma – oznajmił. – Odleciał.

– Pan wiedział, że tak będzie – powiedziała z wyrzutem. – O zachodzie słońca. O nietoperzach.

Nie próbował zaprzeczać.

– Proszę uważać, że to rewanż za łasicę.

– Och, ty… ty…

– Okrutny łajdaku? – podsunął jej. – Hultaju bez serca? Nędzniku? Już mnie tak przezywano, a nawet gorzej. Moje ulubione wyzwisko to „łotr”. Całkiem ładne słowo.

– Ty źle wychowany łobuzie, któremu się narzuciłam pewnego deszczowego popołudnia, a potem go nie sklęłam tak, jak należy!

Odepchnęła go i wstała.

– Może pan sobie zatrzymać wszystkie nietoperze! Ja się stąd wynoszę.

Naprawdę chciała już odejść?

To było niemal za łatwe.

Ransom wyszedł w ślad za nią z pokoju. Wrócili długim korytarzem do schodów prowadzących ku wielkiemu holowi.

– Nie musi pani odchodzić właśnie w tej chwili – powiedział. – Proszę przynajmniej poczekać, póki nie wróci mój służący. Mogę dać pani trochę pieniędzy, a on odwiezie panią do wioski powozem.

– Nie potrzebuję powozu ani pieniędzy. Pójdę sobie.

– Pójdzie pani?

– Znam kilka osób w Newcastle. To chyba niedaleko stąd?

– Och, całkiem niedaleko. Jakieś dwadzieścia pięć mil lub coś koło tego.

Zatrzymała się w pół kroku.

– No to będę długo szła. Lepiej ruszyć w drogę już teraz.

Poszedł w ślad za nią ku wyjściu. Pieszo do Newcastle, akurat! Co ona sobie, u diabła, wyobraża? Pewnie te wszystkie bajki, na których się wychowała, zamąciły jej w głowie. Czy zamierzała przedzierać się przez lasy i łąki, ścinając parasolem kapelusze muchomorów i pozwalając się prowadzić leśnym zwierzętom?

– Niech pan nie myśli, że to koniec – powiedziała, sięgając po klatkę z gronostajem i sakwojaż. – Miał pan rację, mam zapewne wielu przyjaciół. Wpływowych przyjaciół. Tysiące ludzi w całej Anglii zapragną gościć u siebie małą Izzy Goodnight. Niektórzy z nich są z pewnością doradcami.

Usłyszał szelest papieru.

– W takim razie nawiążę znajomość z panami… Blaylockiem oraz Riggettem i zobaczę się z panem za trzy lata w kancelarii królewskiej. Do widzenia, Wasza Wysokość.

Gdy przechodziła obok niego, złapał ją nagle za łokieć.

– Nie tak szybko. Co pani wiadomo o Blaylocku i Riggetcie?

– Nazwiska ich figurują na akcie notarialnym. Mówiłam już panu, że byłam sekretarką ojca. Wiem, jak sobie radzić z dokumentami prawnymi. A teraz, gdy mnie pan łaskawie puści, pożegnam się, choć niezbyt uprzejmie.

Zacisnął rękę na jej ramieniu.

– Nie.

– Nie? – powtórzyła jak echo.

– Nie.

Ransom trzymał mocno pannę Goodnight za ramię. Po tym, co przed chwilą powiedziała, nie zamierzał pozwolić jej, żeby gdziekolwiek odeszła. Nie tego wieczoru.

– Dziwne, Wasza Wysokość. Przecież zadał pan sobie wiele trudu, żeby się mnie pozbyć.

Owszem, zrobił to. Ale nim usłyszał od niej nazwiska swoich dwóch najbardziej zaufanych doradców. Blaylock i Riggett prowadzili jego sprawy od lat. Wolno im było zarządzać wszystkim w razie jego nieobecności.

Nigdy jednak nie mogli podpisywać aktu sprzedaży nieruchomości bez jego wiedzy i zgody.

Coś tu było nie w porządku. Ransom nie wiedział wprawdzie co, ale wiedział, że mu się to nie podoba.

– Pańskie wysiłki odniosły skutek, Wasza Wysokość. Gratuluję. Idę stąd i nie mam najmniejszej ochoty na spędzenie choćby jednej nocy w tym okropnym pokoju.

– Nie pójdzie pani nigdzie.

Zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem.

– Czy chce pan zrezygnować ze swoich roszczeń i zrzec się praw do nieruchomości?

– Nie. Nie oferuję też pani gościny w moim domu.

– W takim razie nie rozumiem, co…

– Proponuję pani posadę mojej sekretarki.

Zareagowała na tę nowinę kamiennym milczeniem.

Tylko że on też nie był z tego zadowolony. Ale wymawiając te dwa nazwiska – Blaylock i Riggett – uświadomiła Ransomowi z bolesną jasnością, że potrzebował kogoś do czytania mu na głos korespondencji. Miał posiadłości i zobowiązania. Jeśli doradcy niewłaściwie zarządzali sprawami pod jego nieobecność, mogły z tego powodu ucierpieć tysiące ludzi. Musiał dojść, co się właściwie stało.

– Wynajmuję panią do czytania mi korespondencji – powiedział. – Wiem, że nie jest to idealne rozwiązanie.

– Ma pan rację. Nie jest.

– W zwykłych okolicznościach nigdy bym nie powierzył kobiecie tego zadania. Ale czas nagli, a nie mam nikogo innego na podorędziu.

Usłyszał, jak wciągnęła dech.

– Zamierzam wynagrodzić panią należycie – oznajmił. – Daję pięćdziesiąt funtów.

– Rocznie?

– Dziennie.

Odetchnęła głośno i powoli.

– Proszę się nad tym zastanowić. Jest pani osobą bystrą, choć nie najlepiej wie, jak się własną bystrością posłużyć. Być może odpowiedź na dyskusję o naszej małej posiadłości kryje się gdzieś w tej stercie papierów. Kiedy ustalimy, że zamek wciąż należy do mnie, dostanie pani pieniądze i będzie mogła pójść gdziekolwiek indziej.

Wyraźnie mógł wyczuć jej ulgę.

Chyba że zmysły go łudziły.

– Sto – odparła.

– Co takiego?

– Chcę sto funtów dziennie. Odnowię za nie zamek, kiedy zyskam pewność, że należy do mnie. – A potem ostrożnie dodała: – I chciałabym, żeby pan się na to zgodził.

Przyciągnął ją do siebie za ramię.

Zderzyła się z jego piersią.

– Niech pani nie będzie głupia – powiedział z cicha. – Potrzebuje pani pieniędzy. Oboje potrzebujemy odpowiedzi na pewne pytania. Ta umowa przyniesie nam obojgu korzyść.

– W takim razie proszę puścić moje ramię i ładnie mnie poprosić.

Nachylił ku niej głowę i poczuł dotyk jej loków na policzku.

– Dwieście funtów. Dwieście funtów dziennie to niezła sumka.

– Słowo „proszę” nic nie będzie pana kosztowało.

Milczał. Nie chciał dać się ubłagać. Jeśli miał ją zatrudnić, musiała się nauczyć, że on tu rozkazuje.

– O Boże! – szepnęła. – Czy naprawdę tak się pan boi prosić o pomoc? Czy to coś strasznego?

– Wcale się nie boję.

– Już pan to mówił. – Położyła mu rękę na przodzie koszuli. – Ale ta rzecz bijąca w pańskiej piersi mówi co innego.

Mała figlarka.

Krew jego pulsowała tylko z jednego powodu i nie miało to nic wspólnego ze słowem „proszę”, tylko ze słowem „tak” i „o Boże, tak” oraz: „właśnie tak, ale mocniej”.

– Bardzo przepraszam – powiedział znany mu dobrze głos od strony wejścia. – Chyba państwu w czymś przeszkodziłem.

Duncan.

Ransom wzdrygnął się cały.

– Nie słyszałem, jak wszedłeś.

– Jasne, Wasza Wysokość.

Jasne i niepokojące. Jawny dowód, jaki wpływ miała na niego ta kobieta, skoro nie zauważył nawet powrotu służącego.

– Nigdy nie myślałem, że przyjdzie mi coś takiego rzec, Wasza Wysokość, ale dziwnie mnie podniósł na duchu pański powrót do dawnej rozpusty. Usunę się panu z drogi na cały wieczór.

– Nie! – Panna Goodnight aż podskoczyła. – To nieporozumienie! Nie chodzi o żadną rozpustę. Ja tylko chciałam stąd…

– Duncan, to jest panna Izolda Goodnight. Moja nowa sekretarka. Jutro znajdziemy jej jakieś lokum, ale dzisiaj zostanie tutaj. Trzeba jej czystego, wygodnego pokoju, solidnej kąpieli i ciepłego obiadu.

Ścisnął ją porozumiewawczo za rękę, nim ją puścił.

– Czyż nie?

5

*I*zzy wyrosła w przekonaniu, że „proszę” jest słowem iście magicznym.

Myliła się.

Najwyraźniej tym magicznym słowem był „obiad”. A słowa „kąpiel” i „wygodny pokój” też cechował jakiś szczególny urok. Wypowiedziane tuż po sobie miały siłę zaklęcia. Izzy nie potrafiła powiedzieć „nie”.

– Mam nadzieję, że to na dzisiaj wystarczy, panno Goodnight. – Duncan wskazał jej mały, skąpo umeblowany pokoik. – Wiem, że jest skromny, ale to jedyne czyste łóżko w tym zamku. Moje łóżko.

– Bardzo to szczodre z pana strony, że mi je pan odstępuje. – I jakie dziwne, że jedyne w zamku. – Czy książę nie ma sypialni?

– Nie. – Duncan westchnął, jakby chcąc jej dać do zrozumienia, że jest to przyczyną częstych sprzeczek. – On sypia w wielkim holu.

Izzy przyglądała się uważnie słudze. Był wysoki, chudy, ciemne włosy siwiały mu na skroniach. Inaczej niż książę, miał na sobie starannie wyszczotkowany czarny surdut, wykrochmalony halsztuk i wyczyszczone do połysku buty.

– A więc jest pan służącym Rothbury’ego?

– Tak. Choć przykro mi się do tego przyznawać, skoro on się upiera, żeby wyglądać tak niechlujnie. Prawdziwy to kłopot dla mnie.

– Od jak dawna tu żyjecie?

– Od siedmiu miesięcy, panienko. Od siedmiu długich miesięcy.

O Boże. Siedem miesięcy to naprawdę bardzo długo.

– Co się stało? – spytała. – W jaki sposób książę nabawił się kalectwa?

– Panno Goodnight, służyłem w tej rodzinie, nim jeszcze Jego Wysokość przyszedł na świat. Obowiązek i honor zabraniają mi plotkować o moim panu.

– No, oczywiście. Proszę mi wybaczyć moją śmiałość. Ale musiałam zapytać.

Izzy uznała, że trzeba się będzie tego dowiedzieć od księcia.

Duncan, po kilku wyprawach w różne strony, przyniósł jej sakwojaż, tacę z prostym, ale pożywnym i obfitym posiłkiem, dzbanek ciepłej wody i umywalkę.

– Bardzo mi przykro, panno Goodnight, że nie mogę służyć pani większymi wygodami.

– Niech się pan nie martwi, to wszystko jest wspaniałe.

Wszystko było wspaniałe w porównaniu z upiornym pokojem pełnym nietoperzy.

– Jakież to przykre, że po długich miesiącach odtrącania moich prób przyzwoitej posługi mamy gościa w Gostley Castle. Gościa, któremu powinno się zaoferować odpowiednie apartamenty i obiad z siedmiu dań. Pani jest Izzy Goodnight, jeśli się nie mylę? – spytał, zniżając niepotrzebnie głos do szeptu.

Skinęła głową.

– Dziwi mnie, że pan o mnie słyszał. Książę nie miał pojęcia, kim jestem. Powiedział, że nie lubi czytać.

– Rzeczywiście, nie lubi. Nigdy nie lubił. Zresztą ja też, jeśli o to chodzi. Chodziłem do szkoły tylko przez jeden rok. Ale gospodyni miała zwyczaj czytywać na głos odcinki powieści pani ojca w izbie czeladnej. Może mi pani coś powiedzieć o losach Mrocznego Rycerza, Kresydy i Ulryka?

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Nie.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość. Ale musiałem zapytać.

Uśmiechnęła się. Każdy ma jakieś sekrety.

– Rozumiem.

Duncan wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Izzy została sama, usiłowała się jakoś rozgościć.

Śnieżynka, rzecz jasna, mogła równie dobrze znaleźć się w siódmym niebie. Ten zamek, rojący się od gryzoni, równał się dla niej pobytowi w najwspanialszym hotelu londyńskim.

Gdy Izzy się rozebrała i doprowadziła do porządku włosy, wróciło do niej wspomnienie rozgarniających je dłoni księcia. A także wzajemnej bliskości ich ciał, gdy obydwoje kryli się wspólnie przed nietoperzami.

Wciąż jeszcze czuła w sobie przeżywane wtedy napięcie.

Wcale go do ciebie nie ciągnie, wmawiała sobie. Chciał ją jedynie onieśmielić. A prócz tego wszelki flirt, w jaki mógłby się zaangażować, wynikałby z nieporozumienia. Nie zainteresowałby się nią wcale, gdyby mógł widzieć.

Nim położyła się na wysokim łóżku, zapaliła swoim krzesiwem grubą świeczkę i przytwierdziła ją do posadzki za pomocą kilku kropel stopionego wosku.

Zanosiło się na długą i samotną noc. Izzy uzbroiła się w cierpliwość. Musi ją przetrzymać.

Otrzymała dokumenty dające jej prawo do tego zamku. Musiała teraz udowodnić, że ma do niego prawo, i zasłużyć sobie, by zostać jego panią. No i zrobi to. Oprócz ubrań i pary kolczyków z perełkami po ciotce Lilith Gostley Castle był pierwszą rzeczą wartą więcej niż jeden lub dwa funty, którą miała.

Nie zamierzała z niego rezygnować.

Żaden nietoperz, szczur ani okaleczony książę jej nie odstraszy.

Nie mogła jednak uciec przed ciemnością.

Izzy była dorosłą kobietą i rozumiała, że lęk przed ciemnością jest infantylną cechą. Umysł jej wiedział o tym, czuła wyraźnie w duchu, że to dziecinada, ale ciało ani rusz nie dawało się przekonać. A już na pewno nie było o tym przekonane serce, które waliło wprost przeraźliwie.

Siadła raptownie na łóżku, zdezorientowana i mimo chłodu oblana potem. Świeca już się wypaliła i wszędzie panował mrok. Gęsty, przygniatający, nieprzenikniony mrok, którego nie rozświetlał najsłabszy nawet blask księżyca.

Rozglądała się we wszystkich kierunkach, nie mogąc jednak nic dojrzeć, ale nie była w stanie zrezygnować z wpatrywania się w ciemność. Szukała gorączkowo krzesiwa, nie mogła go jednak wymacać. Gdzież u licha je położyła?

Jakżeż nienawidziła i swojego lęku, i tego, że ją ogłupiał. Wczoraj przyjechała samotnie do Northumberland, objęła w posiadanie średniowieczny zamek warowny i zdołała stawić czoło okaleczonemu, gniewnemu księciu. Powinna więc była czuć się w każdej mierze silną kobietą. Ale w ciemności zawsze była przerażoną dziewięciolatką.

Odległe wspomnienia znów ją dopadły. Z trudem przełknęła ślinę; gardło miała tak wyschnięte, jakby przez kilka godzin krzyczała.

Zaczęła się trząść. A niech to licho.

Podciągnęła kolana pod samą brodę i objęła je rękami, kuląc się cała.

Która mogła być teraz godzina? Miała nadzieję, że zdoła przespać większość nocy, ale w jakiś dziwny sposób czuła, że jest dopiero północ lub niedługo po niej. Cała wieczność upłynie, nim zacznie świtać. Będzie się tu kulić na łóżku przez wiele godzin, wpatrzona w mrok, umierając ze strachu.

Przecież to tylko noc, mówiła sobie. Musisz wytrwać przez tę jedną noc. Nigdy już nie będzie ci tak źle.

A wtedy coś usłyszała.

Nie żadne upiorne jęki. Tylko lekkie, rytmiczne skrobanie. Raz za razem.

Raz za razem. Aż zjeżyły się jej drobne włoski na ramionach.

Och, Boże.

Izzy wiedziała, że musi wybrać. Albo będzie się kryć w tej sypialni pod kołdrą przez resztę nocy, niewyspana i znękana, albo się przekona co to takiego. Jeśli naprawdę ma zamiar osiąść w tym zamku, musi naprawdę stać się jego panią.

Wyszła z sypialni na uginających się nogach i po omacku powędrowała krętymi schodami, a potem głównym korytarzem. Skrobanie nadal trwało.

Wyszła mu naprzeciw.

Pewnie to jakaś gałąź albo okiennica poruszana wiatrem, mówiła sobie. Stanowczo nie żaden duch. Ani wąż. Ani żadne ciało buntownika z pogranicza powieszonego na jednej z krokwi, gdzie miało gnić aż do kości, nie kiwa się tam i z powrotem, niemalże dotykając palcami stóp posadzki, póki nie wyżłobi w nim zagłębienia po wiekach.

Zatrzymała się i drgnęła nagle. Całkiem, jakby słyszała słowa ojca:

„Rany boskie, Izzy, ależ ty masz przerażającą wyobraźnię!”

Owszem, miała ją. Czasami było to prawdziwym błogosławieństwem, ale w ciemności – zawsze przekleństwem.

Szła korytarzem, zmierzając pospiesznie do słabej, lecz obiecującej czerwonej poświaty sączącej się z wielkiego holu. Tam było światło i ciepło. Ogień na kominku musiał wciąż jeszcze płonąć – wcześniej książę dorzucił do niego całe nieduże drzewko, a także resztki dwóch strzaskanych przez niego krzeseł.

Potrzebowała tylko trochę światła i nic więcej. Kiedy będzie mogła już coś dostrzec, choćby niewiele, poczuje się nieskończenie lepiej. Zawsze tak było w podobnym przypadku.

Podeszła na palcach do wielkiego holu i spojrzała ku kominkowi. Dostrzegła niezapaloną świecę w świeczniku na jego gzymsie.

Znakomicie.

Podkradła się do świecznika. Ważył chyba ze trzydzieści funtów. Wyszarpnęła z mosiężnej oprawki świecę i zapaliła ją od ognia na kominku.

Z płonącą świecą w ręku odetchnęła głęboko. Stała tam przez dobrą minutę i nie robiła nic innego. Oddychała tylko. Z ulgą.

– Panno Goodnight…

Podskoczyła tak gwałtownie, że o mało nie upuściła świecy.

– Już pani chce uciekać? – spytał sucho. – Nie może pani wytrzymać ani jednej nocy?

Odwróciła się, przytrzymując rozchylony na piersiach szlafrok jedną dłonią. Książę stał najwyżej jakieś pięć kroków dalej, wciąż całkowicie ubrany. Widocznie nie spał i chodził po zamku. Pewnie słyszała odgłosy jego kroków, stóp szurających o posadzkę.

– Nie, ja… ja wcale nie uciekam. – Starała się, żeby to zabrzmiało stanowczo. – Tylko nie mogłam usnąć.

– Jak sądzę, zanadto się pani przestraszyła.

Wyciągnął butelkę z kieszeni płaszcza.

– Doznałam zbyt wielu wrażeń – skłamała. – Odziedziczyłam cały zamek, choć jeszcze nie widziałam żadnego. Chciałam go zatem poznać.

– W środku nocy? Proszę wracać do swojego pokoju. Nie może pani włóczyć się po nim w ciemności. To niebezpieczne.

Podeszła do niego.

– Czy nie zechciałby pan dołączyć do mnie?

– To też może być niebezpieczne – mruknął.

Jednakże położył jej dłoń na krzyżach i postępował tuż za nią, gdy wyszła z wielkiego holu i zaczęła się wspinać po schodach. Gdy stanęła na ich szczycie, weszła w korytarz, kierując się ku tamtemu okropnemu pokojowi.

– No i proszę – powiedział – już się pani zgubiła.

Izzy postanowiła nie przyznawać się do błędu.

– Nie zgubiłam się. Ja badam zamek.

Prychnął z niedowierzaniem.

– Poradzę sobie – ciągnęła. – Nie boję się szczurów. Nietoperze już sobie poleciały. A w duchy nie wierzę. Nie są realne.

– Wierzy pani, że jestem realny? – spytał posępnym tonem.

Prawdę mówiąc, trochę w to wątpiła. Miał doprawdy imponującą posturę. Nawet ona, ze swoją dziką imaginacją, nie potrafiłaby sobie wymarzyć nikogo w rodzaju księcia Rothbury.

Gdy szli wzdłuż korytarza, nie zdjął ani na chwilę ręki z jej talii. Skóra paliła ją pod dotykiem jego dłoni.

Zaglądała ze świecą do szeregu ponurych, na ogół niemal pustych pokoi.

– Jutro przyjrzę się im dokładnie i wybiorę jeden na moją sypialnię.

– A jak chciałaby się pani do tego zabrać? Potrzebowałaby pani tkanin, mebli, służby. Ja nie wspomogę pani pieniędzmi, a własnych funduszy pani nie ma.

Była to smutna prawda, z której oczywiście zdawała sobie sprawę.

– Kiedy zrobię jutro przegląd pomieszczeń, spiszę wszystkie wartościowe przedmioty. Z pewnością jest tu coś, co warto sprzedać.

Z miejsca jej zaprzeczył.

– Jeśli było coś takiego, dawno już zostało zagrabione. Niczego wartościowego tutaj nie ma. Niczego, co by można uratować.

Nic wartościowego? Nic wartego uratowania?

Siebie samego w to nie wliczał?

Spojrzała na niego ze smutkiem. Odblask świecy zamigotał na przystojnej, lewej części jego twarzy. Blizna po prawej nie chciała być oświetlana, stroniła od świeczki. W nocy robiła wrażenie jeszcze większej, bardziej dramatycznej.

Wyglądał wprost chorobliwie.

– Skąd ma pan tę pewność?

– Znam każdy cal tego zamku. Od najgłębiej położonej piwnicy do najwyższej wieży.

Nieduże, mroczne sklepienie po lewej przyciągnęło jej wzrok, podobnie jak kręte schody. Intrygujący, spiralny tunel, którego końca nie było widać.

– Tu z boku jest łukowate sklepienie – powiedziała. – Jeśli zna pan zamek na wylot, co się znajduje tam w górze?

– Trzydzieści cztery schody i okrągły pokoik na samym ich szczycie; mierzy jakieś sześć kroków.

– Och, jej. – Izzy była zaskoczona. – To bardzo szczegółowa odpowiedź.

– Proszę samej policzyć, jeśli mi pani nie wierzy.

Zostawiła go i poszła po krętych schodach coraz wyżej i wyżej, przyświecając sobie świecą. Były tak wąskie i niskie, że nawet jej smukłe ciało ledwie się tam mieściło i musiała się wspinać, pochylając głowę. Barczysty Rothbury pozostał z tyłu.

– Trzydziesty pierwszy, trzydziesty drugi, trzydziesty trzeci…

Miał rację. Dokładnie po przebyciu trzydziestu czterech stopni znalazła się w małym, okrągłym pokoju. Nie było tam nietoperzy, szczurów ani duchów, tylko pojedyncze okno, wąskie jak szczelina. Stąpając ostrożnie po nierównej posadzce, podeszła ku niemu i wyjrzała przez prostokątny otwór.

Och.

Och, jak jej zaczęło walić serce.

Musiała przycisnąć dłoń do piersi, żeby z niej nie wyskoczyło.

Jak cudownie.

Wieżyczka górowała nad zamkiem, co pozwalało na widok niezasłonięty przez drzewa i wzgórza. Niebo było wprost nad głową. Płynęło się pomiędzy gwiazdami.

A skoro trzymała w ręce zapaloną świecę, mogła niemalże wyobrazić sobie, że sama jest gwiazdą. Samotną. Nic nieznaczącą wśród mrowia innych, ale tak samo płonącą. Całym żarem serca. Dziwne, ale wpatrywanie się w pustkę sprawiło, że poczuła się mniej osamotniona. Gdzieś w innym świecie może stałaby się częścią jakiejś konstelacji.

– To jest to! – Wypowiedziała głośno te słowa, jakby nie można już było ich cofnąć. – To jest moje miejsce. Nie dbam o nietoperze, szczury i duchy. Ta wieżyczka będzie moją sypialnią, a ten zamek moim domem.

Książę dołączył do niej po wspięciu się na trzydziesty czwarty stopień.

– Po raz ostatni powtarzam, że nie może tu pani zostać.

– Dlaczego? – Rozejrzała się po pokoju. – Czy ta wieżyczka może się zachwiać?

– Nie. Niebezpieczeństwo nie grozi pani ze strony ścian. Ani szczurów, nietoperzy czy nawet duchów. – Wodząc palcami po murze, okrążył wieżyczkę, aż wreszcie jego palce uchwyciły jej ramię. – Tylko z mojej.

Był dużym i silnym mężczyzną. Gdyby naprawdę chciał jej wyrządzić krzywdę, mała, drobna Izzy nic by na to nie poradziła.

Tylko że w głębi duszy nie wierzyła, by tego chciał.

Nie mogła twierdzić, że nie skrzywdziłby muchy. Nie zrobił tego jednak gronostajowi, a to wiele mówiło.

– Panno Goodnight, jestem mężczyzną, który wiele czasu spędził samotnie. Pani jest bezbronną i kuszącą kobietą. Czy muszę to wyraźnie powiedzieć? Czy mam przeliterować słowo „nie-bez-pie-czeń-stwo”?

Stłumiła śmiech.

– Można się przestraszyć tego skandowania.

– Mógłbym panią wziąć siłą.

Jakże poważnie to powiedział! Nie potrafiła już powstrzymać śmiechu.

– Myśli pani, że żartuję? – parsknął gniewnie.

– O, nie. Wcale się nie śmieję z pana. Proszę mi wybaczyć. Nie wątpię w pańskie umiejętności pod tym względem. Jestem pewna, że świetnie potrafi pan… zniewalać. A nawet że jest pan w tym ekspertem. Śmieję się, bo nikt nigdy nie zagroził mi, że mnie weźmie siłą.

– Nie wierzę. Z tymi włosami? – spytał, sięgając dłonią ku jej szyi. – Z tą miękką skórą? Ma pani głos kusicielki.

Izzy miała jedynie początki przeziębienia i mogła mu to powiedzieć. Mogła mu też wyjaśnić, że istnieje bardzo logiczny powód tego, że nikt nigdy nie groził jej zniewoleniem. Była po prostu nieciekawa, i tyle.

Ale czy teraz również? Z niewidomym mężczyzną, w ciemności?

Jeśli go kusiło, żeby…

Czyż to nie czyniło z niej kusicielki?

Zawsze zazdrościła pięknym kobietom. Nie tylko samej piękności, ale pewności siebie, jaka się z tym łączyła. A właśnie jej pragnęła bardziej niż wszystkiego innego.

Powiódł dłonią wzdłuż jej pleców, muskając włosy splecione w warkocz.

Poczuła w sobie nagły przypływ siły, potężnej i oszałamiającej.

– Któż pozwoli kobiecie takiej jak pani odejść nietkniętej? – Pogładził jej kark. – Nie wierzę, by ktoś mógł być do tego zdolny.

– Och, wie pan, jak to bywa – odparła beztrosko. – Właśnie moja zadziwiająca piękność ich odstrasza. – Chyba rozumiał, że ona sobie żartuje? A jeśli brał ją na serio… cóż to w końcu komu szkodziło? – Przypuszczam, że wszyscy czuli się onieśmieleni.

Przesunął kciukiem po jej wargach.

– Ja nie jestem onieśmielony.

Nagle cała śmiałość ją opuściła.

– O Boże, proszę pomyśleć, która jest godzina. Jeśli mam jutro wziąć się tutaj do porządków, to chyba powinnam teraz wrócić do mojej…

Kropla roztopionego wosku stoczyła się w dół i sparzyła jej dłoń. Izzy upuściła świecę. Płomień jej zgasł, nim jeszcze padła na ziemię.

Wieżyczka natychmiast pogrążyła się w ciemności.

Serce jej załomotało. Och, do licha. Właśnie wtedy, kiedy dotrzymała mu pola! Uważał ją za piękność! Za kusicielkę! Uśmiałby się, gdyby wiedział, co naprawdę czuła. Czyż mogła mieć czelność, by zgłaszać pretensje do jakiegokolwiek zamku? Była żałosnym stworzeniem mdlejącym na

deszczu, krzyczącym ze strachu na widok nietoperzy, beznadziejnie lękającym się ciemności.

Może tego nie zauważy?

Poczuła jego ręce na ramionach.

– Pani drży.

Do licha. Do licha!

– Nic mi nie jest. Upuściłam tylko świecę, i to wszystko. Gdyby pan zechciał… – przełknęła z trudem ślinę – …sprowadzić mnie na dół.

– Nie sądzę.

Och, Boże. Zdrętwiała cała. On zamierzał ją tu zostawić! Samą! W tym malutkim pokoju, o trzydzieści cztery stopnie wyżej, w okropnej ciemności. Żeby ją nauczyć moresu?

Ale on jej nie zostawił. Przeciwnie, wziął ją w ramiona.

I przygarnął do siebie.

Izzy nie wiedziała, jak mogłaby się temu oprzeć. Te silne dłonie… te dłonie były jedynym jej oparciem w ciemności. Poczuła zawrót głowy, tak ją to zaskoczyło. Jakże się przestraszyła.

A potem nagle…

Mocno ją pocałował.

6

Ransom ją pocałował.

Ujął jej twarz w dłonie, przytrzymał ją mocno i złączył swoje wargi z jej ustami. Bez żadnych wstępów, bez subtelności. Tylko ten nieustępliwy nacisk jego warg i nic więcej.

Powinna była zrozumieć pewne rzeczy, a on miał już dość wyjaśniania jej tego słowami.

Dziewczyna była irytująco niewinna. Wychowała się na bajkach o rycerzach i na romansach. Nie miała pojęcia, co jej może grozić ze strony takiego mężczyzny jak on.

Doskonale. Bez trudu będzie mógł jej to zademonstrować. Ten jeden nagły pocałunek sprawi, że umknie dziś wieczór do swojego pokoju, a potem rankiem wyniesie się stąd.

– No, proszę – powiedział, przerywając pocałunek. – Chyba mnie pani myli z jakimś bardzo przyzwoitym mężczyzną. Mam nadzieję, że to wszystko pani wyjaśni.

Puścił ją, żeby mogła uciec.

A tymczasem chwyciła go kurczowo za koszulę i trzymała mocno.

– Jeszcze raz.

Na chwilę zaniemówił. Wszystko straciło sens.

– Jeszcze raz – wyszeptała. – Szybko. I tym razem tak, jak należy.

– O czym pani, do licha, mówi?

– To był mój pierwszy pocałunek. Wie pan, jak długo o nim marzyłam?

Nie wiedział. Nie mógł wiedzieć.

– Przez całe moje życie. – Zabębniła pięściami po jego piersi z emfazą. – A więc proszę mi pomóc, Wasza Wysokość. Nie chcę tego zrujnować.

– Chyba pani nie rozumie. Celem moim było raczej zburzenie pani romantycznych rojeń.

– Nie, to pan nie rozumie. – Przywarła jeszcze mocniej do niego, wciąż trzymając się kurczowo koszuli. – Zawsze próbowałam zadowalać się tym, co życie mi oferowało. Kiedy byłam dziewczynką, marzyłam o kociątku, a tymczasem dostał mi się gronostaj. Nie był zwierzątkiem, jakiego pragnęłam, ale robiłam, co mogłam, żeby kochać Śnieżynkę mimo to.

Cofnął się o krok.

Nie puściła go.

– Kiedy zmarł mój ojciec, rozpaczliwie poszukiwałam miejsca, które mogłabym nazwać domem. Wystarczyłaby mi najskromniejsza chatka. A tymczasem odziedziczyłam nawiedzony, zaniedbany zamek gdzieś w Northumberland. Nie jest domem, jakiego pragnęłam, ale zdecydowałam, że nim zostanie.

Przybliżyła ku niemu twarz. Mógł czuć jej oddech na swojej szyi, a także słyszeć miękki, ciepły szept.

– Jeszcze jako mała dziewczynka – wyszeptała – marzyłam o moim pierwszym pocałunku. Wiedziałam w głębi serca, że będzie romantyczny, czuły i tak błogi, że ugną się pode mną kolana.

– No teraz pani wie, że się myliła. W pani wieku należy być przyzwyczajonym do rozczarowań.

– Właśnie, że pan się myli. – Zacisnęła palce na jego koszuli jeszcze mocniej. – Muszę zacząć z tym walczyć. Nie zrujnuje pan mojego pierwszego pocałunku. Nie pozwolę na to. Ma pan mnie znowu pocałować, tym razem należycie. I zrobić to lepiej.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Niemożliwe. Stało się, jak się stało. Gdybym nawet pocałował panią ponownie, nie byłby to już pani pierwszy pocałunek.

– Liczyłby się nadal jako pierwszy, skoro wciąż mnie pan trzyma w objęciach.

Do diabła ciężkiego! Gdzie kobiety się czegoś podobnego nauczyły? Z jakiejś książki? Czasem się dziwił, czy nie są przypadkiem prawnikami z kodeksem Romantycznego Prawa, który uparcie kryją przed mężczyznami.

– Proszę się nie wahać. Z pewnością potrafi pan całować lepiej. Ten pocałunek nie był najlepszy.

– Jasne, że nie – najeżył się.

– Miałam na myśli to, że dostatecznie często kochał się pan na końskim grzbiecie. Z pewnością wie pan, jak całować lepiej. Nie ruszę się stąd, póki…

Chwycił ją za ramiona i pocałował ponownie. Tym razem mocniej. Głównie po to, żeby przestała paplać, ale też i z tego powodu, by podkreślić znaczenie tamtego pierwszego. Jeśli pragnęła czułego interludium, Ransom nie był odpowiednim dla niej mężczyzną. Gdy chodziło o fizyczną satysfakcję, był agresywny, zuchwały i nie wstydził się tego. Jeśli już musi to zrobić dwukrotnie, niech i tak będzie.

Ale kiedy to robił, stało się coś strasznie złego.

Oddała mu pocałunek. Nie z czystej ciekawości lub naiwnego entuzjazmu, lecz z tak słodką, niekłamaną namiętnością, że aż ścisnęło go w piersiach.

Rozwarł szeroko oczy ze zdumienia, choć i tak było to bez różnicy. Nadal nie mógł widzieć, tylko czuć.

Dobry Boże w niebiesiech, ale poczuł, i to jak!

To… to się nie powinno było zdarzyć.

Wargi jej były jeszcze bardziej kuszące, niż śmiał przypuszczać. Pełne, szerokie, zmysłowe. Delektował się nimi, potem wsunął w nie język. Oddawała mu pocałunek za pocałunkiem, raz po razie.

Objął ją mocno jednym ramieniem. A gdy wsunął język jeszcze głębiej, uniosła usta ku niemu. Szczodre. Oddane.

Pragnął tego wszystkiego od tak dawna. Bliskości, ciepła, błogości, oddania.

Zakopał się tutaj od miesięcy, od czasu, gdy został ranny, ale nie przestał się poruszać. Chodził po tym zamku każdej nocy, pokonywał galerie, wspinał się na schody, mierzył wnętrza krokami, poznawał echo, jakie na kamiennych płytach wzniecały jego nogi. Najpierw godzina po godzinie, potem dzień po dniu, aż wreszcie miesiąc po miesiącu.

Początkowo robił to, żeby podreperować siły, które go opuściły. Potem, żeby nauczyć się poruszać po zamku bez pomocy wzroku. Mógł być ludzkim wrakiem, powiadał sobie, ale za nic nie będzie inwalidą.

Ale jeszcze coś innego pchało go do tego, by chodził, włóczył się po korytarzach i wieżach Gostley Castle. Gdyby nawet chciał odpocząć, nie mógł tego zrobić. Skądinąd nie bez nieprzyzwoitej wręcz ilości whisky. Prawie nigdy nie czuł się swobodnie. Nigdy nie zaznał prawdziwego spokoju. Zaczął nawet sądzić, że nigdy go już nie zazna.

A teraz… teraz ta kobieta chwyciła w objęcia tę udręczoną, niespokojną część jego samego i pocałowała ją. Niczym utracona niegdyś kochanka witająca go w domu.

Dobry Boże. Dobry Boże.

Pocałowała go całą sobą. Całkiem, jakby tego pragnęła. Jakby zawsze tego pragnęła. Jakby jej drobne, smukłe ciało było czymś w rodzaju butelki przemyślnie sporządzonego czarodziejskiego eliksiru. Samą esencją pożądania, czekającą w zakorkowanym naczyniu od lat. Jakby w jednym jedynym pocałunku wyczuła, że może to wszystko przelać w niego, bo ciążyło jej niby brzemię.

Weź tę błogość, mówił jej pocałunek. Weź tę namiętność. Weź mnie całą.

Zgłębiał jej usta chciwie, rozpaczliwie spragniony ich coraz bardziej.

Powinien był nie przyjąć tego nierozważnego daru. Nie mógł się jednak od niej oderwać. Również i jego pożądanie zbyt długo było trzymane w ryzach. Nie mógł uciec przed pragnieniem, które wzbudzała. Nie mógł zaprzeczyć twardemu, gorącemu odzewowi swego ciała – nie wtedy, gdy czuł, jak jego przyrodzenie na próżno walczy z koźlą skórą jego bryczesów.

Boże, czuł się jak odrodzony. Najzupełniej odrodzony, po raz pierwszy, odkąd…

Odkąd był umierający.

Ransom nie wiedział, czy ów niebezpieczny pocałunek wywarł w ogóle jakieś wrażenie na Izzy Goodnight, ale był doskonale świadomy jednego.

On go po prostu wbił w ziemię.

No cóż, pomyślała Izzy, jej pierwszy pocałunek nie był taki, na jaki miała nadzieję i jaki sobie wymarzyła.

Był czymś tysiąc razy potężniejszym.

Prawdziwym, właściwym pocałunkiem.

Nie szorstkim zetknięciem się warg, lecz autentycznym, należytym pocałunkiem mężczyzny, który wie, co robi. Całował ją bowiem nie tylko zręcznie, ale z namiętnością. Żarliwie.

No i z językiem.

A najlepsze ze wszystkiego było to, że w jakiś dziwny sposób zdołała spisać się tak dobrze, że aż pomrukiwał tuż przy jej ustach. Prawdziwe szczęście, że miała tyle wyobraźni. Lub może książę był pocałunkowym ekwiwalentem londyńskich nauczycieli tańca – tych, którzy sprawiają, że dziewczyna wygląda na parkiecie wdzięcznie i kompetentnie, choć jest jedynie przez nich prowadzona.

Nieważne. Była całowana i sama całowała, a jak dotąd nie okazało się to upokarzającą okropnością.

To… było… wspaniałe.

Po raz drugi tego samego dnia sprawił, że kolana się pod nią uginały.

Objęła go ramionami za szyję, żeby nie stracić równowagi. A potem nie cofnęła ich już dla czystej przyjemności, jaką dawało jej splatanie palców na jego karku i rozgarnianie nimi ciężkich pasm jego włosów.

Jak pięknie pachniał! Prosto i tak bardzo po męsku. Nie pojmowała, w jaki sposób najzwyklejsze, nieoczekiwane zapachy mogą wzmagać woń egzotycznej wody kolońskiej. Gdyby się połączyło flaszkę whisky, pas ze starej skóry i kawałek zwykłego mydła, a potem do tego dodało kilka kosmyków psiej sierści – nikt by się nie spodziewał, że otrzymany „bukiet” będzie bardziej podniecający niż całe naręcze róż. Ale w jakiś sposób tak właśnie było.

A prócz tego jeszcze jego ciepło. Wydawało się, że cały jest stworzony z ciepła. Przypominał piec pełen węgla. Promieniował ciepłem poprzez chciwie ją obejmujące dłonie, przez twardą pierś, przez wargi.

Och, te jego wargi! Bokobrody okalające podbródek i szczęki kłuły ją, ale wargi były… nie, nie miękkie. Miękkość kojarzy się z poduszkami lub płatkami kwiatów, a tymczasem jego wargi były idealnym stopem sprężystości i delikatności. Dawały i brały.

Gdy nareszcie znów sięgnął ku jej ustom, nietrudno było nazwać jego smak. Whisky i herbata. A gdy wniknął w nie językiem – whisky i pożądanie.

Mnóstwo pożądania.

To właśnie było najbardziej oszałamiające. Wszystko w jego uścisku mówiło, że on jej pragnie, a najbardziej zadziwiające okazało się to, że szukał tego czegoś, czego pragnął, akurat w niej. Przycisnął mocno dłoń z tyłu do jej nocnego stroju i całował ją jeszcze głębiej, nieustępliwie, jakby gonił za czymś, jakby czegoś szukał.

A jakaś jej część niczego nie pragnęła bardziej niż poddania mu się. Zaofiarowania mu wszystkiego, czego od niej chciał, i to skwapliwie.

– Dość tego. – Po tych szorstkich słowach puścił ją. Tak szybko, że omal się nie przewróciła.

Odgłos chwytanego z trudem oddechu wypełnił wieżyczkę.

W końcu parsknął:

– To było katastrofalne.

Izzy chwyciła się za skronie. Znów była sama w ciemności, w głowie miała zamęt. Co za odpowiednia chwila na błyskotliwą, zręczną ripostę.

Ale zdołała wydusić z siebie jedynie:

– Pocałował mnie pan pierwszy.

– Oddała mi pani ten pocałunek.

– A wtedy pocałował mnie pan znowu.

Westchnęła. No i tyle wyszło z wyrafinowanego żarciku.

– Nie przejmuję się tym zanadto, jeśli panu o to chodzi. Wiem, że zrobił pan tak tylko w tym celu, żeby mnie onieśmielić. Powinien pan jednak wiedzieć, że to nie poskutkowało.

– Myślę, że jednak poskutkowało. – Znów przyciągnął ją ku sobie. – Czułem, jak mocno pani biło serce.

No cóż, jeśli mocne bicie serca ma być oznaką strachu…

Wsparła dłoń na jego piersi, w miejscu gdzie serce mu łomotało. Musiał być wręcz w panice.

Poczuła nagle przypływ dziwnego współczucia. Była córką Henry’ego Goodnighta, a to nauczyło ją wszystkiego o męskiej dumie. Ojciec przez lata całe pracował za nędzne wynagrodzenie jako sfrustrowany uczony. Kiedy *Opowieści na dobranoc* odniosły sukces, uwielbienie czytelników podtrzymywało go przy życiu. Nie mógł wytrzymać nawet tygodnia bez ich zachwytów.

A jeśli duma była czymś tak ważnym dla uczonego w średnim wieku, Izzy mogła sobie wyobrazić, jak istotna musi być dla mężczyzny takiego jak książę Rothbury. Jak trudno pogodzić się ze ślepotą komuś tak silnemu i w kwiecie wieku. Po raz pierwszy zmuszony był zdawać się na innych. Musiał tego nienawidzić.

Dlatego uczył się na pamięć Gostley Castle, krok po kroku, miesiąc po miesiącu, sporządzając z mozolnym wysiłkiem mapę każdego wnętrza w swojej głowie. Bo ten zamek stał się fortecą jego dumy. Jedynym miejscem, które wciąż mógł mieć pod kontrolą.

A teraz, wskutek jakiegoś prawniczego kruczka, utracił go. Na rzecz starej panny bez grosza, o nijakiej powierzchowności.

Nic dziwnego, że ją znienawidził.

Choć jednak Izzy rozumiała go i współczuła mu, nie oznaczało to, że zrezygnowała. Nie mogła poświęcić własnych interesów dla zadośćuczynienia jego dumie. Popełniła przedtem taki błąd i właśnie dlatego znalazła się bez grosza w zrujnowanym zamku, nie mogąc się udać gdzie indziej.

Musiała zadbać o siebie. Nikt inny tego nie zrobi.

– Niepotrzebnie się pan niepokoi, Wasza Wysokość. Zrobimy, co trzeba, przejrzymy uważnie listy i dokumenty. Obiecuję, że w tym czasie nie sprawię panu wiele kłopotu.

Pogładziła go ostrożnie po piersi.

Jego dłoń chwyciła jej rękę i odepchnęła ją.

– Jutro rano, panno Goodnight, pani stąd pójdzie. Proszę wracać teraz do sypialni. A jutro chcę, żeby pani sobie znalazła inne lokum.

Izzy ustąpiła mu, oszczędzając siły na następny dzień. Rano on będzie próbował zmusić ją do odwrotu. Może ją straszyć, krzyczeć na nią, grozić jej lub pokrywać pocałunkami.

Ona będzie mocna jak ściany tego zamku.

Nie ustąpi ani trochę.

7

Następnego ranka Ransom zbudził się, czując, że jego ciało stało się objętne – jeśli chodzi o spodnie.

Mętne, senne obrazy zalegały mu w głowie. Przesuwał palcami w gęstwie ciemnych włosów, widział wciąż przed sobą pełne wargi, miękka dłoń wspierała się o jego pierś.

Przewrócił się na drugi bok i jęknął. Boże, ten pocałunek! Ten głupi, podniecający, źle pomyślany, budzący niepokój w duszy pocałunek.

Nie mogła spędzać nocy w tym zamku. Musiał dla niej znaleźć jakieś inne miejsce. Już dzisiaj.

Usiadł i przejechał obiema rękami po włosach. Przydałaby się mu kąpiel. Zwłaszcza zimna.

– Duncan! – zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Żadnych odgłosów świadczących o obecności sługi.

Poszedł do cysterny w załomie dziedzińca i zaczerpnął kubeł wody. Potem rozebrał się do pasa, uniósł wiaderko ponad sobą i wylał jego lodowatą zawartość na głowę i tułów.

Niech zatonie żądza.

Skutek zimnego prysznica zaczął maleć, gdy Magnus dołączył do niego przy cysternie. Ransom wylał na niego resztkę wody i poskrobał go za uchem.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość.

Do licha. Tylko jeden dzień, a on poznałby ten głos wszędzie. Gardłowy. Miękki. O wiele za bliski. Jakże ta kobieta zdołała podkraść się ku niemu?

– Goodnight – mruknął.

Odgłos kroków świadczył, że przecięła dziedziniec, burząc jego spokój każdym stuknięciem obcasów.

Ransom zebrał wszystkie siły, żeby po raz pierwszy na nią spojrzeć.

Nikt o tym nie wiedział prócz niego samego i kilku bezużytecznych chirurgów, ale rana wcale nie uczyniła go całkowicie niewidomym.

Och, był prawie ślepy przez większość czasu – niejasne kształty i cienie to wszystko, co mógł zauważyć. Czasami zaś nie widział zupełnie nic. Wszystko stawało się wtedy mroczną, nieprzeniknioną szarością.

Ale było też kilka bezcennych godzin dnia, kiedy jego ślepota okazywała się jedynie częściowa.

W tych godzinach widział jak dziewięćdziesięciolatek bez okularów. Mógł rozróżnić mętne kontury i kilka zgaszonych kolorów. Drzewo jawiło mu się jako rozmyta, nieregularna plama na tle nieba, a jego listowie miało szarozielony odcień pleśni na serze. Gdy patrzył na stronicę książki, potrafił z wysiłkiem dostrzec ciemny prostokąt tekstu podzielony na linie. Nie był jednak w stanie odczytać żadnych słów ani rozróżnić liter. Niejasno dostrzegał twarze i główne ich rysy, jakby szmacianej lalki. Dwa guziki w miejscach oczu, szparka ust. Żadnych subtelności wyrazu.

Tak było w najlepszych chwilach. I przynajmniej raz okazało się to błogosławieństwem. Mógł mu zawrócić w głowie zapach panny Goodnight ostatniej nocy, zdolny był wyczuć dotykiem ciało… ale przynajmniej nie działał na niego jej widok. W najlepszym razie ukazywała mu się jako anemiczny, blady kształt z ciemnymi włosami. Nijaki i bezbarwny.

Liczył na to.

Gdy jednak mu się ukazała teraz, musiała jak na złość stanąć we wschodnim sklepionym przejściu, zalanym przez poranne słońce.

A wtedy po raz pierwszy zobaczył Izzy Goodnight skąpaną w złocie. Światło słoneczne pozwoliło mu dojrzeć zarys smukłej, wdzięcznie wygiętej sylwetki z koroną wijących się, rozpuszczonych włosów, które zdawały się płonąć.

Dobry Boże.

Gdyby stał, mógłby wtedy paść na kolana. Pewien był, że słyszy chóralne śpiewy. Był to ten rodzaj piękności, który słusznie można byłoby nazwać uderzającym.

Czuł się, jakby w niego uderzyła cegła.

No, rusz się, błagał ją bez słów. Przejdź dwa kroki na prawo. Albo na lewo. Nie, nie. Zniknij zupełnie.

– Nie sądziłem, że pani już wstała.

– Och, jak najbardziej.

Dojrzał uśmiech szerokich, czerwonych ust, jaki zakwitł na jej twarzy.

Przesunął spojrzeniem po jej ciele, ujrzał zamglone, ale dostrzegalne krągłości bioder i piersi. Trzymał to wszystko w objęciach zeszłej nocy. A teraz ani rusz nie mógł pojąć, dlaczego, do licha, pozwolił jej wtedy odejść.

– Proszę mi wierzyć – powiedziała – że zerwałam się już o brzasku. Zaraz zacznę poznawać zamek.

Słusznie. Teraz już wiedział, dlaczego to zrobił.

Gwizdnął na Magnusa i skierował się ku wejściu.

Poszła za nim, rzecz jasna. Przez cały wielki hol.

– Wie pan – odezwała się, ziewając w czarujący sposób – to miejsce jest naprawdę urocze rankiem. Sposób, w jaki słońce wpada przez okna, każąc całemu temu kurzowi wirować w powietrzu i barwiąc go na złoty kolor… Wczoraj zrobiliśmy niedobry początek, ale dzisiaj… Gostley Castle zaczyna mi się wydawać domem.

Nie, nie, nie. To nie dom. Nie dla niej, a już stanowczo nie dla nich obojga.

– Czy nie chciałby pan… włożyć koszuli, Wasza Wysokość? – spytała tonem zachęty.

W odpowiedzi skrzyżował ręce na gołej piersi. Nie chciał robić niczego, co pozwoliłoby jej poczuć się lepiej.

– Zaparzę herbaty – powiedziała, podchodząc do kominka. – Och, proszę spojrzeć. Świeży chleb. – Kiedy odezwała się następnym razem, zrobiła to między jednym kęsem a drugim. – Czy przyniósł go Duncan, czy ktoś inny? Wiem, że wczoraj było tu mleko. – Rozejrzała się wokoło, czyniąc nieco hałasu. – Jajek chyba nie ma? Jeśli mogę się pochwalić, robię bardzo dobre naleśniki.

Och, nie. Było coraz gorzej i gorzej.

„Robię bardzo dobre naleśniki”.

Coś strasznego.

A jeszcze straszniejsze było to, że Ransom nagle nabrał ochoty na bardzo dobrego naleśnika. Niesłychanej ochoty. Do diabła, wręcz by go pożarł z największą przyjemnością.

W życiu każdego szanującego się rozpustnika istnieją dwa rodzaje kobiet: te, które bierze na noc do łóżka, i te, które rano smażą mu naleśniki. Jeśli nagle zapragnie, by obie były tą samą, jest to sygnał ostrzegawczy. Na tyle duży i czerwony, żeby go dostrzegł nawet niewidomy mężczyzna.

Wynoś się stąd. Zagrożenie nadejdzie z wnętrza zamku.

– Proszę sobie przyszykować proste śniadanie – powiedział. – I to szybko. Duncan zabierze panią dziś rano do wioski. Rozejrzymy się za znalezieniem dla pani pokoju w oberży albo też…

– Och, z radością pojadę do wioski – odparła. – Ale tylko po sprawunki. Jakie ryby macie tu w okolicy? Założę się, że w rzece są piękne pstrągi.

Ransom zgrzytnął zębami. Owszem, w rzece były wspaniałe pstrągi, ale panna Goodnight nigdy ich nie spróbuje.

Wstał.

– Musi pani zrozumieć, że nie może tu zostać. Nie po tym, co zaszło wczorajszej nocy.

– Wczorajszej nocy? – powtórzyła. – Owszem. Czy ma pan na myśli to, że pan próbował odstraszyć mnie od posiadłości, która z prawnego punktu widzenia należy do mnie?

– Nie. Mam na myśli to, że całowaliśmy się jak kochankowie.

– Och, o to chodzi? Ale przecież oboje wiemy, że to nic takiego.

– Nic takiego? – Urażony przeciągnął dłonią po włosach. – To wcale nie było nic takiego.

– Tylko jeden pocałunek. Jeden pocałunek nie zmienia niczego.

– Właśnie że zmienia. Jeśli jest to pocałunek dany świadomie, zmienia on wszystko. Pocałunek to pierwszy krok na długiej, krętej i niebezpiecznej drodze zmysłowości. Tego ranka, panno Goodnight, wyniesie się pani stąd.

Milczała przez chwilę.

– Obiecuję, Wasza Wysokość, że już nie będę pana niepokoić. Pragnęłam pocałunku i pan mi go dał. Więcej się panem nie będę interesować.

O Boże. A więc ta dziewczyna daje mu to delikatnie do zrozumienia. Zapomniał, chcąc koniecznie rzucić na nią pierwszy raz okiem, że ona zrobiła to samo – po raz pierwszy dokładnie się przyjrzała jemu i wszystkim jego bliznom. Może zresztą po raz drugi, jeśli liczyć jako pierwszy ten, kiedy zemdlała.

Już nie jesteś dłużej przystojnym, pewnym siebie, dziarskim chłopcem, ty durniu.

Izzy ciągnęła:

– Kiedy nie będziemy zajęci pańską korespondencją, zajmę się zamkiem. Trzeba tu zrobić całe mnóstwo rzeczy. Przejrzeć pokoje, usunąć robactwo. Umeblować sypialnię. – Opadła na pobliskie krzesło. – Może chleba?

Dotknęła jego ręki kromką chleba. Wziął ją, choć niechętnie, i nadgryzł.

Zaczął się zastanawiać, czy nie wrócić do swojej pierwszej strategii – przerzucić ją sobie przez ramię i wynieść. Cały problem w tym, że –

zważywszy, jaką by mu sprawiło satysfakcję przerzucenie jej przez ramię – nie uszedłby z nią daleko.

– Nim pomyślę o czymś innym – odwróciła głowę, a masa rozpuszczonych swobodnie włosów zawirowała gwałtownie – muszę znaleźć swoje szpilki do włosów. Gdzie je pan wczoraj położył? – Sięgnęła ku poduszkom na sofie i przesunęła je ku niemu. – Może wpadły do środka?

Usiłował – bezskutecznie – zignorować zapach rozmarynu.

– Aha! – Aż podskoczyła, kiedy coś znalazła, i otarła się o niego ramieniem. – Tu jest jedna z nich. A tutaj druga.

Niech diabli porwą jej szpilki. Zerwał się na nogi.

– Nie zostanie pani tutaj.

– Wasza Wysokość podjął imponujące wysiłki, żeby mnie odstraszyć, ale to nie podziałało. Nie sądzi pan, że czas już z nich zrezygnować?

– Nie. – Stuknął się palcem w pierś. – Ja się nie poddaję. Nikomu.

– Nie poddaje się pan? – Zaśmiała się z cicha. – Proszę mi wybaczyć, ale z tego, co wiem, został pan okaleczony wiele miesięcy temu, a odtąd nie opuścił pan tego zamku. Ludzie w Londynie uznali pana za zmarłego. Nie otwiera pan poczty, służącym nie wolno panu usługiwać i nie zrobił pan nic, żeby poprawić warunki swojego życia w zrujnowanym, zapuszczonym zamku. Nie wiem, co pan by określił jako „poddanie się”, Wasza Wysokość, ale wygląda raczej na to, że ja mam rację.

Ransom był na nią wściekły. Jak śmiała tak mówić? Nie miała pojęcia, co przeszedł. Nie zdawała sobie sprawy, jak ciężko mu było przez pierwsze miesiące odzyskać najbardziej podstawowe sprawności. Zdolność do chodzenia bez potykania się. Liczenie do ponad trzydziestu. Do licha, musiało wiele czasu upłynąć, nim się ponownie nauczył gwizdać na psa. Ale nie potrzebował niczyjego współczucia, żadnej kobiecej zachęty ani pociechy. Wszystko robił sam, krok po kroku, choćby to była udręka. Bo alternatywę miał tylko jedną: siąść i umrzeć.

Wymruczał ponownie:

– Ja… się… nie poddam.

– W takim razie proszę tego dowieść.

Wolniej, powiedziała Izzy do swojego galopującego serca. Zwolnij teraz.

Następne pięć minut wymagało krańcowej ostrożności.

Prawdę mówiąc, przy tym mężczyźnie musiała zważać na każdy krok, ruch, i słowo… ale teraz chodziło o coś innego.

Ransom stał nad nią. Bez koszuli, cały mokry i z rozwichrzonymi włosami. Oszałamiająco przystojny, ale wściekły jak Lucyfer. Książę nawykły do tego, że postępował, jak mu się podobało. A ona teraz nie tylko mu się sprzeciwiła, lecz jawnie rzuciła mu wyzwanie.

Jego słowa były ciche i spokojne, lecz podziałały na nią jak iskra na proch.

– Nie potrzebuję pani niczego udowadniać.

Wsparł ręce na biodrach. Jeden z jego mięśni na piersiach drgał z gniewu. Jakby usłyszał jakieś obraźliwe wyzwisko. Strużka wody spływała po złotobrązowych włosach na torsie.

Izzy ściskała szpilkę do włosów tak mocno, że odbiła się jej na skórze we wnętrzu dłoni.

Wstała. Bo tak należy zrobić, kiedy się chce kogoś potraktować z prawdziwym szacunkiem.

– Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość – odparła najspokojniej, jak tylko mogła, zwracając się prosto do jego lewego sutka. – Są jednak rzeczy, które wymagają udowodnienia. Na przykład takie jak ważność transferu własności i… i…

Och, Boże. Teraz to jej sutki zadecydowały, żeby włączyć się w tę konwersację. Gdy stała tak blisko niego, obległy ją wręcz wspomnienia z ich uścisku zeszłej nocy. Dziwne wrażenia przenikały jej ciało,

uniemożliwiając koncentrację. Nie mówiąc już o tych wszystkich tłumionych emocjach, jakie czuła w związku z ich pocałunkiem.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Mam silne dłonie, umiem czytać i pisać w kilku językach, w tym w dwóch martwych, i jestem niezwykle dyskretna. Pomogę panu uporządkować wszystkie sprawy i rozwiążemy wspólnie zagadkę, jak mogło dojść do sprzedaży zamku.

– On nie został sprzedany.

– Ale nie dam się stąd wyrzucić. – Izzy otworzyła szeroko oczy. Boże, ależ ten człowiek był uparty.

Może to jego bliskość tak podziałała na jej napięte nerwy, lecz nękało ją niejasne wrażenie, że on na nią patrzy. Albo może poprzez nią. Nagle poczuła się zażenowana tym, że wpatruje się w jego pierś.

Starała się mówić najostrożniej, jak mogła.

– Wiem, że jest pan zaniepokojony…

– Nie jestem zaniepokojony. – Przejechał ręką po włosach. Mięśnie piersi napinały mu się i uwypuklały w różnych kierunkach. – Boże drogi, Goodnight, ależ pani jest irytującą kobietą.

Mimo wszystko Izzy uśmiechnęła się dyskretnie.

Doprawdy, nie mogła sobie tego odmówić. Nazwał ją kobietą!

– Niemożliwe, żebyśmy oboje przebywali razem w tym zamku. Jeśli ma pani zamiar w nim osiąść, trzeba do tego czegoś więcej niż śmiałych słów: umeblowania, służących. A przede wszystkim towarzystwa.

– Po cóż mi czyjeś towarzystwo? Jest tu przecież Duncan. No i pan.

– Nie jestem przyzwoitką! – parsknął.

– Wciąż się pan martwi tym niemądrym pocałunkiem? Sądziłam, że zawarliśmy porozumienie.

– Och, dzięki niemu wiele zrozumiałem. – Przysunął się do niej i zniżył głos. Powietrze między nimi stało się nagle tak pełne gorąca, że dałaby słowo, iż krople wody na jego piersi zaczęły parować. – Zrozumiałem, co

czuje pani ciało wobec mojego. Zrozumiałem, jak słodki jest jego smak. Zrozumiałem też, i to dokładnie, jak dobrze mogłoby być nam razem w łóżku. Albo na blacie stołu. Albo gdy opieralibyśmy się o ścianę. To pani ma najwyraźniej problem z rozumieniem.

Z jej gardła wydobyło się zdławione:

– Och!

Wpatrzyła się w niego. W tego nieszczęsnego mężczyznę, który najzupełniej się mylił. Najwyraźniej sądził, że ten rodzaj wypowiedzianej przyciszonym głosem lubieżnej deklaracji sprawi, że ona z krzykiem ucieknie do wioski. A tymczasem jego słowa odniosły całkiem odwrotny skutek. Z każdą jego dwuznaczną sugestią jej wiara w siebie rosła w zawrotnym tempie.

On jej pragnął. On jej pragnął!

Chętnie by zatańczyła z radości.

– Wasza Wysokość! – rozległ się na dziedzińcu jasny, kobiecy głos. – Proszę być spokojny. Zaraz się tam zjawię. Przyniosę, czego tylko panu trzeba.

Ransom błyskawicznie się ocknął. Sięgnął pospiesznie po koszulę rzuconą na oparcie sofy. Zabrało mu to ledwie kilka sekund.

– Kto to jest? – spytała Izzy, poprawiając na sobie płaszcz.

Kimkolwiek była kobieta, która przyszła z wizytą, chciał się w jej obecności prezentować przyzwoicie.

– To panna Pelham. – Narzucił pospiesznie koszulę przez głowę i wsadził ręce w jej rękawy, a potem przyjął od Izzy surdut, który mu podała. – Córka proboszcza. Inna natrętna niewiasta, której nie potrafię się pozbyć.

Wielkie nieba. Nawet córki proboszczów rzucają się na niego? Izzy bez trudu dała temu wiarę, ale czuła się nieco rozczarowana.

No proszę, co też ona sobie myśli? Całkiem, jakby rościła sobie prawa do tego mężczyzny. Jeden pocałunek w ciemności i już stała się zazdrosną harpią? Odepchnęła od siebie zazdrość.

A wtedy młoda kobieta weszła do wielkiego holu. I zazdrość zaraz wróciła.

Izzy bywała na dworze, na wielu przyjęciach, a nawet na jednym czy dwóch londyńskich balach. Mogła więc uczciwie powiedzieć, że była to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziała. Złote włosy, umiejętnie ułożone w loki wokół twarzy. Suknia z błękitnego muśliny, z której spływały liczne wstążki. Miła dla oka figura. Wyćwiczony uśmiech. Nieskazitelnie czyste koronkowe rękawiczki.

– Wasza Wysokość? – Kobieta powiedziała to z westchnieniem ulgi, przyciskając dłoń do piersi. – Dzięki Bogu, wygląda pan dobrze. Spodziewałam się, że zastanę pana wyczerpanego i bredzącego w gorączce po tym, co usłyszałam od Duncana, a to nieprawda! Z pewnością nie podejmował pan ostatnio gościa nazwiskiem… – W tej chwili, spostrzegłszy Izzy, zatrzymała się raptownie. – Och, to jednak prawda. Ona tu jest!

Koszyk przyniesiony przez pannę Pelham upadł na posadzkę, a ona zakryła twarz obiema rękami.

– Czy pani jest Izoldą Goodnight?

Izzy dygnęła lekko.

– Czyli Izzy Goodnight?

– Owszem. To ja.

Młoda kobieta wydała pełen podniecenia okrzyk.

– Proszę mi wybaczyć! Wprost nie mogę uwierzyć, że pani się tu zjawiła. We własnej osobie, tak blisko mego domu. Och, niech pani powie, że przyjdzie na plebanię z wizytą!

– Ja… ja zrobię to z wielką przyjemnością, panno Pelham.

– Doprawdy, co za zaszczyt! Ale nie potrafię sobie wyobrazić, co sprowadza panią do Northumbeland.

– Właśnie to. – Izzy wykonała szeroki gest ręką. – Gostley Castle. Zapisał mi go w spadku zmarły hrabia Lynforth.

– Zapisał pani? Ten zamek? – Oczy jej rozmówczyni niemal wyszły z orbit. – Nie mogę uwierzyć.

– Był to najwyraźniej wielki wstrząs dla nas wszystkich – odparła z uśmiechem Izzy. – Jego Wysokość właśnie omawia ze mną warunki relacji między gospodynią a lokatorem.

Panna Pelham aż podskoczyła, a jej obcasy zastukały przy tym w kamienną posadzkę.

– A więc zostanę sąsiadką Izzy Goodnight…

– Panno Pelham… – przerwał jej książę.

– Widzi pani, czytałam wszystkie *Opowieści*. Całe mnóstwo razy. Kiedy byłam młodsza, wycinałam każdy odcinek z pisma i sklejałam je w jedną książkę. Przyniosłam ją ze sobą na wypadek, gdyby wieść okazała się prawdziwa. – Sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego duży tom w luźnej oprawie. – Czułabym się zaszczycona, gdyby wypisała pani na nim swoje nazwisko.

– Panno Pelham…

– Och, nie mogę sobie odmówić pewnej prośby! – wyrzuciła z siebie gwałtownie. – Czy… czy mogłabym dostać pasmo pani włosów, panno Goodnight? Włożyłabym je do tej książki.

– Panno Pelham! – przerwał jej ostro po raz trzeci książę. – Panna Goodnight mniema bezzasadnie, że mogłaby przebywać tu, w zamku, póki nasz konflikt co do prawa własności nie będzie rozstrzygnięty. Proszę pomóc mi w przekonaniu jej, że wcale tak nie jest.

– Ooch… – powiedziała przeciągle panna Pelham. – Och, nie.

Odłożyła na bok oprawny tom, a gdy podeszła bliżej, wionął od niej odurzający, słodki zapach. Izzy rozpoznała w nim wanilię i, jak się jej zdawało, gardenię.

Rękawiczka z białej koronki spoczęła opiekuńczo na ręce Izzy. Panna Pelham wyszeptała:

– Panno Izzy, pani nie może tu z nim zostać. Odwiedzam go już od miesięcy. Bez skutku. Ten człowiek to najokropniejszy rozpustnik.

Izzy przyjrzała się jej z rozbawieniem. Czyż ona sądzi, że książę nie może usłyszeć jej szeptu?

Rothbury odezwał się ponownie.

– Niechże pani ją przekona, że większa część zamku prawie się nie nadaje do zamieszkania.

– On ma rację, panno Goodnight. Całe życie mieszkałam tam w dole, w wiosce. Ten zamek to zupełna ruina. Zbutwiałe belki, robactwo. Bardzo niebezpiecznie.

– Znakomicie – powiedział książę. – Proszę jej też uprzejmie wytłumaczyć, że to nie Londyn czy York. To prowincja, a tutejsi ludzie hołdują tradycyjnym wartościom. Niezamężna kobieta nie może mieszkać w jednym domu z nieżonatym mężczyzną.

– To również prawda – potwierdziła panna Pelham. – Zaczęłyby się wstrętne plotki. Wieśniacy nie chcieliby mieć z panią do czynienia.

Rothbury skrzyżował ręce na piersi.

– No dobrze. W takim razie wszystko załatwione, panno Goodnight. Nie może pani tu pozostać sama ze mną. To po prostu niemożliwe. Z pewnością panna Pelham będzie rada z…

– Z tego, żeby tu zostać ze mną? – przerwała mu Izzy.

– Co takiego?! – spytał zaskoczony.

A to dopiero. Zapędziła go w kozi róg.

– Panna Pelham może zostać ze mną – wyjaśniła. – Jako moja dama do towarzystwa, tylko na kilka tygodni. Jeśli będzie tak miła, rzecz jasna.

– Zostać tutaj? Jako dama do towarzystwa samej Izzy Goodnight? – Panna Pelham ścisnęła ramię Izzy aż do bólu. – Nic by mi się bardziej nie podobało od wspomożenia pani w potrzebie!

Najwyraźniej panna Pelham była bardzo skłonną do pomocy młodą damą. Nawet wtedy, gdy ta pomoc nie była, prawdę mówiąc, zbytnio

potrzebna i pożądana.

– Będę pani niesłychanie wdzięczna – powiedziała Izzy.

– Z pewnością mój ojciec się temu nie sprzeciwi. Co za wspaniałe rozwiązanie dla nas wszystkich!

– Trzeba podziękować księciu, bo to z pewnością on nam podsunął to rozwiązanie. Nie może tego wprawdzie zobaczyć, lecz mimo to – Izzy spojrzała z triumfalnym uśmiechem na jego ponurą twarz – czyż to nie kapitalny pomysł?

8

W ciągu kilku minut wszystko ustalono. Panna Pelham była po prostu wniebowzięta. Duncan zaofiarował się, że pójdzie z nią na plebanię po rzeczy.

– No, proszę – powiedziała Izzy i klasnęła w dłonie, gdy wyszli, obracając się ku księciu. – Wszystko załatwione. Skoro sobie poszli, my możemy wziąć się do roboty.

– Co to, u diabła, znaczyło? – spytał książę.

– O czym pan mówi?

– O pani zachowaniu, kiedy panna Pelham tutaj weszła. Całkiem, jakby się pani stała kimś zupełnie innym. – I zaczął ją przedrzeźniać. – Ależ oczywiście, panno Pelham! Będę niezwykle wdzięczna, panno Pelham!

Izzy westchnęła.

– Nie musi się pan tym martwić.

– Ja się nie martwię. Ja jestem zazdrosny. Czemu wobec niej jest pani uprzejma, a mnie się dostaje wiedźma z gronostajem?

– Bo ona jest Moranglianką?

– Czym?!

– Moranglianką. *Opowieści* mojego ojca rozgrywają się w fikcyjnej krainie zwanej Moranglią. Jego najwięksi admiratorzy przezwali się więc Moranglianami. Pozakładali kluby, stowarzyszenia, wysyłają sobie pisma okólne. Spodziewają się też pewnej naiwnej niewinności po Izzy Goodnight. Nie chcę ich rozczarować, i to wszystko.

Zabębnił palcem po oparciu krzesła.

– A więc to tak! Czy gdybym przeczytał opowieści pani ojca, byłaby pani względem mnie uprzejmiejsza i uległa?

Nigdy nie miała zamiaru być uprzejma i uległa wobec niego ani też nie zamierzała pozwolić, by czytał *Opowieści na dobranoc*. Wykluczała taką możliwość całkowicie.

– Nawet gdyby pan przeczytał opowieści mego ojca, wątpię, czy spodobałyby się panu. Wymagają od czytelnika pewnej dozy…

– Łatwowierności? Braku doświadczenia? Dobrowolnego ogłupienia?

– Serca. Wymagają od ich czytelnika, żeby miał serce.

– W takim razie ma pani rację. One się dla mnie nie nadają. A ja z pewnością nie mógłbym nazwać się Mordranglerem.

– Moranglianinem.

– Doprawdy, czy to wielka różnica? – spytał zirytowany.

– Dla pana na pewno nie. – Podeszła do stołu. – A zresztą my nie mamy czasu na czytanie opowieści, nie teraz, z całym tym stosem korespondencji do przejrzenia.

Spojrzała na stertę listów i pakietów, zastanawiając się, od czego najlepiej zacząć.

– Wygląda na to, że nagromadziły się tu chronologicznie. Stare listy to te, które są najbliżej mnie, a te nowsze, na krańcu blatu. Chce pan zacząć od tych starych czy od nowych?

– Od starych – odparł bez wahania. – Jeśli mam zrozumieć, co się tu właściwie stało, muszę zacząć od samego początku.

Przejrzenie każdej z przesyłek zajęłoby zapewne kilka tygodni, ale Izzy nie zamierzała się skarżyć. Więcej pracy oznaczało więcej pieniędzy dla niej na renowację zamku. Musiała też przyznać, że przestawanie z księciem Rothburym było na tyle niełatwe, iż nie kwapiła się do przebywania z nim tutaj sam na sam. Przynajmniej dopóki zamku się nie wyczyści. A może nawet nie wyegzorcyzmuje.

– Dobrze – stwierdziła. – Zacznę od początku. A kiedy będę już czytać, podzielimy papiery na dwa stosy: istotne, do których powróci się później, i nieistotne, które należy odłożyć na bok. Czy zgadza się pan na ten plan?

– Tak. – Rothbury legł na sofie, zajmując prawie całą jej powierzchnię. Sofa była duża, ale i on był sporym mężczyzną. Magnus przysiadł obok.

– A więc podczas lektury zamierza pan tu leżeć jak matrona na szezlongu?

– Nie. Zamierzam tu leżeć jak książę odpoczywający we własnym zamku.

Niechże sobie leży, póki jeszcze może, pomyślała. Wkrótce to już nie będzie jego zamek.

Izzy, posługując się leżącym obok nożem do papieru, zaczęła łamać pieczęcie i otwierać stare koperty. Najpierw otworzyła chyba najgrubszą z nich, sądząc z tego, co mogła wymacać.

Najwyraźniej dokonała właściwego wyboru. Ze środka wypadł długi wykaz pełen liczb i podsumowań.

– Wygląda to obiecująco – powiedziała.

– Przestań się ze mną droczyć, Goodnight. Czytaj i już.

– „Wasza Wysokość zechce łaskawie przyjąć do wiadomości – zaczęła – że byliśmy wielce zgnębieni wieścią o pana kalectwie. Proszę przyjąć życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Na pańskie żądanie przesyłamy wszelką tyczącą majątku korespondencję do pańskiej rezydencji w Northumberland, Gostley Castle, aż do czasu, gdy otrzymamy kolejne informacje. Załączamy wykaz wszystkich rachunków i wypłat tyczący spraw majątkowych w ostatnich…”

Książę przerwał jej.

– Czy pani robi to świadomie?

– Co?

– Czyta, modulując specjalnie głos.

Policzki zaczęły ją palić.

– Nie robię tego.

– Ależ robi pani. Nigdy nie bywało tak, by mój urzędnik miał głos jak Święty Mikołaj.

W porządku. Będzie musiała czytać list, naśladując gruby głos urzędnika. Co z tego? Nie sądziła, żeby miał powód do skarg.

– Wszystko jest ciekawsze, kiedy się to czyta tak, jak ja to robiłam. – Wzruszyła lekko ramionami i ciągnęła dalej: – „Załączamy wykaz wszystkich rachunków i wypłat tyczący spraw majątkowych w ostatnich dwóch tygodniach”. A potem następuje wykaz. „Sto piętnaście funtów wypłacono dostawcy wina. Konie kupione na aukcji kosztowały osiemset pięćdziesiąt funtów. Kredyt miesięczny w klubie karcianym Pod Czarnym Lwem – trzysta funtów”.

Wino, konie wyścigowe, karty…

Im dłużej czytała, tym mniej korzystny wizerunek księcia wyłaniał się z tej listy.

Spojrzała jednak z zaciekawieniem na następną linię tekstu.

– Dobroczynny datek wspierający damy biorące udział w akcji na rzecz umiarkowania… – Spojrzała znad stronicy na niego. – Całe dziesięć gwinei. Cóż za szczodrość.

– Nikt nie będzie twierdził, że nie robiłem nic dla dobroczynności.

– Teraz wypłata poborów dla służby i rachunek straganiarza… Nie widzę tu nic niezwykłego… – Izzy spojrzała na pospiesznie nagryzmolony dopisek – …z wyjątkiem tego. Sto czterdzieści funtów wypłacono Sekretnej Perle. Co to takiego, sklep jubilera?

– Nie. – Na jego wargach pojawił się znany jej już uśmieszek. – Ale można tam sobie wybrać sporo ślicznych klejnocików.

– Och…

Dotarło do niej wreszcie, co się kryło pod tą nazwą, dzięki jego szelmowskiej odpowiedzi i diabolicznemu uśmieszkowi. Sekretna Perła była oczywiście burdelem. A ona zrobiła z siebie idiotkę.

– Może ją pani nazwać instytucją dobroczynną, jeśli w ten sposób będzie to bardziej zrozumiałe – powiedział. – Niektóre z tych biednych niewiast nie mają prawie nic na grzbiecie.

Izzy zignorowała go. Uniosła w ręce list.

– Istotny czy nieistotny?

– Istotny. Wszystko, co ma coś wspólnego z pieniędzmi, jest istotne.

Położyła list na pustym miejscu z boku stołu. Zapoczątkował coś, co stało się niewielkim, lecz wciąż rosnącym stosikiem.

Przedarli się kolejno przez eleganckie koperty. Kilka nieaktualnych już zaproszeń powędrowało na stos listów nieistotnych, podobnie jak gazety sprzed kilku miesięcy i prośby o wsparcie. Raporty z majątku i rachunki powiększały stos istotnych.

Izzy wybrała cienką kopertę z całego mnóstwa nieprzeczytanych listów.

– Jest tu list z pieczęcią członka parlamentu. Pewnie to coś bardzo ważnego.

– Jeśli pani sądzi, że każdy list tego rodzaju jest ważny, ma pani naiwne wyobrażenia o rządzie. Ale oczywiście, proszę przeczytać.

Gdy otworzyła list, poczuła zapach stęchłych, gorzkawych perfum. Charakter pisma, nieporządny i pełen zawijasów, był bardzo kobiecy. Pewnie nie pisał tego sam członek parlamentu, tylko raczej jego żona.

– „Rothbury…” – zaczęła.

Był to zaskakująco poufały nagłówek. List musiał przysłać ktoś, kto go dobrze znał.

– „Zaskoczy cię bardzo, że w ogóle piszę do ciebie – ciągnęła. – Minęły już całe miesiące, a my nie jesteśmy ludźmi skłonnymi do wymiany czułych słówek. Ale co znaczą te nowiny o twojej zagadkowej ranie? W Northumberland, czyli na zapadłej prowincji, słyszałam mnóstwo plotek na twój temat. Niektóre z nich głoszą, że zostałeś bez oka, nosa, albo jednego i drugiego jednocześnie. Inne znów mówią, że straciłeś rękę. Rzecz jasna, nie dbam, jakiej części ciała zostałeś pozbawiony, byle nie był to twój

cudownie szelmowski język, i jeśli nie uległ skróceniu choćby o cal twój wspaniały…”

Izzy zaniemówiła. Nie była zdolna przeczytać następnego słowa.

– Dalej, dalej – powiedział. – Rozbawił mnie ten list. Zmieniłem również zdanie, rób, co tylko chcesz, z twoim głosem. Niski, ponętny tembr świetnie by się tu nadawał.

– Nie sądzę, żebym koniecznie musiała dalej czytać. Ten list stanowczo powinno się dorzucić do nieistotnych.

– Och, panno Goodnight. – Uniósł swoją nieokaleczoną brew. – Chyba nie uważałaś, jak należy. Tam nie ma nic nieistotnego.

Izzy poczerwieniała z zażenowania.

– Nie sądź, że mnie zawstydzisz tym pruderyjnym milczeniem – powiedział. – Ani trochę mi nie wstyd. Możesz sobie jednać przyjaciół, możesz się zachowywać, jakby cię bocian przyniósł, a wychowywały gnomy, ale to nie znaczy, że wszystkim odpowiada pruderia.

– Pruderia? – powtórzyła. – Ja nie jestem pruderyjna.

– Skądże. Czyż powód, dla którego przerwałaś czytanie tego listu nie ma nic wspólnego z tym, że jesteś niewinną angielską panienką?

Założył splecione dłonie za głowę i wsparł buty na oparciu sofy. Gdyby jakiś malarz chciał go uwiecznić na obrazie, można by to malowidło zatytułować: *Wizerunek zadowolonego z siebie rozpustnika*.

– Kutas! – palnęła. – Powiedziałam to! Na głos! A powtórzę jeszcze raz! Kutas, kutas, kutas! I to nie byle jaki! – Zajrzała do listu i zaczęła czytać stłumionym gardłowym głosem: – „…twój wspaniały kutas, którego ogromnie chciałabym znów poczuć w sobie”.

Zamilkła.

Papier wypadł jej z ręki.

– Jest pan zadowolony?

– Doprawdy, Goodnight… – Ransom usiadł na sofie, podciągając się z wysiłkiem. – Jestem jak najdalszy od zadowolenia. Bardzo cię przepraszam

za mój upór.

– W porządku.

Izzy odetchnęła głęboko i odgarnęła niesforny kosmyk włosów z czoła. Całe ciało miała gorące, obolałe i czuła uparte pulsowanie gdzieś w głębi pomiędzy udami.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że nękała ją ciągle ciekawość. A poza tym dlaczego męski organ miałby być „wspaniały”? Przypuszczała, że wyjaśniłby to dalszy ciąg listu. Było tam coś o bezcennych calach i zdolności do sięgania w głąb.

Wsparła łokcie o stół i wyprostowała jeden z palców wskazujących. Ile cali mierzył? Najwyżej ze cztery. Nie kojarzyło się jej to z niczym wspaniałym.

Wyprostowała obydwa wskazujące palce i zetknęła je koniuszkami. Ta długość robiła już większe wrażenie. Ale również trochę ją przerażała.

– Goodnight…

Och, Boże!

Łokieć ześlizgnął się jej ze stołu i cały plik papierów spadł jak kaskada na podłogę. Dzięki Bogu, że nie mógł jej widzieć.

– Proszę?

– Czy zamierzasz dalej pracować?

– Tak. Tak, Wasza Wysokość. Oczywiście.

Miała już dość tej korespondencji od jego byłych kochanek. Pogrzebała w stercie listów z nadzieją, że znajdzie coś oschłego i nudnego. Na przykład sprawozdanie o zbiorach jęczmienia u jego dzierżawców. Coś, co wcale by nie świadczyło o wyczynach tego niesłychanie męskiego, niewybaczalnie wspaniałego libertyna.

– Jest tu coś, co przysłano jako pilne – powiedziała, wyciągając spod stosu podniszczoną kopertę – na pana adres w Londynie, ale pańscy ludzie widocznie przesłali ją tutaj.

Uniósł się na sofie i potraktował jej słowa z całą uwagą.

– Przeczytaj to.

– „Wasza Wysokość…” – zaczęła.

Nim jednak zdołała przeczytać dalszy ciąg, odłożyła list.

– Jakie to dziwne. Otworzyłam już ze dwadzieścia listów, ale żaden z nich nie zaczynał się od pozdrowienia. Nie widziałam, żeby ktoś napisał „Mój drogi książę” albo „Drogi Rothbury”.

– Nie ma w tym nic dziwnego – odparł obojętnie. – Tak zwykle bywa.

Zaśmiała się niepewnie.

– Ale z pewnością nie zawsze. Gdzieś w tych setkach listów musi być choć jeden nacechowany serdecznością.

– Pozbądź się takich przypuszczeń.

Czyżby nie było ani jednego?

Izzy przygryzła wargę. Koniecznie chciała znaleźć coś w tym rodzaju. Jeśli jednak nikt nie ośmielał się odnosić do niego życzliwie, działo się tak może dlatego, że zniechęcał do siebie ludzi swoją oschłością. Na pewno ktoś kiedyś uznał go za miłego – albo przynajmniej za godnego uznania, choć nie z powodu jego finansowych lub łóżkowych sukcesów.

Zajrzała do listu trzymanego w ręce. Już po kilku linijkach zrozumiała, że bardzo się różni od wszystkich, jakie czytała przedtem.

– „Wasza Wysokość, teraz już pan wie, że odeszłam. Proszę nie sądzić, że tego żałuję. Żal mi szczerze tylko jednego: że nie mam odwagi oznajmić panu o tym osobiście”.

Buty książęce stuknęły donośnie o posadzkę. Zerwał się na nogi z miną wręcz groźną. Nie kazał jej jednak przerywać.

– „Zdaję sobie sprawę – czytała po odchrząknięciu – że jest pan teraz daleki od myśli o przebaczeniu. Czuję jednak, że muszę wyjaśnić to, co uczyniłam. Prawda zaś wygląda, jak następuje: nigdy nie mogłabym poko…”

Wydarł jej list z dłoni, a potem zmiął go i wrzucił do kominka.

– Nieistotny.

Nieistotny?

Brednie.

Wiedziała, że jego treść jak najbardziej była istotna. Tak bardzo, że nie mógł jej znieść. Dlatego wyrwał go jej i zniszczył.

Ale stało się też coś tak istotnego, że musiała się z tym zmierzyć i nie miało to nic wspólnego z jego korespondencją.

Nie odrywała od niego wzroku. A potem zawołała:

– Nie jesteś wcale niewidomy, ty kłamliwy rozpustniku! Oszukujesz!

9

Nie jesteś niewidomy! – powtórzyła.

Zaskoczyło go to, choć nie w jakiś przykry sposób. Rozpamiętywałby swoje fatalne kalectwo jak dzień długi, gdyby nawet nie otworzyła tego przeklętego listu. Narwana smarkula, która go nagryzmoliła, mogła sobie oszczędzić atramentu. Nie miał zamiaru wybaczyć jej wtedy, a teraz sprawa była tym bardziej beznadziejna.

– Jestem niewidomy – oznajmił pannie Goodnight. – Dlaczego miałbym udawać, że nim nie jestem?

– Bo przeszedłeś te pięć dzielących nas kroków i wyrwałeś mi list prosto z dłoni, bez żadnego wahania. Zrobiłeś to z całkowitą pewnością. – Urwała na chwilę. – No i nieraz przyglądałeś mi się w taki dziwny sposób, że było to zastanawiające. Czasem wydajesz się zupełnie ślepy, a kiedy indziej, wcale.

– Bo czasem jestem zupełnie ślepy, a kiedy indziej wcale.

– Nie rozumiem.

– I ty tego nie rozumiesz, i cała ta banda medyków także. Powiedziano mi, że tam w środku został uszkodzony jakiś nerw, lecz objawy są różne. W pewnych porach dnia potrafię rozróżnić kształty i cienie, a także parę mętnych barw. Zwłaszcza po mojej lewej stronie. Ale niekiedy wszystko jest tylko mroczną mgłą. Najlepiej bywa z rana.

Powoli odsunęła krzesło i wstała.

– Co widzisz, gdy na mnie patrzysz? Powiedz dokładnie.

Pozwolił oczom przesunąć się po niej.

– Kiedy ja nie widzę niczego dokładnie. Mogę jednak dostrzec, że jesteś smukła. Wiem, że masz na sobie jakiś biały strój albo w jasnym kolorze. Twoja twarz jest blada, wargi czerwone. A na twojej głowie siedzi chyba ciemnobrązowa ośmiornica.

– To moje włosy.

Ransom wzruszył ramionami.

– Pytałaś mnie, co widzę. A ja widzę macki.

Czuł, że zirytowała ją ta odpowiedź, i był z tego zadowolony. Czego się spodziewała, komplementów? Wolał nie mówić, że jej usta są jak bryzg wina, który chętnie by zlizał. Ani że jej krągłe kształty gorąco pragnął ująć w dłonie i głaskać. Mimo że to właśnie było prawdą.

– Kto wie, że nie całkiem straciłeś wzrok?

– Tylko paru bezużytecznych lekarzy, Duncan, a teraz i ty.

Ransom pragnął, żeby właśnie tak pozostało. Miał już wystarczająco wiele kłopotu z poskramianiem własnych niemądrych nadziei. Nie zniósłby borykania się z oczekiwaniami innych. Gdyby na przykład Abigail Pelham wiedziała, że on trochę widzi, zamęczyłaby go. Pisałaby listy do londyńskich specjalistów i zadawała mu tysiące pytań.

„Czy teraz jest lepiej?”

„Czy zauważył pan poprawę?”

„Czy wyczuwa pan jakąś różnicę?”

„Jak jest teraz?”

„A w tej chwili?”

No i, oczywiście, odpowiedź za każdym razem brzmiałaby „nie”.

Nie i nie.

– Dość już tego gadania o moich oczach. Powinnaś wiedzieć tylko dwie rzeczy. Po pierwsze: umiem się poruszać po tym zamku lepiej od ciebie. Po drugie: nie mogę sam przeczytać tych listów.

Ransom powrócił na sofę i usiadł.

– Bierz więc kolejny. Zaczynajmy.

– Tak, Wasza Wysokość.

Na szczęście tym razem wybrała oschłe i nudne sprawozdanie jednego z jego wiejskich agentów. Cóż z niego za skrupulatny człowiek! Strona za stroną pisał o poprawie zdrowotności owiec i płodozmianie.

Mógł jej przerwać już po pierwszej stronie. Nie musiał wiedzieć wszystkiego, co tyczyło napraw stajni i obór. Nie potrafił się jednak zmusić, żeby jej o tym powiedzieć.

Lubił słuchać, jak ona czyta. I to o wiele za bardzo. Słuchanie jej głosu przypominało żeglugę wzdłuż brzegu rzeki. Nie strumienia rwącego po skałach, ale rzeki płynącej wolno, jak błoga melodia. Żeby doznać tego odczucia, mógłby jej zlecić czytanie czegokolwiek. Nawet tych ckliwych opowiastek o Menstrualii czy jak tam się zwała ta kraina.

– Tu są kolejne doniesienia księgowego – powiedziała po pewnym czasie.

Znakomicie. Znów miała czytać długi wykaz informacji bez znaczenia. Wkrótce jednak przerwała lekturę.

– Dziwne – powiedziała.

– Co jest dziwne?

– Twoje wydatki na wiktuały dostarczane przez przekupniów wyniosły cztery razy więcej niż w poprzednim sprawozdaniu.

– Co z tego? To tylko dostawy od przekupniów.

– Cóż, może i tak… zresztą nie jest to wielka suma. Dziwi mnie jednak, że twoja gospodyni wydaje nagle cztery razy więcej na jarzyny. Przecież nie było cię wtedy w rezydencji.

Ransom też uznał, że to nieco dziwne.

– Nieważne zresztą – powiedziała – zwróciłam uwagę na tę różnicę tylko dlatego, że to zawsze ja płaciłam takie domowe rachunki. Za rzeźnika, za straganiarkę, za praczkę. Nie przywiązywałbyś do tych rachunków wagi.

Istotnie. Nawet by ich nie zauważył, co nasunęło mu pewną myśl: jeśli ktoś próbował go okradać, fałszowanie rachunków za produkty od straganiarki było znakomitym sposobem.

– Porównajmy znowu obydwa te wykazy. – Podszedł do stołu i zbliżył się ku niej. – Szczegółowo, powoli.

– Odszukam je dopiero za chwilę.

Panna Goodnight nie była sekretarką, którą by sobie wybrał. Miała jednak bystre, krytyczne oko, jakiego potrzebował. Zważywszy wysokość sum, jakimi mogli dysponować jego doradcy – a także możliwość potencjalnych nadużyć – mogła się okazać prawdziwym skarbem.

Nie dane im jednak było powrócić do sprawdzania rachunków.

– Hej, panno Goodnight!

Ransom jęknął. Panna Pelham wróciła.

– Panno Goodnight, możemy zaczynać! Przyniosłam wszystkie moje rzeczy z plebanii, a nasza kucharka i służąca wkrótce tu przyjdą, żeby nam pomóc w robocie.

– Wspaniale! – odkrzyknęła panna Goodnight, wstając z krzesła. – Zaraz tam będę. – A Ransomowi powiedziała: – Wrócimy do tego jutro, Wasza Wysokość.

– Zaraz, zaraz – sprzeciwił się. – Nie będę czekać do jutra.

– Obawiam się, że nie masz wyboru.

Och, w tym się myliła. Był w końcu księciem. Zawsze miał możliwość wyboru.

Powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Masz posadę mojej sekretarki. Nie będę płacił dwustu funtów dziennie za przestawianie mebli i zawieszanie zasłon. Siądź, proszę, z powrotem przy stole i odszukaj listę wydatków.

– Czy usłyszałam „proszę”? – spytała i po chwili dodała: – Chyba się nie myliłam?

– Do licha, Goodnight!

– W takim razie zechciej mi potrącić za to popołudnie – odparła, zamierzając odejść. – Rachunki będą musiały poczekać do jutra. Jeśli nie pozwolisz mnie i pannie Pelham przygotować dla nas ciepłej, wygodnej sypialni bez szczurów i nietoperzy przed zapadnięciem nocy, to obiecuję: nie będzie żadnego jutra!

Panna Pelham zawołała z galerii na dole:

– Proszę tu przyjść, panno Goodnight! Zabierajmy się do przeobrażenia tego zamku w dom.

Dom.

Po tych słowach poczuł, że ogarnia go groza.

Nie było po co dłużej walczyć. Panna Goodnight na dobre zamierzała tu osiąść. Zrobić z tego miejsca dom. Jakież to było cholernie wspaniałe!

Ransom zaczął się zastanawiać, czy naprawdę zrobił doskonały interes.

Panna Abigail Pelham doprowadzała Izzy do zupełnej rozpaczy. Odkąd tylko córka proboszcza weszła – nie, wpłynęła – do wielkiego holu, Izzy zrozumiała, że różnią się od siebie najzupełniej.

Panna Pelham była młodą kobietą, która robi plany, sporządza wykazy, dba o urodę. Osobą, w jakiś dziwny sposób doskonale wiedzącą, w których słomkowych kapelusikach modystki będzie jej do twarzy i nigdy nie wygląda w tych ozdobionych mnóstwem wstążeczek cudeńkach jak strach na wróble. Osobą, która zawsze pachnie wanilią i gardeniami, wcale nie dlatego, by lubiła pieczenie ciasta i pracę w ogródku – nie, ona postanowiła zrobić z tych zapachów jakby własny podpis i trzyma wonne saszetki pod stosami bielizny osobistej.

Radziła sobie świetnie z pewną umiejętnością, w której wychowana bez matki Izzy nigdy nie celowała. A mianowicie w sztuce bycia kobiecą. Gdyby spotkała pannę Pelham na jakimś party, miałyby sobie wzajemnie mniej do powiedzenia niż barwna papuga i pospolity strzyżyk.

Na całe szczęście nie było to party, tylko doprowadzanie do porządku domu i pod tym względem Izzy nie mogłaby sobie życzyć bardziej entuzjastycznie nastawionej partnerki.

Panna Pelham obejrzała uważnie książęcy pokój, krzywiąc się na zjedzone przez mole zasłony.

– Jak książę mógł umieścić panią tutaj! Ten pokój jest wcale niebrzydki sam w sobie, ale trudno od niego zaczynać.

– Zgadzam się – uznała Izzy.

– Obejdziemy dzisiejszym rankiem cały zamek. – Po tych słowach panna Pelham szybko wyszła z pokoju. – A po południu wybierzemy miejsce, od którego zaczniemy porządki – ciągnęła. – Nieduże i łatwe do uporządkowania. Wysprzątamy je i wstawimy tam wieczorem przyzwoite łóżko. No i oczywiście zajmiemy się kominkiem. Niektóre są całkiem zablokowane przez ptasie gniazda i Bóg jeden wie, przez co jeszcze.

Zatrzymała się nagle, wzdrygnęła i jęknęła:

– Nie umiem wprost pani wyznać, jak na mnie to wszystko wspaniale działa. Nareszcie! Coś strasznego, że mogłam całe życie spędzić w wiosce pod tym cudownym zamkiem, patrząc, jak coraz szybciej zamienia się w ruinę. Wreszcie znajdą tutaj zatrudnienie i możliwość świadczenia usług nasi parafianie.

Izzy słuchała jej nieustannego paplania z rozbawieniem. Jeśli panna Pelham była czymś zaskoczona podczas ich obchodu, nie okazywała tego.

Izzy zaś wolała milczeć, oczy za to miała szeroko otwarte. Gdy szły korytarzami, w dziennym świetle większość pomieszczeń robiła fatalne wrażenie. Wiele szyb było wybitych. Wszystko, co mogły zjeść mole i myszy, zostało przez nie zjedzone. Kurz i pajęczyny pokrywały całą resztę niczym warstwa poszarzałego śniegu.

– Musimy wyznaczyć sobie rozsądne cele – ciągnęła panna Pelham. – Tego zamku nie wzniesiono w jeden dzień i nie da się z niego w tym czasie zrobić miejsca zdatnego do zamieszkania.

– Sądząc po jego architekturze, budowano go przez kilka wieków – zgodziła się z nią Izzy. – Mam nadzieję, że zrobienie z niego takiego właśnie miejsca nie potrwa równie długo.

Panna Pelham u stóp schodów odwróciła się ku niej z uśmiechem.

– Pani musi bardzo dużo wiedzieć o zamkach. Oczywiście od drogiego sir Henry’ego.

Ach, więc o to chodzi.

– O tak. – Izzy zmusiła się do miłego uśmiechu. – Zawsze ogromnie lubiłam słuchać, kiedy mi o nich opowiadał.

– Co za szczęście, że miała pani takiego ojca. – Panna Pelham przyjrzała się jej uważnie. – Jakże rozumnie pani dziś postąpiła. Będę się musiała przebrać w jakiś roboczy strój, skoro pani była na tyle przewidująca, że już to zrobiła.

Izzy dotknęła swojego stroju – najlepszej dziennej sukni, jaką miała – i usiłowała się uśmiechnąć.

Gdy skręciły za róg, rozpoznała znane już sobie schody.

– Wejdźmy nimi na górę.

Panna Pelham podążyła w ślad za nią, choć bez entuzjazmu.

– Tam w górze nie może być nic ciekawego. Schody są strasznie wąskie. Musimy pohamować nasze zapędy i nie oglądać teraz każdego zakamarka, bo nigdy nie zakończymy przeglądu zamku. Ograniczmy się dzisiaj do głównych wież, a po południu będziemy mogły wybrać dla pani sypialnię.

Trzydziesty drugi, trzydziesty trzeci…

– Właśnie ten pokój bym wybrała – oznajmiła Izzy, gdy znalazły się na szczycie wieżyczki.

Pokoik był jeszcze bardziej zachwycający w świetle dnia niż w nocy. Sklepienie zwężało się w szpic nad ich głowami, a złociste promienie słońca przenikały przez jedyne okienko.

Gdy Izzy tam podeszła, serce jej zaczęło bić szybciej. Widok falujących zielonych wzgórz i murów zamku, jaki rozciągał się poniżej, był wprost

oszałamiający. Można było nawet dojrzeć bluszcz porastający ściany, w którym gnieździły się ptaki.

– Właśnie ten? – Panna Pelham wydawała się całkiem niewrażliwa na urok pokoiku. – Byłby straszliwie niepraktyczny, no i jeszcze te schody. A także mnóstwo w nim przeciągów. Nie ma tu nawet kominka.

– A więc nie będzie konieczne czyszczenie przewodu kominowego. – Brak kominka oznaczał też brak nietoperzy. – A teraz jest przecież lato. Wystarczą mi kołdry. – Izzy obeszła wnętrze wokoło. – To musi być mój pokój.

– Z pani doprawdy jest mała Izzy Goodnight. – Panna Pelham uśmiechnęła się szeroko. – Och! Może wymalujemy sklepienie w srebrne księżyce i złote gwiazdy?

Miała na myśli sypialnię Izzy z *Opowieści na dobranoc*, z purpurowym baldachimem i z gwiaździstym niebem namalowanym na suficie. Pokój, który nigdy nie istniał.

– Nie trzeba – odparła. – Nocą mogę widzieć prawdziwe gwiazdy.

Nie chciała czuć się tu jak mała dziewczynka. W tym pokoju była kobietą. Kusicielką. Właśnie tutaj po raz pierwszy całowała się naprawdę.

Z aroganckim, nieznośnym księciem, który zrobił to w gruncie rzeczy pod przymusem. Ale mimo wszystko był to pocałunek i czuła go jeszcze w kącikach warg podrapanych bokobrodami.

– No dobrze – uznała wreszcie panna Pelham – w końcu później możemy urządzić dla pani na parterze cały ciąg apartamentów z bawialnią i pomieszczeniem dla garderobianej. Ale chyba ten pokoik wystarczy na początek.

– Cieszy mnie, że się pani spodobał.

– Czy mi się spodobał? – Objęła Izzy i uściskała ją. – Tak się cieszę, że gotowa byłabym piszczeć z radości!

– Mamy przed sobą ciężki dzień – powiedziała potem panna Pelham. – Ale dziś wieczorem będziemy spać w tej samej sypialni. Zapleciemy sobie

nawzajem włosy. Naciągniemy kołdrę na głowę i aż do późna będziemy sobie opowiadać bajki. Och, jakie to będzie wspaniałe!

I rzeczywiście było wspaniałe. Przez godzinę lub dwie.

Ale w sumie ta noc była podobna do wszystkich innych w jej życiu.

Ponownie obudziła się w ciemności z sercem walącym ze strachu i zaschniętym gardłem.

Osobliwe odgłosy zaatakowały ją ze wszystkich stron.

Nie jestem sama, powtarzała sobie, usiłując oddychać powoli i spokojnie. Mam przy sobie pannę Pelham.

Czułaby się jednak dużo lepiej, gdyby panna Pelham też się zbudziła. Izzy przewracała się z boku na bok w nadziei, że jej towarzyszka się ocknie.

Gdy jednak panna Pelham ani drgnęła, Izzy uciekła się do energiczniejszych metod. Potrząsnęła ją mocno za ramię.

Bez skutku.

– Panno Pelham, panno Pelham, przykro mi, że panią niepokoję, ale proszę się zbudzić!

Córka proboszcza chrapnęła, całkiem głośno, ale się nie obudziła.

O Boże. Nim Izzy położyła się do łóżka, uznała, że wcale nie boi się duchów. Że dobrzy chrześcijanie mogą sobie spać spokojnie. Ale ta kobieta spała iście kamiennym snem.

Wydało się jej to krańcowo niesprawiedliwe. Czyżby przez całe życie była niedobrą chrześcijanką? Nie chodziła wprawdzie do kościoła tak często, jak by należało, ale w końcu nie była poganką.

Chociaż musiała uczciwie przyznać, że dwadzieścia cztery godziny wcześniej całowała się bezwstydnie z księciem i całkiem sporo myślała o… pewnej wspaniałości.

Odległy skowyt przeraził ją do szpiku kości.

To nie było złudzenie. Wyskoczyła z łóżka. Stanowczo ten odgłos nie zrodził się w jej wyobraźni.

Potrząsnęła swoją towarzyszkę za ramię.

– Panno Pelham, panno Pelham! Proszę się zbudzić!

– Co się stało, panno Goodnight? – Młoda kobieta podniosła się powoli, z włosami rozczochranymi podczas snu, co Izzy sprawiło niejaką satysfakcję.

A wtedy skowyt rozległ się ponownie, ona zaś straciła zainteresowanie fryzurami.

– Słyszy pani coś? – spytała.

– Z pewnością to nic takiego.

– Ale bardzo głośne nic takiego! Cicho. O, znowu to słychać.

Panna Pelham nadsłuchiwała. Ze zmarszczonym czołem.

– Owszem, rozumiem, co pani ma na myśli.

Dzięki Bogu, jeszcze nie zwariowałam.

– Cóż to może być? Słyszałam, że w parku są zdziczałe domowe zwierzęta, ale ten dźwięk dobiega z jakiegoś bliższego miejsca.

Znów posłyszały niskie, urywane wycie.

Panna Pelham usiadła na łóżku.

– Może to róg pasterza?

– O tej porze? I wciąż od nowa? – Izzy zadrżała.

– No cóż, to nie może być duch. Nie wierzę w nie.

– Ja też nie wierzyłam, póki się tu nie znalazłam.

Panna Pelham westchnęła.

– Możemy się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Musimy same sprawdzić.

– Naprawdę musimy? – spytała Izzy. – Uznałam, że mogę żyć bez tej wiedzy. Wracajmy do łóżka.

– Ale to pani mnie zbudziła, panno Goodnight. Nie sądzę, by mogła pani spać spokojnie, póki nie rozwiążemy tej zagadki.

Izzy obawiała się, że właśnie coś takiego od niej usłyszy.

– Może ktoś płata nam figle?

– Z pewnością istnieje taka możliwość. – Panna Pelham sięgnęła po szlafrok. – Nie dziwiłoby mnie, gdyby zrobił to książę. Bez wątpienia chciałby nas wywabić z sypialni w samych koszulach. Proszę mocno zawiązać pasek od nocnego stroju.

– Przecież on nie widzi. No i jakżeby się ośmielił?

– Ośmieliłby się.

Owszem, Izzy przypuszczała, że mógłby tak zrobić.

Choć nie przerażała jej perspektywa ponownego błądzenia wewnątrz zamku po nocy, czuła się znacznie pewniej, wiedząc, że panna Pelham będzie jej towarzyszyć w tej eskapadzie.

Gdy już zawiązały na mocny supeł swoje szlafroki i włożyły pantofle, zapaliły świece. Izzy dotknęła swojej kieszeni. Była pusta. Śnieżynka musiała udać się na łowy lub spała w swojej klateczce.

Szczęśliwe stworzenie.

Weszły obydwie na schody i powoli posuwały się w ciemności, jedna za drugą. Czasami panna Pelham przyspieszała i skręcała za róg przed Izzy, znikając jej z oczu razem ze świecą. Czasami znów szybciej poruszała się Izzy, pewna, że lada chwila poczuje palce upiora na szyi.

– Czy widzi pani tam coś? – spytała panna Pelham, gdy weszły w korytarz.

Izzy uniosła świecę wysoko, trzymając ją w prawej ręce, i spojrzała w ciemność.

– Nie.

– Po tej stronie też nic nie dostrzegłam.

Odgłos znów się powtórzył.

– Proszę się nie martwić, panno Goodnight. Takie stare budowle wydają różne dziwne dźwięki. Bez wątpienia to trzeszczy drewno albo jakieś drzwi kołyszą się na zardzewiałych zawiasach.

Obydwa wyjaśnienia brzmiały prawdopodobnie, co podniosło je na duchu.

Wydostały się na dziedziniec i już go niemal przeszły, kiedy jakaś wysoka postać wynurzyła się z cienia, sprawiając, że zamarły bez ruchu.

– Duncan! – wyjąkała Izzy, przyciskając dłoń do gwałtownie bijącego serca. – Ale nas pan przestraszył!

Służący uniósł lampę, oświetlając swe ostre rysy.

– Dlaczego panie wstały z łóżka?

Po raz kolejny przenikliwy skowyt rozległ się wśród mroku; Izzy zjeżyły się włosy na karku.

– Właśnie dlatego! – odparła.

– Cóż to może być? – spytała panna Pelham.

Duncan pokiwał głową.

– Pewnie koty się drą albo lisy walczą ze sobą. Cokolwiek hałasuje, przepędzę to stąd, a panie powinny wrócić do siebie.

– Pójdziemy z panem – postanowiła Izzy.

Zaszły już za daleko, żeby się cofać. Postanowiła raczej stawić temu odgłosowi czoło razem z Duncanem, niż powrócić do sypialni.

– Doprawdy, panno Goodnight, to nie…

Nim skończył swoje ostrzeżenie, panna Pelham krzyknęła przeraźliwie i wskazała na coś palcem.

– Duch!

Jakaś biała, długa zjawa wyskoczyła z wieży, miotając się z wyciem po dziedzińcu.

Ale to nie był duch, tylko Magnus.

Biedny pies zaplątał się w prześcieradło z holenderskiego płótna wiszące po praniu na sznurze. Miotał się tak gwałtownie, że Izzy dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co mu się stało.

A powinna się była tego domyślić.

Śnieżynka.

Gronostaj istotnie wyruszył na łowy, i to nie byle jakie. Wpił się z całej siły zębami w koniec ogona Magnusa. Pies biegał w kółko po dziedzińcu, obijał się o jego ściany i skowyczał, usiłując strząsnąć z siebie gronostaja.

– Och, biedak! – Izzy ze śmiechem zaczęła gonić za psem. – Duncanie, czy może go pan złapać?

Dopiero po sporym wysiłku zdołali zapędzić oba zwierzęta w róg dziedzińca. Duncan chwycił wreszcie Magnusa, a Izzy oderwała ostre ząbki Śnieżynki od psiego ogona.

– No już. Och, ty mała bestio!

Panna Pelham skrzywiła się po obejrzeniu skaleczenia.

– Opatrzę to biedne stworzenie. Rana jest głęboka, ale wzięłam ze sobą skuteczną maść. Moje rzeczy leżą w wielkim holu. Potrzeba nam tylko bandaży.

Duncan pospieszył tam, nim jeszcze skończyła mówić.

– Oczywiście, panno Pelham.

Izzy tuliła do siebie Śnieżynkę.

– Zabiorę ją do wieżyczki i upewnię się, że stamtąd nie ucieknie, a potem tu wrócę.

Po ustaleniu tego planu rozeszli się w różne strony.

Izzy weszła na schody, niosąc Śnieżynkę bezpiecznie ukrytą w kieszeni szlafroka. Gronostaj, najwyraźniej zmęczony, z miejsca zasnął.

– Książę najchętniej by się ciebie pozbył – upomniała go ostro, zamykając zwierzątko w pozłacanej klatce. – A bez wątpienia mnie również.

Gdzie jednak podział się Rothbury? Nie mógł przecież spać, słysząc ten skowyt. A nawet gdyby spał, powinien był później dostrzec zamieszanie związane z jego psem.

Mimo tych wątpliwości Izzy bez obawy wróciła do wielkiego holu. Teraz, gdy zawodzący przeraźliwie duch okazał się czymś tak niegroźnym, nabrała otuchy.

Z pewnością mogła uczynić z tego miejsca swój dom.

A wtedy…

Kiedy śmiało szła korytarzem, dostrzegła coś w jednym z pustych wnętrz.

Coś białawego, co skręcało się całe i jęczało.

Poczuła, że ma serce w gardle. Nie uciekła jednak. Podeszła nieco bliżej do tego czegoś, ściskając mocno świecę w dłoni.

Po chwili upiorna zjawa znalazła się w kręgu światła.

Izzy aż zamrugała ze zdumienia.

– Czy to… Wasza Wysokość?…

10

Niech to wszyscy diabli.

Ransom skrzywił się, gdy znany mu głos dotarł do niego i wniknął pod pulsującą bólem czaszkę.

Że też musiała go wyśledzić i ujrzeć w takim stanie. Skulonego na ziemi, z kolanami podciągniętymi pod brodę, nękanego dotkliwym cierpieniem.

Po cóż zgodził się, żeby to był pojedynek na szpady? Powinien był twardo obstawać przy pistoletach. Jasne, już by teraz nie żył, ale wolałby śmierć od jeszcze jednej chwili tego rozdzierającego bólu.

– Co się stało? – spytała. – Źle się czujesz?

Podeszła bliżej i uklękła przy nim.

– Odejdź. Zostaw mnie.

Przekręcił się na drugi bok, przyciskając kolana do żołądka, a głowę do zimnego, gładkiego kamienia.

– Czy to jakiś atak?

– Mnie tylko… – skulił się cały, gdy kolejny wybuch bólu przeszył mu czaszkę od oczodołu po jej tylną część – …boli głowa.

Była to raczej prawdziwa tortura niż ból głowy. Przenikał ją, począwszy od tyłu czaszki, i przesuwał się na ukos przez jej połowę, aby ugodzić go tuż za okiem.

Jeszcze raz. I jeszcze jeden raz.

– Jak mogę ci pomóc? – spytała.

– Wynosząc się stąd.

– Nie chcę. Ty nie zostawiłeś mnie, kiedy zemdlałam.

– To co innego – wymamrotał. – To nie była…

– …prosta uprzejmość. Wiem, wiem. Mówiłeś też coś o robactwie. Jeśli nie chcesz, żebym przy tobie została, czy powinnam zawołać Duncana?

– Nie! – wyrzucił z siebie tak energicznie, jakby strzelił z pistoletu, ale odpokutował to. Rozbłyski bólu pojawiły się pod powiekami.

Nie odeszła.

– Dać ci wody, whisky? Albo może trzeba ci leku?

Zgrzytnął zębami i pokręcił głową.

– Nic nie pomaga. Muszę czekać, aż przejdzie.

– Jak długo?

– Może z godzinę.

Godzinę długą jak całe życie. Całe życie być dźganym w podstawę czaszki szpikulcem. Raz za razem.

– Zostanę z tobą.

Ręka jej spoczęła na jego ramieniu, a on aż się cały wzdrygnął od tego dotknięcia.

Przywykł do mierzenia się z bólem w pojedynkę. Matka zmarła w niecałą godzinę po wydaniu go na świat, a ojciec nie tolerował łez z powodu uderzenia się w palec u nogi lub otartego kolana. Gdy się zranił lub zachorował, stary książę uważał, że powinien sam radzić sobie z bólem. Niańkom i służbie nie wolno się było nad nim rozczulać. Żadnego współczucia. Ojciec upierał się przy tym.

No i miał rację. Gdy Ransom nauczył się przezwyciężać ból, wyrósł na silnego, niezależnego człowieka. Nieczułego. Nieprzejednanego. Aż do chwili, gdy czyjaś szpada cięła go przez twarz.

Musnęła palcami okaleczone czoło.

– Nie trzeba mi tu ciebie.

– Jasne, że nie. Jesteś wielkim, silnym, męskim księciem i nie potrzeba ci nikogo, wiem. Nie zostanę tu dla ciebie, tylko dla siebie samej. Bo mnie

właśnie tego trzeba.

Westchnął i poddał się. Nie miał siły dłużej się z nią spierać.

Siadła przy nim i wsparła o siebie jego głowę.

– Już dobrze. Uspokój się.

Palce jej błądziły w jego włosach, kreśliły zachwycające szlaki na skórze. Każdy z tych ruchów zdawał się stopniowo koić jego ból.

Dotyk jej był czymś wręcz magicznym lub bliskim cudu, w co człowiek taki jak on ledwie mógł uwierzyć. Odnalazła miejsce najgorszego bólu i łagodziła go delikatnymi ruchami czubków palców.

A ten jej głos! Ten jego głęboki, błogi nurt uwalniał go od cierpienia.

Ta niespodziana czułość była czymś całkiem mu nieznanym. Ale choć jej pragnął, raniła go też nieznośnie. Wraz z każdym dotknięciem, na jakie jej pozwalał, zaciągał długi, których nigdy nie będzie mógł spłacić.

Nie zasługujesz na to, mówiło mroczne, nieprzejednane echo. Tyle razy słyszał te słowa, że stały się częścią jego samego. Żyły w jego krwi, rozbrzmiewały wraz z biciem serca. Nie zasługujesz na to. Nigdy nie zasługiwałeś.

Kciuk jej znalazł obrzmienie przy podstawie czaszki i nacisnął je. Ransom jęknął.

Natychmiast zamarła bez ruchu.

– Czy sprawiłam ci przykrość?

– Nie. Tak. – Ułożył się w ten sposób, że jego głowa spoczywała na jej łonie, a on obejmował ją bezwstydnie ramieniem w talii. – Tylko że…

– Co?

– Nie przerywaj. – Wstrzymał dech, gdy nowa fala bólu niemal mu odebrała przytomność. – Nie przerywaj.

– Nie przerwę – obiecała.

Ściskało się jej serce. Było coś przejmującego w tym widoku mężczyzny tak silnego i potężnego, zwiniętego w kłębek niby szczenię na posadzce,

wilgotnego od potu, zmagającego się z przenikliwym bólem.

Objął ją mocno w pasie.

Była od dawna samotna. Nawet przed śmiercią ojca. I na tyle nawykła do samotności, by zrozumieć, że najgorszą rzeczą nie jest wcale brak czyjejś opieki, tylko brak osoby, którą można by się zaopiekować.

Izzy nie wiedziała, czy łagodne ruchy jej palców mogą usunąć jego ból – lecz usuwały barykady wokół jego serca.

Gładziła go delikatnie po czole i głowie, szeptała coś, co – jak miała nadzieję – było słowami pociechy.

Pragnęła zapytać, co mu się stało, co się zdarzyło tej nocy i te kilka miesięcy wcześniej.

– Powiedz mi coś – poprosił.

– O czym?

– O czymkolwiek.

Dziwne. Izzy sama chętnie by go zasypała pytaniami, lecz nie proszono jej nigdy, by mówiła o czymkolwiek, co jej przyjdzie na myśl. Teraz, kiedy sobie tego zażyczył, nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Znów zaczęła gładzić go po włosach.

– Mów o czymkolwiek – powtórzył. – Opowiedz mi jakąś historię, jeśli musisz. Jedną z tych o Mudpudlii.

Uśmiechnęła się.

– Lepiej nie. Moją życiową rolą było pomaganie ojcu. Nie znaczy to jednak, że jestem małą dziewczynką z jego opowieści. Owszem, ogromnie lubię romantyczne historie, ale lubię też gazety i magazyny sportowe.

Przesunęła palce niżej, ku jego szyi, i zaczęła rozcierać napięte muskuły, zakreślając delikatne kręgi.

Jęknął.

Znieruchomiała.

– Czy mam przestać?

– Nie. Tylko mów coś. O jaki sport chodziło?

– Kiedy byłam dziewczynką, ciekawiły mnie wszystkie dyscypliny. Mój ojciec był wtedy wychowawcą, a ja czytałam, co mi wpadło w ręce. Jeden z jego uczniów przyniósł całą stertę magazynów. O boksie, o zapasach. Najbardziej lubiłam czytać o wyścigach konnych. Nie opuszczałam żadnego artykułu, znałam wszystkie rasy. Typowałam zwycięskie konie, a ojciec zawierał zakłady. Zawsze mieliśmy z tego dodatkowe pieniądze.

Wsparła się na jednej ręce i usadowiła tak, by móc mu opowiedzieć o jednym roku, gdy wytypowała zwycięzców wyścigów w Ascot i Derby, nie szczędząc szczegółów o rodowodach i swoich osobliwych kalkulacjach. On chciał tylko, żeby bez przerwy mówiła, więc tak właśnie robiła.

– W każdym razie – zakończyła kilka minut później – dobrze na tym wyszliśmy.

– Wygląda na to, że ty dobrze na tym wyszłaś. – Westchnął ciężko i odwrócił się na plecy, tak by mógł patrzeć jej w twarz.

– Czy ból choć trochę się zmniejszył, Wasza Wyso… – Urwała, nie mogąc dokończyć formy grzecznościowej. Trzymała jego głowę na kolanach i paplała o swoim nudnym życiu. Był to wyjątkowo niezręczny i najbardziej chyba nieksiążęcy epizod, jaki mogła sobie wyobrazić. Na cóż by się tutaj przydały formalności?

Pomyślała o wszystkich tych listach, nad którymi ślęczała tego rana. O tym, że wszystkie zaczynały się od słów „Wasza Wysokość” lub „Niech książę będzie łaskaw” albo też od czegoś równie bezosobowego.

Potrzeba mu zaś było kogoś, kto by go traktował jak zwykłą osobę. Nie nietykalnego księcia, lecz człowieka, o którego warto byłoby się troszczyć. A że jej zdaniem Duncan prędzej by połknął czernidło do butów, niż zerwał ze swoją wyznaczoną przez tradycję rolą, uznała, że jej przypada to w udziale.

– Ransomie – szepnęła.

Nie zaprotestował, ponowiła więc próbę.

– Lepiej ci?

Kiwnął głową, zasłonił dłonią oczy i potarł skronie.

– Jakby trochę lepiej.

– Często miewasz te bóle głowy?

– Już nie tak często, jak kiedyś. Tylko że… nadchodzą niespodziewanie. A także są wręcz mordercze. Ten zwalił mnie po prostu z nóg. Ale kiedy jest już po wszystkim, znikają równie nagle, jak się pojawiły.

Usiadł, choć sporo go to kosztowało.

– Nie wzywaj Duncana. Będzie się upierał, żeby posłać po doktora.

– Może to i niezła myśl – odparła.

Ransom pokręcił przecząco głową i skrzywił się.

– Nie. Doktorzy nic nie mogą dla mnie zrobić.

Wstał nie bez pewnego trudu. Izzy także wstała. A potem patrzyła z przerażeniem, jak wysoki na sześć stóp książę powoli przechyla się w prawo.

– Och, jej. – Pospiesznie wsparła go z całej siły obydwiema rękami, żeby mógł się znów wyprostować. – Wasza Wysokość powinien teraz spocząć.

– Ty również. – Pogładził ją po ręce. – Po co wylazłaś z łóżka?

– Ja… hm… – Zawahała się, nie wiedząc, jak wyjaśnić „polowanie na ducha” i nie chcąc mu zdradzić, że jej gronostaj o mało nie odgryzł biednemu Magnusowi ogona.

Chyba zresztą nie okazałby jej zrozumienia.

– Czy na pewno dobrze się czujesz?

– Zawsze jest tak samo. – Wyprostował się, wsparty na jej ramieniu. – Nawet gdy ból minie, mój umysł nie działa należycie przez godzinę czy dwie. Całkiem, jakbym był pijany.

Uśmiechnęła się, czując jego ciężką dłoń na ramieniu. Wreszcie z własnej woli zgodził się, żeby mu pomogła.

– No cóż, przynajmniej upijasz się na wesoło. Prawdę mówiąc, bardziej cię wtedy lubię.

– A ja cię lubię za bardzo – mruknął tak niewyraźnie i cicho, że ledwo dosłyszała jego słowa.

Były zbyt niedorzeczne, by im wierzyć.

„Lubię cię za bardzo”.

Zalała ją fala gorąca. Chyba nie mógł tak myśleć naprawdę. Po prostu nie był teraz sobą.

– Doprawdy, powinieneś odpocząć – powiedziała. – Pozwól mi się sprowadzić do wielkiego holu, żebyś mógł zasnąć – powiedziała, wsuwając rękę pod jego ramię, jakby miała dźwigać jarzmo.

Odwrócił się tak, żeby móc patrzeć na jej twarz, lecz zamiast wesprzeć się ramieniem na niej, objął nim jej plecy.

– Przynajmniej pocałuj mnie na dobranoc.

O Boże, naprawdę zachowywał się jak pijany. Pewnie rano nie będzie nawet o tym pamiętał.

A w takim razie… czemu nie?

Wspięła się na palcach i pocałowała go w nieogolony policzek.

– Dobranoc, Ransomie.

– Nie, nie. – Przygarnął ją do siebie mocno, tak że zakołysali się obydwoje tam i z powrotem. – Nie to miałem na myśli. Izoldo Ofelio Goodnight, pocałuj mnie. Z całego serca.

– Ja… – Poczerwieniała i z trudem przełknęła ślinę. – Nie jestem pewna, czy w ogóle wiem, jak to zrobić.

Uśmiechnął się. Krzywo i bezwstydnie.

– Posłuż się własną wyobraźnią.

Była to zachęta, jaką przez całe życie pragnęła usłyszeć.

Przywarła ustami miękko do jej warg. Nie poruszył się, pozwalając jej, żeby go całowała. Oplotła ramionami jego szyję, przywierając do niego. Całowała jego górną wargę, potem dolną. Leciutko, czule i raz za razem.

Pocałunki te były wyznaniami. Znakiem wszystkiego, co się w niej nagromadziło. Mogłaby mu dać wszystko, gdyby miał w sobie tyle odwagi,

by to przyjąć. W każdym z pocałunków otwierała się przed nim cała.

To moja miękka pieszczota.

To moja cierpliwość.

To moje zrozumienie.

To moje czułe, bijące serce.

Wyszeptał jej imię, a gwałtowność uczuć wyczuwalna w jego głosie czyniła ją coraz śmielszą. Zacisnął dłonie na tkaninie okrywającej jej krzyże. Jakby jej pragnął. Nie tylko w tej jednej chwili, ale całym swoim jestestwem.

– Izzy.

Na końcu korytarza dały się słyszeć lekkie kroki.

– Panno Goodnight?

Był to głos panny Pelham.

Izzy oderwała się od niego. Wsparł się czołem o jej czoło. Co za szaleństwo.

– Muszę iść – wyszeptała.

Nie mogli dać się zaskoczyć w takiej sytuacji. Wymagałoby to zbyt wielu kłopotliwych dla nich wyjaśnień.

– Wasza Wysokość, muszę już iść.

Trzymał ją w objęciach mocno, nie pozwalając się jej ruszyć. Wciąż jeszcze ciężko dyszał.

A potem, nagle, uniósł głowę. Oczy, które zdawały się niczego nie widzieć, zwęziły się.

Najwyraźniej wracał teraz do przytomności. Nagle powróciła mu cała świadomość, kim jest on sam i kim jest ona, a także świadomość tego, że nie powinien jej obejmować.

Ze znaną jej już szorstkością puścił ją.

– No to idź sobie.

11

Tej nocy Ransom śnił o ciemnych włosach i pełnych, czerwonych ustach. I o gorącu. Wilgotnym, wszechogarniającym gorącu nad nim i pod nim.

Tak.

Nie.

Nie, nie, nie. Oprzytomniał.

Nie budź się, powiedział sobie w duchu. Nie całkiem. Jeszcze nie teraz.

Przewrócił się na drugi bok. Zaciskając mocno powieki, objął mocnym uściskiem przyrodzenie sztywne jak kolumna. Rzadko to robił, mimo że od tak dawna obchodził się bez kobiety.

Może tym razem uda mu się osiągnąć ulgę.

Poruszał dłonią w górę, a potem w dół. Z początku powoli. Potem szybciej.

W półśnie czuł się tak, jakby to ona go tam obejmowała. A potem jakby to były jej usta. A potem jej błogi, wilgotny, ciasny…

– Fascynujące.

W jednej chwili oprzytomniał całkowicie. Znał ten gardłowy głos.

– Goodnight?

– Dzień dobry. – Była jakby nieco zmieszana.

Do diabła, co ona tu robi o tej porze? Miał nadzieję, że nie gapiła się, jak ciekawska smarkula, na to, co robił. Nie był właściwie zażenowany, ale też nie miał ochoty się przed nią tłumaczyć.

– Nie miałam zamiaru cię budzić – wyjaśniła. – Tylko że historia twojego rodu jest tak fascynująca…

Usłyszał szelest przewracanych kartek.

A więc czytała książkę, nie patrzyła na niego.

Przeciągnął się na swoim wyrku i pozwolił sobie mruknąć coś niecenzuralnego.

– Dobry Boże, Goodnight. Jest przeraźliwie wczesna pora.

– Już prawie świta. A ja czytam książkę, którą panna Pelham mi wręczyła. O dziejach tego regionu. Historia rodu Rothbury jest po prostu wspaniała.

– Miło mi, że całe wieki krwawej tyranii i knucia spisków przez moją rodzinę cię bawią.

Zamrugał oczami, usiłując ją dostrzec.

Siedziała bokiem do niego, jej sylwetka rysowała się na tle ognia, zagłębiona w fotelu, niecałe pięć stóp od niego. Całe jej ciało było jedną jasną, zmysłową, spiralną krzywizną. Dotarł do niego niewyraźny obraz gołej stopy zwisającej tuż nad kantem siedzenia. Kołysała nią tam i z powrotem.

Nagle stopa przestała się kołysać i przesunęła ku przodowi, w kusząco powolny sposób.

Przewróciła kolejną stronę.

– Doszłam właśnie do uwięzienia piątego księcia za zdradę. Co się z nim potem stało?

– Trzymano go w londyńskiej Tower całymi latami. Królowa Maria panowała dostatecznie długo, by go uwolniono od tego zarzutu.

– Ach – powiedziała – miał więc nieco szczęścia. Pewnie musieli potem odkupić zamek, chcąc go odzyskać. Czy dlatego posiadłość przestała być majoratem?

Ransom zdołał z wysiłkiem usiąść, a w jego lędźwiach wciąż pulsowało niezaspokojone pożądanie. Sięgnął po buty i zaczął je wciągać. Sądząc z

szarawych zarysów tego, co zdołał dostrzec, musiało być bardzo wcześnie. Ledwie dniało. A jeśli siedziała tam i czytała już od jakiegoś czasu, jak na to wskazywała przyjęta przez nią wygodna poza, znaczyło to niewątpliwie, że przyszła tu, kiedy jeszcze trwała noc.

– Czujesz się lepiej dziś rano? – spytała ostrożnie.

– Tak – odparł krótko, nie pozwalając na dłuższą dyskusję. Nie zniósłby myśli o ostatniej nocy; nie zdołałby nawet zacząć doszukiwać się w niej sensu.

Odłożyła książkę.

– Chciałam właśnie oznajmić, że dziś będę pracować tylko do południa. Panna Pelham rano wynajmie we wsi służące, bo zamierzamy po południu wysprzątać gotowalnię. Chętnie widziałabym twoją pomoc.

– Goodnight – powiedział ostrzegawczym tonem – nie będziesz marnować czasu na sprzątanie zamku.

Znów odłożyła książkę.

– Wasza Wysokość nie jest jedyną osobą, która ma przed sobą jakiś cel. Chcesz wiedzieć, jaki jest aktualny stan twoich interesów. A ja chcę mieć dom. Rano korespondencja, po południu zamek. Jeśli będziemy postępować we wskazany przeze mnie sposób, obydwoje osiągniemy to, czego chcemy.

Ransom przejechał dłonią po włosach. Chciał całego mnóstwa rzeczy, których nie był w stanie osiągnąć, a blisko dziewięć dziesiątych z nich wiązało się z jej ustami.

Jeśli tak jej zależało na wygodzie, to czemu nie wróciła do swojej sypialni?

– Czy coś jest nie tak z tą twoją wieżyczką?

– Bynajmniej. Tylko że obudziłam się i… chyba było mi w niej trochę zimno. Zeszłam więc na dół, żeby siąść przy ogniu.

Wydała z siebie dziwny, krótki dźwięk.

– Co to było? – spytał.

– Co?

– Ten dźwięk, który usłyszałem.

– Ach, to nic takiego. Po prostu kichnięcie.

– To nie mogło być kichnięcie. Nikt nie kicha w taki sposób.

– A ja owszem. – Pociągnęła nosem. – Och, zaraz kichnę po raz wtóry.

Znów wydała ten zduszony dźwięk. A potem drugi.

Ransom krzywił się za każdym razem.

– Boże, jakie to nieznośne.

Pociągnęła nosem.

– Przecież nie robię tego naumyślnie.

– To niezdrowe. Jeśli już masz kichać, rób to, jak należy.

Znów kichnęła. Tym razem trzykrotnie.

– No trudno, ja tak właśnie kicham! – jęknęła. – Nic na to nie poradzę. Zamek jest pełen kurzu. A w wieżyczce są przeciągi.

Był to niemały kłopot. Nie mogła pracować jako sekretarka, skoro źle się czuła. On zaś nie mógł dłużej znieść tego przebywania razem z nią, chyba żeby pozostawała przez całą noc w swoim pokoju.

No, dobrze. Pozwoli jej przez kilka popołudni sprzątać zamek. Ale dziś wieczorem, przyrzekł to sobie, będzie spoczywała wygodnie w swoim ciepłym łóżku, a co ważniejsze, z dala od niego.

Zakonotował sobie w pamięci, że ma ją zaopatrzyć w kilka kołder. I to grubych.

Zaopatrzył ją w kilka kołder. Grubych.

Ale następnego ranka była znów tam, gdzie przedtem.

– Dzień dobry.

No i jeszcze raz Ransom zbudził się nagle z bólem w pachwinie i we wściekłym nastroju.

– Znowu czytasz historyczne książki? – mruknął.

– Piszę list. – Jej pióro szurało po papierze. – Widzisz, załatwiam własną korespondencję. Czy wolałbyś walczyć z setką słoni wielkości szczura, czy

też z jednym szczurem wielkości słonia?

Pokręcił głową, próbując oprzytomnieć.

– Co takiego?

– Po prostu pytam. Czy gdybyś miał wybór, z czym wolałbyś walczyć? Z setką słoni wielkości szczura czy z jednym szczurem wielkości słonia?

– Zdaje ci się, że mówisz do rzeczy, ale to nieprawda.

– Oczywiście to nie jest pytanie – powiedziała – tylko temat do dyskusji. Lord Peregrine i ja korespondujemy ze sobą od lat. W swoich listach zawsze umieszcza takie nonsensowne łamigłówki i zastanawiamy się nad nimi bez końca.

– Zaraz, zaraz. A więc jakiś stary lubieżnik pisze do ciebie listy? Czemu nie powiesz temu bezczelnemu rozpustnikowi, żeby dał ci spokój?

– Ależ to wcale nie tak! Ten biedak jest przykuty do łóżka i bynajmniej nie myśli o mnie jak o kobiecie, zapewniam cię.

A zatem lord Peregrine miał na tyle żywą imaginację, żeby wyobrażać sobie bitwy ze szczurami wielkości słonia i słoniami wielkości szczurów, ale nie był w stanie myśleć o Izzy Goodnight jak o kobiecie? Co do tego Ransom był sceptyczny. Mężczyzna, nawet przykuty do łóżka, pozostaje mężczyzną.

Wielu ludzi uważało, że Ransom po swoim okaleczeniu został inwalidą, a tymczasem on nadal był mężczyzną. Każdego ranka, gdy go budził jej miękki głos, przyrodzenie twardniało mu w odpowiedzi niczym granit.

– Co byś więc wybrał? – ciągnęła. – Malutkie słonie czy jednego olbrzymiego szczura? No i jaką w związku z tym wybrałbyś broń? – Zastukała czubkiem pióra o stół. – Bo ja nie potrafię się zdecydować. Olbrzymiego szczura łatwiej byłoby może zabić, gdybym wbiła mu miecz w samo serce. Ale gdybym chybiła? Wtedy musiałabym się zmagać z rozwścieczonym i rannym olbrzymim szczurem.

Ransom musiał przyznać lordowi Peregrine jedno. Jego listy znakomicie gasiły pożądanie.

– Małe słonie wydają się mniej groźne – ciągnęła. – W każdym razie jakąż krzywdę może komuś wyrządzić dwieście miniaturowych kłów? Może zmęczyłyby się, gdybym miała na nogach dobre ochraniacze? Co o tym myślisz?

– Myślę, że zastanawianie się, jaką zbroję nałożyłabyś do walki z miniaturowymi słoniami, to czyste wariactwo.

– To, co ty nazywasz wariactwem, ja określiłabym jako… twórcze myślenie. Wasza Wysokość mogłaby z niego skorzystać.

Przejechał po włosach obydwiema dłońmi.

– Po coś tu w ogóle przyszła? Pisz swoje listy w swoim pokoju na górze!

– Nie mam w nim biurka.

Zadanie na dzisiaj: dostarczyć jej biurko.

– Zbudziłeś się już na dobre? – szepnęła.

Jeszcze nie ze wszystkim.

Ransom przeciągnął dłonią po twarzy.

– Teraz tak.

Jezu Chryste. To musi się skończyć.

A trwało już prawie od tygodnia. Każdego dnia od czasu jej przyjazdu budziły go dźwięki wydawane przez Izzy Goodnight znajdującą się zbyt blisko niego.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób się tu wślizgiwała. Zresztą nie chciał wiedzieć. Osuwał się w oszołomienie snem, żeby tego nie wiedzieć.

Przez ostatnie kilka dni zdołał jej zapewnić towarzyszkę, kołdry, piecyk i biurko. Co jeszcze będzie musiał zrobić, żeby pozostawała w tym swoim przeklętym pokoiku do jakiejś rozsądnej pory?

Być może należało ją tam przykuć łańcuchem.

– Wymyśliłam coś – powiedziała z podnieceniem. – Przyszło mi to do głowy ostatniej nocy, w łóżku. R-A-N-S-O-M.

– Co takiego? – spytał, wyciągając szyję.

– Pierwszej nocy powiedziałeś: „Czy muszę pani przeliterować słowo «niebezpieczeństwo»?” Ale potem zapomniałeś, jak to się robi.

– Nie zapomniałem – sprzeciwił się. – Po prostu się tym znudziłem.

Prawdę mówiąc, nie był pod tym względem tak sprawny, jak kiedyś. Zwłaszcza kiedy się zmęczył.

A te poranne rozmowy z Izzy Goodnight były krańcowo męczące.

– Ano cóż, w każdym razie powinieneś był powiedzieć tak… – Zniżyła głos, naśladując go. – „Czy muszę pani przeliterować słowo «niebezpieczeństwo»? R-A-N-S-O-M”.

Przejechał obiema dłońmi po twarzy, chcąc zlikwidować senność.

– To groteskowe. Nigdy bym tak nie powiedział.

– Dlaczego? Przecież to znakomity pomysł. Twoje imię jest jedynym słowem, którego przeliterowania nie możesz zapomnieć.

Pokręcił głową, marszcząc czoło.

– Przecież ta sprzeczka odbyła się dawno temu. A ty dotąd rozpamiętujesz ten nonsens?

– Wiem, wiem. To absurdalne. Ale tak zawsze ze mną jest. Dopiero po jakimś czasie wiem, co należało powiedzieć. – Podeszła do miejsca, gdzie siedział na swoim łóżku. – Wiem, że trudno wrócić do czegoś, co przeminęło. Ale wierz mi, R-A-N-S-O-M byłoby znakomitą ripostą.

Nie mógł się zdecydować, co na to odpowiedzieć. Więc zrezygnował z odpowiedzi.

– Zrobię herbaty – powiedziała.

Podeszła bardzo blisko ku niemu. Zbyt blisko. Całe jego ciało zareagowało na to, a krew zaczęła tętnić mu w uszach.

Potem nachyliła się, stawiając dzbanek z herbatą na stole.

– Jest tuż przy twoim prawym łokciu.

Czuł ciepło. Zapewne herbaty, ale może i jej ciała. Nękały go dwa sprzeczne pragnienia: jednocześnie chciał ją zamknąć w uścisku i odepchnąć od siebie. Zadrgał mu mięsień w ramieniu.

– Masz tu na głowie jakiś kłaczek. – Wsunęła palce między jego włosy, a on poczuł, że dreszcz przeszedł mu wzdłuż kręgosłupa. Kiedy się wzdrygnął, powiedziała łagodnie: – Nie ruszaj się. Już go mam.

Nie, nie masz go.

Chwycił ją za przegub. A potem w ramiona. Przygarnął ją do siebie.

– Co ty robisz? – spytała bez tchu.

– Co ja robię? Co ty, u diabła, robisz?

Zakołysała biodrami, co go rozdrażniło.

Chwycił ją jeszcze mocniej, tak że nie mogła się ruszyć.

– Przychodzisz tutaj i nękasz mnie każdego dnia o świcie. Teraz zrobiłaś mi herbaty i wyjęłaś jakąś drobinę z moich włosów. Czy chcesz mnie rozpieszczać? Nie życzę sobie tego.

– Nie rozpieszczam cię ani nie nękam. Ja tylko… chcę się z tobą rano przywitać.

– Niemożliwe.

Przyjąłby każde inne wytłumaczenie. Nie mogła się jednak spodziewać, że uwierzy, iż wślizgiwała się tu mglistym świtem tylko dlatego, że lubiła dotrzymywać mu towarzystwa.

– Ale to prawda. Kiedy się tylko zbudzisz, wyrzucasz z siebie imponujący stek przekleństw. Wiesz, że ani jedno z nich się nie powtarza? Jakie to intrygujące!

Uśmiechnęła się, a on to usłyszał. Albo też odgadł w jakiś dziwny sposób. Poczuł, jak ogarnia go żarliwy zapał, nim zdołał stłumić go w sobie.

– Ale najbardziej lubię sposób, w jaki do mnie mówisz. Jesteś taki gburowaty i nieokrzesany. Ja… ja wiem, że to absurdalne, ale czerpię z tego perwersyjną przyjemność.

Czyżby naprawdę lubiła prostactwo i pragnęła nieokrzesania?

W takim razie doskonale się składa. Prostactwo i nieokrzesanie mógł jej śmiało zagwarantować.

– Posłuchaj mnie. Kiedy mężczyzna się budzi, to budzi się również jego pożądanie. Jest wtedy bezwzględny, szorstki i pełen żądzy. – Podniósł się i przycisnął swoje potężnie rozbudzone przyrodzenie do jej biodra. – Czujesz to?

– Ta…ak – wydyszała.

– To pragnie się znaleźć w tobie – powiedział.

– We…we mnie?

– Tak, w tobie. Twardo, głęboko, szybko i całkowicie. Przestań więc mnie budzić o tej porze, bo inaczej zetkniesz się z imponującą ripostą.

Nie odpowiedziała.

No i dobrze.

Miał nadzieję, że tym razem poczuła się porządnie zaniepokojona. Bo on tak się właśnie czuł. Tłumione pożądanie było niebezpiecznie blisko złamania granicy, a on miał już sporo innych połamanych części ciała.

Najbardziej przerażające ze wszystkiego okazało się jednak to, że nie był w stanie pozwolić, żeby odeszła.

Przez wszystkie lata, kiedy brał kobiety do łóżka, nigdy nie budził się obok nich rano. Lecz teraz ta kobieta – ta dziwna, ekscentryczna, kusicielka – budziła go każdego ranka, a on nie miał nawet tej satysfakcji, żeby się z nią przedtem przespać.

To było nie do zniesienia. Niesprawiedliwe. I bardzo niepokojące. Bo już się zaczął do niej coraz bardziej przyzwyczajać.

Do licha, nawet zaczął ją lubić. Jakże łatwo mu przychodziło siedzieć tutaj w aromacie herbaty i w porannej mgiełce. Z jednym ramieniem wokół jej wąskiej talii, podczas gdy drugą ręką gładził jej…

Do diabła.

W jakiś dziwny sposób lok jej włosów owinął się wokół jego palca. Teraz właśnie nadszedł właściwy moment. A nie przypominał sobie wcale, żeby to robił wcześniej.

Jak to było możliwe, że ona siedziała mu na kolanach, on ją ostro upominał… a dziesięć sekund później – no proszę! On, wielki pan, nawija sobie jej włosy na palec…

Nie było to zachowanie godne księcia. A już z pewnością nie zachowanie normalne dla niego.

Spróbował nonszalancko wyciągnąć palec i położyć kres tej kłopotliwej sytuacji, ale zrobił to zbyt pospiesznie. Kręty kosmyk przylgnął mu do skóry niczym zaciśnięta pętla.

Spróbował jeszcze raz. Pociągnął go mocniej. Zaczęła w nim narastać panika.

Dobry Boże, te włosy nie chcą go puścić!

– Stop – szepnęła. – Czujesz to?

Czuł wiele rzeczy. O wiele za dużo.

– Całkiem, jakby ziemia zadrżała.

Och, o to jej chodzi. Owszem, teraz, kiedy o tym wspomniała, czuł, że ziemia istotnie drga mu pod stopami. Ktoś się zbliżał, i to pędem.

I nie była to wcale pojedyncza osoba, tylko cała gromada ludzi.

Dosłyszał nie tylko stukot podków, ale i turkot kół.

Ransom zamknął oczy i szybko dokonał przeglądu angielskich konfliktów zbrojnych. Duńczycy, Napoleon, Amerykanie… ale wszystkie te starcia, jak wiedział, już się zakończyły. Co prawda żył dość długo w izolacji.

– Czy w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy Anglia zaczęła toczyć jakieś nowe wojny? – zwrócił się do niej z pytaniem.

– Nie słyszałam o tym. Dlaczego miałaby to robić?

Bo wibracja gruntu stała się tak intensywna, że mógłby sądzić, iż to oblężenie zamku.

Chwyciła go mocno za ramię.

– O Boże, cóż to takiego?

– Albo zwariowałem, albo też… – Nadstawił ucha. – Czy to nie odgłos trąby?

– Rzeczywiście! – szepnęła zdenerwowana. – Och, nie!

Nie umknęła jego uwadze złowróżbna nuta w jej głosie.

– Cóż to takiego? Co się dzieje?

Uwolniła się z jego objęć i zaczęła nerwowo krążyć po posadzce.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że to się w końcu stanie, ale nie sądziłam, że tak wcześnie.

Wstał i ujął ją za ramiona, osadzając Izzy w miejscu. Mógł być ociemniały, osłabiony i na skraju szaleństwa – ale póki jeszcze tliło się w nim życie, nic złego nie stanie się kobiecie żyjącej pod jego dachem.

– Bądź spokojna – odezwał się. – Powiedz mi tylko, o co tu chodzi. Natychmiast.

– To oni. Znaleźli mnie.

12

*K*to cię znalazł?

Izzy skrzywiła się. Perspektywa ujawnienia prawdy nie była wesoła. Za parę minut nie uda się jej już ukryć. Ale księciu się ona ani trochę nie spodoba.

Była już gotowa wyjaśnić wszystko, gdy Ransom chwycił ją jeszcze mocniej za ramiona.

– Posłuchaj mnie. Nie wiem, kim oni są ani czego chcą od ciebie. Ale póki jeszcze kołacze się we mnie trochę siły, daję ci słowo: nie pozwolę cię skrzywdzić.

Och, znów sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Jeszcze nigdy w życiu nie usłyszała równie uroczystej deklaracji. A już na pewno nie tak spontanicznej i wygłoszonej przez takiego jak on człowieka.

Na chwilę zaniemówiła. Od jego zapewnień zakręciło się jej w głowie. Miała też poczucie winy za to, że przysparza mu takiego kłopotu.

Bardzo jednak nieznaczne.

– To inwazja – powiedziała – ale przyjacielska. Odwiedziła nas Armia Moranglii. Spójrz, jeśli tylko jesteś w stanie to zrobić.

Podeszła z nim do okien wychodzących na dziedziniec.

W bramie wjazdowej można było dostrzec ze dwa dziesiątki konnych jeźdźców, a za nimi nadjeżdżały trzy wypełnione po brzegi powozy. Jeźdźcy zakuci w zbroje zsiedli, wszyscy jednocześnie, z wierzchowców, a z powozów po otwarciu ich drzwi wysypało się mnóstwo młodych dam w

średniowiecznych strojach. Proporce powiewały w porannym wietrzyku. Izzy nie mogła z tej odległości odczytać widniejących na nich słów, ale nie musiała wcale tego robić. Wiedziała, co to za słowa.

„Nie wątp”.

– Kim są ci ludzie? – spytał Ransom, gdy jeźdźcy i damy minęli bramę i wkroczyli na dziedziniec. – No i czego, do diaska, chcą?

– Mówiłam ci przecież, że najbardziej entuzjastycznie nastawieni czytelnicy opowieści mojego ojca zwą się Moranglianami. Mają kluby i rozsyłają pisma okólne, żeby dzielić się nowinami. A najgorliwsi z nich… no cóż, posuwają się jeszcze dalej. Z wielkim upodobaniem przebierają się za głównych bohaterów tych tekstów i odgrywają zaczerpnięte z nich sceny. Są doskonale zorganizowani. Składają też przysięgę i mają godła.

– A cóż tak przeraźliwie chrzęści?

– To… – westchnęła – …ich zbroje.

Spojrzała na niego ostrożnie.

Jak się spodziewała, wyglądał na zbulwersowanego.

– Zbroje?

– Wiem, że twoim zdaniem jest to bez sensu. – Sięgnęła po swój haftowany szal. – Nie musisz wcale tego wszystkiego pochwalać, wystarczy, że nie będziesz odnosić się do nich z pogardą.

Z szalem na ramionach wychyliła się z okna i skinęła gościom ręką.

– Zacny ludu Moranglii!

Wszyscy mężczyźni i kobiety zebrani na dziedzińcu spojrzeli w jej stronę. Rycerze, w swych sporządzonych domowym sposobem zbrojach, ustawili się w szyku.

Jeden z nich wystąpił naprzód i przyklęknął.

– Milady, jestem sir Wendell Butterfield, przywódca Konnych Rycerzy Moranglii z zachodniego Yorkshire, jak też przedstawiciel miejscowego oddziału Służek Kresydy.

– Czy przybywa pan ze swymi ludźmi z daleka?

– Z bardzo daleka. Czyżbym miał zaszczyt przemawiać do panny Izzy Goodnight?

– Tak, to ja! – zawołała z radosnym uśmiechem. – Panna Izzy Goodnight we własnej osobie. Pańscy rycerze i damy znajdą tutaj życzliwe przyjęcie.

Gdy tłum na dole zaczął wiwatować, Ransom parsknął pogardliwie.

– Że też musisz im tak ckliwie kadzić!

– Cicho bądź! – zgromiła go przyciszonym głosem. – Nie mogę im wszystkiego zepsuć. Mają dobre intencje.

– Jakże mogą je mieć, skoro zjawiają się tu bez uprzedzenia i w dodatku o samym świcie? Czego oni, u licha, mogą od ciebie chcieć?

– Pewnie zamierzają mi po prostu złożyć wizytę. Może też chcą obejrzeć zamek. Nie mogę jednak mieć pewności, póki ich o to nie spytam.

Zawołała do sir Wendella:

– Dobry sir Wendellu, proszę się rozgościć. Niebawem zejdę do was.

Ransom powstrzymał ją.

– Poczekaj! Nie możesz pozwolić wszystkim tym idiotycznym przebierańcom, żeby łazili mi po zamku. Żadnego schodzenia do nich. Nie ścierpię tego, Goodnight.

– To mój zamek. A ja nie zaprosiłam ich tutaj, ale chcę życzliwie przyjąć moich gości.

– To nie żadni goście, lecz nieproszeni intruzi. Nie pytaj ich o nic, tylko powiedz im, żeby zaraz się stąd wynieśli. – Wskazał na zmniejszoną już co prawda, lecz wciąż imponującą stertę korespondencji. – Jeśli nazywasz to swoim zamkiem, jest tu jeszcze bardzo dużo do zrobienia.

– Praca może poczekać. – Wzruszyła ramionami i odsunęła się od niego, a potem ruszyła ku frontowemu wejściu. – Przyjechali z daleka. Nie mogę ich stąd wyprosić.

– Z pewnością możesz. Wystarczy już, że cię nękają listami i pytaniami. Przeciągnęłaś strunę, Goodnight. Wyjdź do nich zaraz i powiedz im, że jesteś dorosłą kobietą, która potrafi wypowiedzieć słowo „kutas” ze

swobodą kurtyzany i nie uznaje niezapowiedzianych wizyt. Potem wyjaśnij tej bandzie chrzęszczących blachą idiotów, że mają się stąd wynosić. A jeśli ty nie chcesz, ja to zrobię!

– Nie! – Przerażona Izzy położyła mu dłoń na piersi, żeby powstrzymać jego zamiary. – Wasza Wysokość, błagam! Nie zaproszę ich do wnętrza zamku, skoro sobie tego nie życzysz. Odprawię ich stąd tak szybko, jak tylko zdołam. Obiecaj mi jednak, że się im nie pokażesz i zostaniesz tutaj. Pozwól, żebym sama sobie z tym poradziła. Wierz mi, ci ludzie nie mogą ujrzeć twojej twarzy.

Ransom zacisnął zęby.

Najwyraźniej, jako odrażające monstrum, powinien być zamknięty w wieży, żeby nie przerażać tych strachliwych głupków stłoczonych na jego dziedzińcu.

No, dobrze. Teraz przynajmniej wiedział wszystko.

A jednak jego okropny wygląd może się dziś do czegoś przydać. Zamierzał sam przepędzić tych intruzów.

Odepchnął ją i opuścił wielki hol, zmierzając ku schodom.

– Błagam cię, pohamuj się!

Zignorował jej protest i stanął u szczytu schodów, na ostatnim stopniu. Tłum natychmiast zamilkł. Usłyszał kilka przerażonych westchnień, i to nie tylko kobiecych.

W porządku.

– To mój zamek. – Jego donośny głos odbił się echem od kamiennych murów. – Ruszajcie stąd precz, i to już!

Powiódł wzrokiem po tłumie. Młode damy, stojące z boku, były dla niego zbiorem rozmazanych barwnych plam. Treny sukien ciągnęły się za nimi po ziemi. Z kolei rycerze składali się z metalicznych błysków i srebrzystego lśnienia.

Za chwilę wszyscy stąd znikną. Wyniosą się przez sklepioną bramę wjazdową niczym niknąca z nieba tęcza.

Chwilę później wciąż jeszcze na to czekał. Ale oni ani nie drgnęli.

Wreszcie ten, który powiedział, że zwie się sir Wendell, odzyskał głos.

– Wszyscy rycerze, oddać hołd!

Na dziedzińcu rozległo się echo potężnego grzmotu, jakby wszyscy naraz uderzyli pięściami w okrytą zbroją pierś.

– Wszyscy rycerze na klęczki!

Z nieznośnym brzękiem rycerze przyklękli na jednym kolanie.

– Mamy zaszczyt złożyć hołd lenny.

– Co to… u diabła…

Spodziewał się, że wszyscy z wrzaskiem uciekną. A tymczasem oni uklękli i złożyli mu hołd! Ransom nic z tego nie rozumiał. Co się tu właściwie działo?

Izzy dołączyła do nich, ale nie udzieliła mu żadnego wyjaśnienia.

– Sir Wendellu, w czym możemy wam być pomocni?

– Udajemy się na urządzany co roku regionalny północny turniej, panno Goodnight. Doniesiono nam o pani obecności w tej okolicy, nie mogliśmy się zatem oprzeć chęci zajrzenia tutaj, ale… nie mieliśmy pojęcia, że…

Ransom zdumiał się. O czym nie mieli pojęcia? O zdrowym rozsądku?

– Wkrótce ruszymy znowu w drogę – obiecał sir Wendell. – Ale czy możemy panią niepokoić tylko na tak długo, byśmy odpoczęli i napoili nasze konie?

– Och, proszę odwiedzić naszą wioskę! – Zdyszana panna Pelham dołączyła do nich. Widocznie narzuciła na siebie suknię i zbiegła pędem po schodach. Jak zwykle nie chciała zrezygnować z okazji, by zachwalać produkty i usługi parafii. – To ledwie pół mili stąd – wyjaśniła. – Proszę tędy! Stajnie przy zamku są niewielkie, ale oberża w Woolington może wam służyć świeżą wodą i sianem. Jest tam i kowal, jeśli będzie go wam

trzeba. A także pub, gdzie podają doskonałe śniadania. Cała wioska będzie szczęśliwa, mogąc was przyjąć u siebie.

Sir Wendell skłonił się przed nią.

– Doskonała rada. Dziękuję, panno…

– Pelham. Abigail Pelham. Mój ojciec jest tutejszym proboszczem.

Ransom milcząco się z nią zgadzał i był jej szczerze wdzięczny. Nie dbał o to, kto przekona tych ludzi, żeby sobie poszli. Byle tylko właśnie to zrobili.

Gdy rycerze zbierali się już wspólnie do odejścia, jedna z młodych dam zbliżyła się do nich na schodach.

– Panno Goodnight, skoro mężczyźni zabierają konie do wioski, czy nam nie byłoby wolno zostać tutaj? Ogromnie pragnęłyśmy panią odwiedzić. Czy mogłybyśmy rzucić okiem na pani zamek?

– Obawiam się, że nie jest jeszcze całkiem gotów na przyjęcie gości – odparła szybko i uprzejmie Izzy. – Ale może zechciałybyście mi towarzyszyć w przechadzce po ogrodzie zamkowym? Są tam bardzo romantyczne z wyglądu ruiny, które chciałabym dokładniej poznać.

– Och, to po prostu cudowne! – Dziewczyna skinęła na swoje przyjaciółki i wszystkie zgromadziły się skwapliwie na schodach.

Jedna z nich, ubrana w błękitną lub może fioletową szatę, podeszła nieśmiało ku Ransomowi z prawej strony.

– Zechce pan pójść razem z nami, prawda?

– O tak, musi pan nam towarzyszyć. – Młoda kobieta w bieli stanęła po lewej, śmiało ujmując go pod ramię.

Nim pojął, na co się zanosi, został uprowadzony przez nie na spacer po ogrodzie. Magnus pobiegł truchtem za nim.

Niech licho porwie jego oczy. Czemu miałby pójść na spacer? Wcale nie miał ochoty na taką przechadzkę. Nikt jednak nie zostawił mu wyboru. Został otoczony, a także bardzo zaskoczony.

Zawsze bez trudności przyciągał uwagę kobiet, nim został okaleczony. Ale to były kobiety światowe i powściągliwe, a nie niemądre dziewczęta. Albo stracił rozum, albo też one po prostu nie zauważyły blizny deformującej mu pół twarzy.

Dobry Boże. Jedna z nich uszczypnęła go w tyłek! A potem wszystkie zachichotały.

– Czy nie powie nam pan tego? – zachęcała go ta w błękitnym stroju.

– Co mianowicie?

– Przecież pan wie! – szepnęła kokieteryjnie. – Proszę powiedzieć „Nie wątp", bardzo proszę! Marzyłyśmy o tym od dzieciństwa.

Cała ich grupa zatrzymała się nagle w zarośniętym ogrodzie. Wszystkie zamarły bez tchu w oczekiwaniu.

– Nie wątp – powtórzył, zupełnie nie rozumiejąc dlaczego.

Wszystkie chóralnie westchnęły.

– Och! – jęknęła z cicha jedna z nich. – Co za głos. „Zamilcz me serce". Jakież to romantyczne!

Boże na wysokościach, to nie mogło być rzeczywiste. Chyba musi przeżywać jakiś koszmar.

– Szlachetne dziewice! – zawołała panna Goodnight dziecięcym, niewinnym głosem. – Czy widzicie w oddali tę zrujnowaną glorietę? Zechciejcie ku niej pobiec. Ogromnie chciałabym się przekonać, która z was zbierze większe naręcze dzikich róż, nim się tam z wami spotkam.

Kilkanaście młodych dam podkasało suknie i z piskiem pobiegło przed siebie.

– Zajmie im to co najmniej parę minut. A ja ci zaraz wszystko wytłumaczę.

– Lepiej mi wytłumacz, co tu się, u licha, dzieje. Cóż znaczy to głupie „nie wątp"?

Ujęła go pod ramię i oboje ruszyli powoli w stronę gloriety.

– To słynna przemowa z *Opowieści na dobranoc*. Ulryk recytuje ją Kresydzie tuż przed wyruszeniem na poszukiwania. „Nie wątp, moja damo, że powrócę”. A dalej następują słowa: „Nie wątp w mego rumaka, mój miecz i moje serce”.

– Ale dlaczego one chciały, żebym właśnie ja to powiedział?

– Obawiam się, że nie będziesz tym zachwycony – odparła ze smutkiem – ale trochę go przypominasz z wyglądu.

– Przypominam jakiegoś Ulryka?

– Owszem. Wprost niesłychanie. Szerokie barki, długie, złotobrązowe włosy, no i zarost… Niemalże go ucieleśniasz, łącznie ze zniszczonymi butami.

– Ale… – Ransom zmarszczył brwi. A więc dlatego chciała, żeby się skrył na piętrze. – Przecież ten Ulryk nie ma chyba blizny.

– Owszem, ma. Od trzydziestego czwartego odcinka, w którym zwyciężył Mrocznego Rycerza w lesie Banterwick.

Ransom odetchnął z ulgą. Wszystko zaczęło teraz nabierać sensu. Obrzydliwego, mdlącego sensu.

Zatrzymał ją nagle i obrócił twarzą ku sobie.

Widział tego ranka całkiem nieźle, niemal tak dobrze, jak nigdy przedtem. Mógł się nie potykać na ścieżce i dostrzec niewyraźne zarysy drzew oraz zrujnowanych, sklepionych przejść, choć już nie barwy ptaków latających między nimi.

Najokrutniejsza była jednak świadomość, że choć trochę widzi, nigdy nie ujrzy jej dokładnie.

Mógł dojrzeć czerwone, szeroko uśmiechnięte wargi i aureolę ciemnych włosów na jaśniejszym tle… czyżby żółtej sukni? Ale nie widział na tyle wyraźnie, by dostrzec emocje malujące się na jej twarzy.

– Nie wierzę w to – powiedział. – Chyba wszystko sobie wymyśliłaś. Odkąd tu przybyłaś, żyjesz niczym w jakiejś dziwacznej fantazji. Twój zamek i twój naznaczony blizną, torturowany Ulryk są jej tworami. Właśnie

dlatego nie chcesz się stąd ruszyć i zostawić mnie tutaj. Dlatego zawsze przychodzisz o świcie i patrzysz na mnie śpiącego. Czuję się czyjąś igraszką.

– Nie! – zaprotestowała. Dojrzał, jak gwałtownie pokręciła głową. – Nie, nie, nie! Nie żyję wcale fantazją.

– Postawmy sprawę jasno, panno Goodnight. Lepiej sobie nie rób wielkich nadziei.

– Nadziei na co?

– Na mnie. Na nas. Na romans. Wychowałaś się co prawda na tych wyssanych z palca historiach, ale nie myśl, że to jedna z nich. Nie chcę być ich częścią. Nie jestem herosem w przebraniu.

Westchnęła głośno.

– Wiem, wiem. Jesteś niebezpiecznym rozpustnikiem z tasiemcowymi rachunkami za wizyty w burdelu! Doprawdy, nie potrafię sobie wyobrazić, jak się porozumiewasz z ludźmi, chyba że dasz sobie wyhaftować na zapięciu spodni słowa „Kobiety, strzeżcie się!” Nie jestem niewinną panienką, to chyba zrozumiałe. Wcale cię nie widzę w roli bohatera jakiejś rycerskiej fantazji!

– Naprawdę? To czemu tak się ze mną całowałaś już pierwszej nocy?

Po dłuższej chwili powtórzyła jak echo:

– Dlaczego… tak się z tobą wtedy całowałam?

– Jakbyś tego pragnęła – mruknął oskarżycielskim tonem. – Jakbyś zawsze tego pragnęła. Jakbyś przez całe lata czekała właśnie na ten pocałunek. Ze mną.

Zakryła twarz ręką i jęknęła.

– Dlaczego to musi być takie upokarzające? Ach, prawda. Bo to jest moje życie!

Ransom milczał, czekając na wyjaśnienie.

– Wierz mi, nigdy nie spotkałeś kobiety z mniejszymi oczekiwaniami co do romansu. Widziałeś przecież, jak mnie traktowali lord Archer, panna

Pelham i inni, jak naiwną małą dziewczynkę. Wszyscy zawsze mnie tak traktowali. Nigdy nie miałam ani jednego adoratora. A więc zgadzam się: rzeczywiście całowałam się z tobą, jakbym czekała na ten pocałunek przez całe życie. Bo całe życie czekałam, żeby się z kimś pocałować. No i tak się złożyło, że właśnie byłeś to ty.

Pokręcił głową.

– Wcale nie wyglądało mi to na twój pierwszy pocałunek.

– Jasne, że nie.

Odwróciła się od niego i ruszyła znów przed siebie.

– Zrobiłam to tak, jakby to był mój ostatni pocałunek.

Naprawdę ostatni?

Te słowa wywołały prawdziwy przewrót w jego myślach, gdy oboje szli ku zrujnowanej gloriecie. Ledwie mógł uwierzyć w ich absurdalność.

– To śmiechu warte. Masz głowę tak wypełnioną fantazjami, że pozbyłaś się wszelkiego rozsądku. Jesteś rozumna, bystra, atrakcyjna. Mężczyźni biliby się o ciebie.

Ujęła go za rękę, chcąc, żeby obeszli przeszkodę na ścieżce.

– W moim życiu nie było dotąd żadnych mężczyzn, którzy by się o mnie bili.

– Bo wciąż żyjesz w świecie ckliwych historyjek twojego ojca.

– Nie tylko – odparła i chciała odejść.

Chwycił ją mocno i przyciągnął ku sobie.

– Poczekaj.

Coś jej nagle zaczęło świtać. On by nie pozwolił jej żyć w przekonaniu, że już się więcej nie pocałuje, albo jeszcze gorzej – że nie powinna tych pocałunków szukać. To nie ona powinna była zaszyć się w zamku na resztę życia. Ten los był przeznaczony jemu, nie jej.

– Ransomie – szepnęła – czy nie rozumiesz? Nieważne, do czego cię te dziewczęta zachęcają albo z czego się śmieją. Nie widzę w tobie Ulryka. Ulryk jest honorowy i uczciwy, a ty…

– A ja nie. – Machnął ręką ze zniecierpliwieniem, jakby chciał odegnać od siebie jej słowa. – Jużeśmy się co do tego zgodzili.

Spróbowała ponownie.

– W tych historiach, które, jak każda rozumna osoba wie, są tylko zmyśleniami, Ulryk kocha Kresydę czystym, szlachetnym, absurdalnie bezgrzesznym sercem. Spoglądają ku sobie tęsknie z przeciwległych wież. Wymieniają za pośrednictwem swoich sług małe liściki. W ciągu dwunastu lat całują się ledwie dwa razy. Gdybym pragnęła takiego mężczyzny, nie całowałabym cię tak zachłannie pierwszej nocy. Nie zastanawiałabym się, ile cali może dokładnie mierzyć twoja „wspaniałość”. No i z całą pewnością nie spędzałabym całych godzin, wpatrując się każdej nocy w ciemność i rojąc o tym, co czułyby twoje dłonie, dotykając mojej skóry.

Co takiego? Jej zwierzenia wcale nie pasowały do tego, co już o niej wiedział.

– Mówisz bez sensu.

– Wiem o tym! – mruknęła z rozdrażnieniem. – To nie ma żadnego sensu. Nie jestem głupią dziewczynką, która marzy o rycerzach, tylko kobietą. Kobietą, która po raz pierwszy w życiu kogoś pragnie. Która namiętnie pragnie najmniej odpowiedniego dla niej mężczyzny. Cynicznego, zgorzkniałego, okaleczonego księcia, który odmawia wyniesienia się z jej domu. Och, jesteś okropny!

– A ty pragniesz poczuć moje ręce na swoim ciele.

Wyrwało się jej słabe westchnienie.

– I to na całym ciele.

Poczuł raptem pożądanie. Naszła go gwałtowna chęć, żeby przewrócić ją na trawę, właśnie w tym miejscu i zedrzeć z niej całe odzienie, do ostatniego skrawka. Chciała, żeby jej dotykał. A on chciał dotykać jej. Cóż ich mogło od tego powstrzymać?

Nic prócz gromadki rozchichotanych, narwanych dziewcząt, które zamierzały obsypać ich płatkami dzikich róż.

W jaki sposób można się ich było pozbyć? Przypominały niedające się odegnać muchy.

Podniósł głos.

– Ustawcie się w koło!

Kiedy już uformowały obszerny, rozchichotany krąg, klasnął w dłonie.

– Zabawimy się w grę zwaną wybawienie dziewicy. Panna Goodnight będzie liczyć do stu, a wy wszystkie macie pobiec przed siebie, ukryć się i czekać, aż Ulryk przybędzie wam z pomocą. Tylko bez szachrowania! Nie wolno wam nawet spojrzeć w tę stronę.

Dziewczęta zniknęły, nim zdołał policzyć do trzech; śmiały się i potykały o swoje długie suknie, gdy rozbiegały się i chowały w krzewach.

Izzy kiwnęła głową.

– Świetnie. Wygrałeś. Muszę przyznać, że akurat te dziewczęta wydają mi się dość niemądre.

Ransom nie był zainteresowany poziomem ich inteligencji. Gdy ostatnia z nich zniknęła z pola widzenia, chwycił Izzy w ramiona i zaciągnął ją ku zrujnowanej gloriecie.

– Mamy czas do stu. Zacznij liczyć.

– Jeden, dwa, trzy…

Przygarnął ją mocno do siebie i pocałował. Nie dał jej szansy na żaden sprzeciw, lecz śmiało wtargnął językiem między jej wargi, odbierając dech. Nachylił głowę, żeby móc całować ją głębiej.

A ona ponownie oddała mu pocałunek. Gdyby stał, a nie leżał, ugięłyby się pod nim kolana.

Była tak instynktownie namiętna. Tak nie do zniesienia słodka.

To było szaleństwo. Wiedział o tym. Ona również. Gdyby dał jej szansę, pewnie powiedziałaby mu to samo.

Wszystko jednak całkiem zatraciło racjonalny sens. Nie mieli już umysłów, tylko gorące ciała. Było to coś, czego właśnie oboje pragnęli. Do

licha, jakże tego potrzebował. Dotykać jej, poznawać ją ustami i rękami. Całować ją do utraty tchu. Czuć się silnym i pełnym życia.

Bo jeszcze nie tak dawno temu myślał, że nigdy już tego ponownie nie zazna. Kobiecego ciała, miękkiego i uginającego się pod nim, a także ciepłego letniego słońca świecącego nad nimi.

To było życie.

Promienne, świetliste życie pośród ruin.

13

Było to coś w rodzaju cudu.

Leżeli w zrujnowanej gloriecie, gdzie zapewne wiele par przed nimi musiało się już całować i obejmować.

Otaczała ją prawdziwie romantyczna sceneria i przynajmniej raz Izzy nie była jej pozbawiona.

Leżała odprężona, pozwalając całemu ciału odpoczywać na omszałych kamieniach, podczas gdy Ransom pokrywał gorącymi pocałunkami jej szyję.

Przesunął po niej dłonią w dół, biorąc potem w posiadanie talię i biodra, nim wsparł dłoń na jej piersi.

Zatrzymał się tam, jakby oczekiwał, że Izzy uchyli się przed nią lub od niej wyswobodzi.

Ale nie zrobiła tego. Jego dotyk obudził wszystkie jej zmysły, uświadomił oczekiwania i możliwości.

Wokół nich świergotały ptaki. Wszelkie rodzaje mchów, paproci i bluszczu wnosiły życie do najmniejszych nawet i najbardziej niegościnnych zakamarków. Powietrze pełne było woni kwiatów.

Izzy czuła, że ona też rozkwita. Całe ciało miała zarumienione i poróżowiałe. Gotowe na jego dotknięcie.

To było jej lato, po całych latach wiosny.

Gdy znów ją pocałował, przechyliła głowę i pozwoliła igrać ze sobą obu ich językom.

Jęknął, zaciskając palce wokół jej piersi i delikatnie ściskając je przez tkaninę.

Izzy robiła podobnie. Poznawała dotykiem kontur muskularnych ramion, ich siłę, ich napięte ścięgna. Wyżej wyczuła masywne bicepsy pod rękawami surduta. Napiął wtedy mięśnie. Odruchowo czy świadomie? Któż to mógł wiedzieć. I jedno, i drugie wydawało się jej wręcz niesłychanie ekscytujące. Podobnie jak cała siła tego ciała i sposób, w jaki się nią posługiwał, żeby poznawać jej własne i sprawiać mu satysfakcję.

Niespodziewanie zaśmiała się z cicha.

– Rezygnuję.

– Z czego?

– Z tego wszystkiego. Z zaskakujących dobroczyńców, tajemniczych zamków, romantycznych ruin, zakazanych pocałunków.

Pocałował ją w kark.

– Z czego jeszcze rezygnujesz, Izzy Goodnight? Z tego? – Dotknął lekko językiem koniuszka jej ucha. – A może z tego? – spytał i uchwycił go delikatnie zębami. – Sporządź całą listę, a przejdziemy ją linijka po linijce.

Pozwoliła, by głowa osunęła się jej na bok, ofiarowując mu więcej miejsca na szyi do całowania.

– Z czego bym jeszcze nie miała rezygnować? Z małżeństwa, z dzieci, z trwałej miłości, z włosów możliwych do ułożenia. Z bycia rozumianą przez kogokolwiek.

Och, biedak. Cofnął się, zbladł.

Izzy była głęboko przekonana, że ani konie arabskie, ani afrykańskie gepardy, ani żadne inne istoty nie są tak szybkie, jak rozpustnik, gdy usłyszy słowo „małżeństwo”. Można by go używać na wyścigach zamiast wystrzału ze startera.

Na miejsca, gotowi… i małżeństwo!

– Żartowałam – zapewniła go.

– Wiem o tym.

– Nie zamierzam wcale wychodzić za mąż. A już na pewno nie sądzę, żebyś ty… – Ojej, znów usłyszał od niej nielubiane słowo. – Nie ze mną.

– O właśnie. I nie mam najmniejszego pojęcia o kobiecych włosach. – Odchrząknął. – Goodnight, to nie jest…

– Wiem.

– To tylko…

– Tak. To tylko to. Wiem. – Objęła go za szyję. – Niczego się nie spodziewam. Bylebyś tylko dotknął mnie jeszcze raz.

– To mogę zrobić.

O, tak. Mógł to zrobić naprawdę bardzo dobrze.

Namacał kciukiem jej sutek i dotykał go poprzez muślin sukni, póki czubek nie stał się sprężony i stwardniały. Wrażenia, jakich doznawało teraz ciało Izzy, niepodobne były do niczego, co przedtem znała. Jak to możliwe, że jego kciuk mógł leniwie przesuwać się tam i z powrotem tylko po tej jej maleńkiej części, a tymczasem ona czuła to u nasady włosów i po wewnętrznej stronie kolan?

Kiedy cofnął kciuk, o mało się nie rozpłakała.

Lecz potem zaczął robić to samo z drugim sutkiem i błoga tortura rozpoczęła się od nowa. Lękała się, że znów ugną się pod nią kolana, przywarła więc mocno do jego szyi, wsuwając mu palce we włosy.

Sprawił, że wszystkie myśli uciekły jej z głowy, jakby pozostawił ją całkiem wyzutą z intelektu. Była jedynie dygocącym stosem wrażeń, którego wierzchołek stanowiła czerwona, dojrzała jagoda jej sutka, raz za razem naciskana przez niego kciukiem.

Kiedy już myślała, że roztopi się jak kałuża u jego stóp, przesunął dłonie ku talii. Z głuchym pomrukiem przygniótł Izzy do kamiennej ściany, przygwoździł ją do niej swoim ciałem.

Zaparło jej dech. Znalazła się w pułapce. Powinno to było sprawić, by zaczęła gwałtowną walkę o uwolnienie się z niej. A jednak lubiła czuć się celem działania tak oszałamiającej siły. Kamienie, o które się opierała, stały

na tym miejscu od wieków, a mężczyzna leżący przy niej przeżył niesłychane męczarnie. Mogła się wręcz rozpływać z dwóch przyczyn: błogości lub strachu, między którymi się znalazła – murem i tym mężczyzną.

Jęknął głucho, ujmując ją kurczowo za biodra. Napierało na nią coś twardego i gorącego. Otworzyła oczy. Niewiele wiedziała o miłości cielesnej. Miała o niej jakieś ogólne pojęcie, ale umykały jej detale i niuanse. Wiedziała jednak, że męski organ zwiększa się, gdy mężczyzna pragnie się kochać.

Ten twardy, długi, gorący organ czuła teraz na sobie.

Oznaczało to, że on jej pragnie. Coś niesłychanego.

Ściągnął jej z ramion szal, który spadł na ziemię. Przejechał palcami wzdłuż obojczyka, wsunął je pod brzeg rękawa, a potem ześlizgnęły się one wzdłuż jej nagiego ramienia.

– Przestałaś liczyć – wyszeptał.

– Jakże mogę liczyć, kiedy ty… – Z trudem nabrała tchu, gdy wyłuskał jej pierś z gorsetu. Odsłonięty sutek zetknął się z chłodnym powietrzem. – Jak to robić?

– To łatwe. Pomogę ci. – Nachylił nad nią głowę i przesunął ustami po jej klatce piersiowej, póki nie dotarł do nagiego biustu. Dotknął lekko językiem sutka. – Trzydzieści jeden. – Kolejne liźnięcie. – Trzydzieści dwa. – Jeszcze jedno. – Trzydzieści trzy…

Ciepło jego ust na zmianę z chłodem powietrza sprawiło, że całe jej ciało pokryła gęsia skórka, czuła ją nawet na podeszwach stóp. Gdyby ciągnął to dalej, Izzy zamieniłaby się w popiół, nim doliczyłaby do czterdziestu pięciu.

Ale nie ciągnął tego dalej, tylko ujął sutek wargami i zaczął go ssać.

A potem liczby przestały już mieć znaczenie.

Jak długo jeszcze miała liczyć? Tak długo, jak pragnęła, by to wciąż trwało. Jego język powoli zataczał zachwycające kręgi wokół jej sutka, tak

że nie mogła już o niczym myśleć. Och, był w tym dobry. A nawet bardzo dobry.

A potem osunął się na kolana i wsunął jedną rękę pod jej halki.

Gdy ujął ją za nogę, Izzy wpadła w panikę.

Chwyciła go za ramiona i trzymała mocno, licząc:

– Dziewięćdziesiąt dziewięć… sto.

Zatrzymał się. Jedna z jego rąk zamarła bez ruchu w fałdach halek, drugą obejmował jej kostkę.

– Skończyłaś już liczenie? – upomniał ją niskim, szelmowskim głosem.

– Skończyłam.

Serce załomotało jej w piersi. Dawał jej więc możliwość, żeby się wycofała, a wszystko to, co zawdzięcza dobremu wychowaniu, gwałtownie starało się ją przekonać, by z tej szansy skorzystała.

Ale Izzy miała tylko jedno życie. A w tym życiu nikt, poza Ransomem, nie był ani trochę zainteresowany zadzieraniem jej halek aż do samej talii.

Właśnie to mogło być tą jej jedną, jedyną szansą.

Przecież on jej tylko dotyka, usiłowała sobie wmówić. Nieszkodliwie. Nie chciał bynajmniej pozbawić jej dziewictwa wobec kilkunastu dziewcząt ukrytych gdzieś w pobliżu.

– Czy zmieniłaś zdanie? – spytał.

– Nie.

Wymamrotał coś, co brzmiało jak „dzięki Bogu”. Zebrał jej halki jedną ręką i zadarł je aż do pasa jednym doświadczonym ruchem.

Izzy wsparła się o ścianę i uniosła ręce nad głową, czując się osobą rozpustną i zuchwałą. Gdy przeciągnął dłońmi po jej okrytej pończochą łydce i wyżej, po udzie, pozwoliła, żeby nogi się jej nieco rozwarły.

– O, tak – mruknął. – Otwórz się na mnie. Właśnie w ten sposób. Cudownie, cudownie.

Niesłychane, niesłychane.

I tylko tyle Izzy zdolna była myśleć o całej tej scenie ledwie dwa tygodnie później. Czuła się niby jakieś pogańskie bóstwo w starożytnej świątyni. Wsparta o porośniętą bluszczem ścianę zrujnowanej gloriety, brana w posiadanie przy świetle poranka przez okaleczonego, ale zmysłowego mężczyznę.

Nie mogło się to równać z niczym, co sobie kiedykolwiek wyobrażała. A Izzy miała naprawdę żywą wyobraźnię. Kręciło się jej w głowie od rozkoszy, jakiej doznawała dzięki jego dotykowi, a także od zachwycającej nieprzyzwoitości wszystkiego, co teraz czuła.

Jakiś nieznany dotąd puls zaczął gwałtownie uderzać między jej nogami. Szybciej, nakazywał jej. Szybciej, jeszcze szybciej.

Ręka Ransoma sięgnęła ku jej biodrom, zawadzając o podwiązkę, a potem przesunęła się po gładkiej skórze wewnętrznej strony uda.

– Jakie gładkie. – Ucałował ją tuż nad kolanem. – Jak atłas.

Gdy zbliżał się do jej skrytego miejsca, błogość stała się wprost nie do zniesienia.

Wyżej, wyżej i jeszcze trochę wyżej.

Póki jego kciuk nie musnął jej tam.

– Och!

Błogość wzbiła się w górę jak rakieta i przeniknęła ją od stóp do samego czubka głowy. Chwyciła się kurczowo bluszczu, żeby nie upaść, gdyby jej drżące nogi się ugięły.

Chmurka kamiennego białego pyłu spadła na nich nagle.

Ransom uniósł głowę ku górze.

– Cóż to takiego?

– Och, chyba osypała się część ściany. – Izzy puściła bluszcz, ale wtedy spadła na nich garść drobnych kamiennych odłamków.

– No to chodźmy stąd – powiedział i wstał, pozwalając opaść jej halkom i przygarniając ją mocno do siebie.

Ale wtedy pecyna gruzu wielkości jabłka oderwała się od ściany i trafiła go prosto w głowę.

– Och, Boże! Ransom!

Zaklął i skulił się, przyciskając dłonią zranione miejsce, a potem usiadł na trawie. Magnus biegał w kółko wokół niego, skomląc przeraźliwie.

Izzy uklękła koło Ransoma. Świeży guz na jego głowie już nabrzmiewał, a niewielki skrawek skóry został z niej zdarty po tej stronie, gdzie nie było blizny. Izzy nie wiedziała, czy to lepiej, czy gorzej.

Było to niemal zabawne, gdy się zastanowiła; przed zrujnowaniem reputacji ustrzegły ją… ruiny.

Podniosła szal, o którym przedtem zapomniała, i przycisnęła złożoną tkaninę do jego czoła.

– Czy dobrze się czujesz? Nie masz zawrotu głowy? Spójrz na mnie i powiedz, jak bardzo cię…

Nie dokończyła absurdalnego pytania. Rzecz jasna, nie mógłby jej powiedzieć, jak mocno go teraz boli.

Czy możliwe było, by doznał nagłego ozdrowienia? Słyszała, że to się zdarza. Żołnierze ociemniali podczas bitwy odzyskiwali podobno wzrok po silnym uderzeniu w głowę.

– Czy… wszystko z tobą w porządku? – spytała ostrożnie.

Zacisnął zęby.

– W uszach mi dzwoni, a moja głowa pęka z bólu. Ale nie widzę lepiej niż dziesięć minut temu, jeśli o to chciałaś mnie spytać.

– Och, Boże, miałam jedynie nadzieję, że nie stało ci się coś bardzo złego. Tylko tyle.

Westchnęła. Cóż z niej za okropna osoba. Powiedział jej, że wcale nie odzyskał w cudowny sposób wzroku, a jej pierwszą instynktowną reakcją była ulga! Dlaczego miałaby mu życzyć dalszej ślepoty?

Dlatego, że ona, niełądna osoba, po raz pierwszy w życiu poczuła się atrakcyjna.

Ale nie było to żadnym usprawiedliwieniem.

Usiłując poskromić swój egoizm, rozdzieliła jego zbyt długie włosy i zaczęła ostrożnie raz za razem dotykać złożonym szalem zdartej skóry na jego głowie.

Uchylił się przed jej ręką.

– Zanadto się mną przejmujesz, jak zwykle.

– Bynajmniej. Ja tylko tamponuję ci zranione miejsce. A jeśli sobie tego życzysz, mogę powiedzieć ci podczas tego coś niemiłego. Na przykład: „ty niewdzięczniku”.

– Wstrętna czarownica. Diablica.

Uśmiechnęła się drwiąco. Najwyraźniej jego charakter ani trochę się nie zmienił i była z tego zadowolona. Żaden członek Armii Moranglii nigdy by jej nie nazwał „kusicielką” ani „czarownicą”. Nigdy się jednak nie spodziewała, żeby z jego pięknie wykrojonych ust padło słowo „diablica”.

Odebrał jej szal i przyłożył sobie do głowy.

– Najpierw łasica, teraz ukamienowanie. Czy sporządzasz listę archaicznych tortur?

– Muszę przyznać, że zakrwawiłeś niemało mojej czystej bielizny w zatrważającym tempie.

– Moja twarz jest już i tak poharatana. Kolejny cios może co najwyżej dokończyć dzieła zniszczenia. – Odjął szal od głowy. – Powiedz mi, jak to wygląda.

Dotknęła zranionego miejsca końcami palców.

– Wyczuwam tu guz, ale niezbyt duży.

– Nie, ja miałem na myśli co innego. – Zwrócił się do niej profilem, tak że mogła teraz dokładnie ujrzeć jego bliznę. – Całą resztę. Powiedz mi szczerze, czy bardzo źle wygląda?

Izzy zamilkła, zaskoczona jego nagłą szczerością. Czyżby on się lękał o swój wygląd?

– Sam nie mogę tego zobaczyć. Ciekaw byłem, czy się plasuję gdzieś między zranionym adonisem a upiornym brzydalem. Oczywiście nie mogę wyrobić sobie o tym zdania na podstawie reakcji tych głupich podfruwajek otumanionych płodami pióra twojego ojczulka. Wolę spytać ciebie.

Serce się jej ścisnęło. Jak mógł wątpić w swoją urodę? W pełnym świetle dnia prezentował się wspaniale. Skóra jego nabrała odcienia zdrowej opalenizny dzięki pięknej pogodzie tego dnia. Światło słońca lśniło na złotobrązowych włosach, choć były one zbyt długie i spadały mu na czoło niby u jakiegoś hulaki. Zastanawiała się, co było tego przyczyną. Czy nie chciał fatygować Duncana ich przystrzyżeniem, czy też celowo je zapuszczał, żeby zakryć okaleczoną twarz?

Wyciągnęła rękę i dotknęła kosmyków włosów nad czołem.

– Czy powiesz mi, jak to się stało? – spytała.

– Rąbnięto mnie czymś dużym i twardym.

Uznała, że nie zasłużyła sobie na takie wyjaśnienie. Na obcesowe pytanie otrzymała jednak obcesową odpowiedź.

Powiodła czubkiem palca po bliźnie, od czoła aż po kość policzkową, a potem po nieogolonym policzku. Jak na ironię cios odebrał mu wzrok w obydwu oczach, choć ominął prawe.

– No i co? – spytał.

– No cóż, wyraźnie widać, że byłeś kiedyś niesłychanie przystojnym mężczyzną.

– A teraz?

– Teraz… – Westchnęła. – Doprawdy, nie chcę tego mówić. Nie zmuszaj mnie do tego.

Chwycił ją za nadgarstek.

– Powiedz.

– Teraz jesteś niesłychanie przystojnym mężczyzną z potężną blizną. Tak wygląda przykra prawda. Szkoda, że nie mogę powiedzieć ci czegoś lepszego.

– Ale… – puścił jej rękę i wyglądał na skonsternowanego – …przecież wtedy, pierwszego dnia, zemdlałaś na mój widok.

Zaśmiała się niepewnie.

– To nie dlatego zemdlałam. Od kilku dni niczego wtedy nie jadłam poza kilkoma kawałkami chleba.

– A więc blizny cię nie przeraziły?

– Ani trochę.

Kłamała. Prawda wyglądała, jak następuje: blizny ją przeraziły, ale nie za bardzo, i tylko dlatego, że wywołały w niej chęć opieki. Nawet i teraz serce się jej ściskało na ich widok.

Nie mogła jednak pozwolić, żeby poznał prawdę. Choć lepiej byłoby szczerze powiedzieć „to wygląda beznadziejnie”, Izzy wiedziała, jak działa jej spragnione uczucia serce. Tak bardzo chciała kochać i być kochaną, że obdarzyłaby czułością nawet skałę. Tylko że skały nie nazwałyby jej „czarownicą” ani „diablicą”. No i nie miały złotobrązowych włosów, których można dotknąć.

A jednak skały i Ransom miały ze sobą coś wspólnego.

Ani one, ani on nie odwzajemniłyby jej miłości.

– Powinniśmy stąd iść – powiedziała. – Można już byłoby doliczyć co najmniej do dwustu, a dziewczęta czekają.

Wstał i strzepnął pył ze spodni i surduta.

– Wrócę sam.

– O własnych siłach?

W chwili gdy wypowiedziała te słowa, już ich pożałowała. Oczywiście, że był zdolny wrócić o własnych siłach.

– Ale dziewczęta czekają, by ich bohater je znalazł.

– Lepiej niech poczekają na kogo innego – odparł i ruszył w ślad z nią. – Nie jestem niczyim herosem, panno Goodnight. Powinnaś o tym pamiętać.

14

*P*anno Goodnight, czy to pani?

Izzy zamarła bez ruchu.

Niech to licho.

Po kilku godzinach spacerów, liczenia dzikich róż i odpowiadania na pytania dotyczące Ulryka, Izzy w końcu pożegnała się z dziewczętami i rycerzami Moranglii. Miała nadzieję, że zdoła niepostrzeżenie wślizgnąć się do zamku.

Ale tym, kto ją przyłapał, nie był książę.

– Tak, to ja, Duncanie.

– Co tam pani trzyma w rękach?

Izzy spojrzała na poplamiony szal, który nosiła ze sobą nawet po porannym epizodzie z Ransomem.

Z zażenowaniem schowała go za plecami.

– Och, to nic takiego.

– Czy to pani szal?

Duncan miał iście imponujący wzrok, jeśli chodziło o pranie.

Westchnęła i przestała ukrywać szal.

– Owszem… mój, ale, widzi pan, zdarzył mi się mały wypadek.

O Boże, jakże może zacząć wyjaśniać, co się z nim stało? Należało chyba wrzucić go do fosy zamkowej, bo był nie do uratowania.

– Proszę mi go pokazać. – Służący wyjął jej szal z rąk. Wytrzepał cienką tkaninę i przyjrzał się jej, cmokając językiem. – Brud i trawa… z całą

pewnością. A te plamy z krwi? Na jedwabnym hafcie?

Izzy przygryzła wargę, zanosząc w myśli modły, by sługa nie rozgniewał się na nią z powodu rany Ransoma. No i by nie żądał dokładnych wyjaśnień, w jaki sposób do tego doszło, co byłoby jeszcze gorsze.

– Panno Goodnight, sam nie wiem, co powiedzieć. To… – Pokiwał głową. – To nadzwyczajne.

Nadzwyczajne?

– O, tak. – Ujął tkaninę obydwiema rękami. – To jest coś, co ucieszy każdego służącego. Wywabienie trwałych plam z tkaniny wysokiej jakości. Już od miesięcy nie stanąłem przed takim wyzwaniem. Trzeba to zaraz wyprać. Gdyby plamy miały tu zostać na dłużej, nigdy nie zdołałbym ich usunąć.

Izzy z rozbawieniem poszła za nim do pomieszczenia przeznaczonego na pralnię. Duncan rozniecił ogień, powiesił nad nim kociołek z wodą, a potem wyjął mydło, żelazko i szmatkę do prasowania.

– Te plamy z trawy będą najbardziej oporne. – Rozłożył szal na stole roboczym, przyglądając się uważnie najmniejszym nawet zabrudzeniom. – Najpierw sok z cytryny i płukanie w zimnej wodzie. Jeśli to nie pomoże, spróbujemy pasty z sody.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie, panno Goodnight – odparł nieco zgorszony. – Zepsułaby mi pani całą przyjemność. Chętnie bym jednak widział dotrzymanie mi towarzystwa.

Izzy usiadła obok i patrzyła niemal z rozbawieniem na jego walkę z plamami. Najpierw poskrobał je nożem. Potem przetarł miękką szczotką. Dopiero wtedy sięgnął po małe buteleczki z ciemnego szkła, gdzie trzymał spirytus i sole. Izzy czuła się tak, jakby oglądała chirurga przy operacji.

– Duncanie, jak to się stało? Chodzi mi o ranę księcia.

Służący przerwał nacieranie octem plamy po trawie.

– Panno Goodnight – powiedział powoli. – Jużeśmy raz o tym mówili. Dobry sługa nie plotkuje o swoim panu.

– Wiem. Przykro mi, że jestem natrętna, ale… teraz i ja też dla niego pracuję. Czyż najemni pracownicy nie plotkują o swoim chlebodawcy?

Duncan uniósł jedną brew w milczącym proteście.

Męczyło ją, że wydaje się osobą ciekawską, nie chciała też złamać słowa danego Ransomowi i ujawniać jego bólu głowy z poprzedniej nocy. Ani wspominać o liście, który zmiął i wrzucił do kominka.

– Ja się tylko niepokoję, i to wszystko. Książę jest taki… – Uparty? Niesłychanie atrakcyjny? – …taki rozgniewany. Chyba na cały świat, ale zwłaszcza na mnie. Zwykle widzi wszystko w jak najgorszym świetle, a nie sądzę, żeby powodem tego była tylko rana. Chciałabym to zrozumieć.

Duncan przerwał czyszczenie, by zająć się kociołkiem z wrzącą wodą.

– Panno Goodnight, powtarzam, że słudze nie przystoi obmawiać swego pana…

Izzy poczuła się rozczarowana, lecz nie mogła wywierać na niego zbytniego nacisku. W końcu starał się ratować jej najlepszy szal.

– Ale… – ciągnął siwowłosy mężczyzna – …skoro jest pani Izoldą Goodnight i lubi opowieści, może mógłbym pani opowiedzieć pewną historię… o całkiem innym człowieku.

– Och, tak. – Izzy wyprostowała się w krześle, usiłując nie zdradzać swojego podniecenia. – O fikcyjnej postaci, która wcale nie jest księciem Rothbury. Strasznie bym chciała ją usłyszeć.

Służący rozejrzał się ostrożnie wokoło.

– Nikomu tego nie powtórzę – szepnęła. – A nawet sama zacznę. Pewnego razu był sobie młody arystokrata nazwiskiem… Bransom Payne, książę Mothfairy.

– Mothfairy?

Wzruszyła ramionami.

– Czy wymyśli pan jakieś lepsze nazwisko?

Duncan postawił kociołek na płycie kuchennej.

– On się nie może o tym dowiedzieć.

– Oczywiście, że się nie dowie – powiedziała. – Skądże. Człowiek, o którym mówimy, nie istnieje. Ale to jest historia o jego tragicznej przeszłości. W młodości nieistniejący książę Mothfairy…

– Był bardzo samotny. Jego matka zmarła przy porodzie.

Skinęła głową. O tym wiedziała od samego Ransoma.

– A jego ojciec mógł równie dobrze umrzeć tego samego dnia, taki był zrozpaczony. Stary książę z żalu wycofał się ze świata i traktował syna bardzo chłodno. Kiedy Bransom dorósł, często szukał sobie… towarzystwa. – Twarz służącego wykrzywiła się nerwowo, gdy usiłował dobrać odpowiednie słowa. – Kobiecego towarzystwa.

– Chce pan powiedzieć, że musiał się wyszumieć?

– A jakże, szumiał niby cały wielki ocean. Dobry Boże.

Izzy uwierzyła w to bez trudu. Widziała przecież rachunki.

– Ale kiedy miał koło trzydziestki, postanowił zadośćuczynić głównemu obowiązkowi wobec swego tytułu. Którym to obowiązkiem było, rzecz jasna, spłodzenie następnego księcia…

– Mothfairy.

– Ano, tak. – Duncan odchrząknął. – Wybrał więc jedną z najbardziej poszukiwanych debiutantek londyńskiego sezonu i oznajmił jej o swoich zamiarach. Wkrótce się zaręczyli.

Izzy otworzyła usta ze zdziwienia.

– To Ransom się zaręczył?

Teraz zrozumiała, dlaczego zareagował paniką, kiedy nieopatrznie wspomniała o małżeństwie.

– Nie. – Duncan spojrzał na nią ostro. – To Bransom się zaręczył. Ten nieistniejący książę. Z młodą lady nazwiskiem Emi… – skrzywił się nerwowo – …z lady Shemily.

– Lady Shemily? – Izzy uśmiechnęła się dyskretnie. Służący wczuł się w swoją rolę.

– Tak. Z lady Shemily Liverpail. Z córką pewnego hrabiego. – Duncan powrócił do swojej roboty. Odkorkował małą buteleczkę czegoś, co mocno pachniało cytryną. – Kiedy ogłoszono zaręczyny, służący księcia ucieszyli się niesłychanie. Niektórzy z nich służyli bowiem tej rodzinie od trzydziestu lat, a żadnej nowej księżny wciąż nie było. Chętnie więc ujrzeliby kolejną lady tego domu książęcego.

– Łącznie z jego zaufanym i cenionym sługą? – domyśliła się. – Który nazywał się być może… Dinkins?

– Zwłaszcza wraz z jego zaufanym i cenionym sługą. Dinkins cieszył się już, że nie będzie musiał nieustannie usuwać resztek różu z odzienia księcia. Róż strasznie trudno wywabić.

– Mogę sobie wyobrazić. – Izzy ciekawiło, jaka kobieta zdołała odciągnąć księcia od rozpusty. – A jakaż była ta lady Shemily Liverpail?

– Taka, jaką może być ciesząca się powodzeniem debiutantka. Piękna, doskonale wychowana, z licznymi koneksjami. No i młoda. Miała ledwie dziewiętnaście lat.

Izzy stłumiła smętne westchnienie. No oczywiście, lady Shemily musiała mieć wszystkie te zalety.

– Cóż się więc stało niedobrego? – spytała.

Duncan zawahał się.

– Oczywiście w tej całkowicie zmyślonej historii służącej tylko temu, żeby mnie zabawić, bo lubię opowieści o prześladowanej przez los miłości.

– Wszystko już było ustalone – powiedział. – Wesele, miesiąc miodowy, pięknie urządzone apartamenty dla nowej księżny. Ale niecałe dwa tygodnie przed ślubem przyszła panna młoda zniknęła.

– Zniknęła?

– Tak. Zniknęła ze swojej sypialni w środku nocy.

Izzy pochyliła się ku przodowi, wspierając podbródek na dłoni. Historia stawała się coraz bardziej ekscytująca. Duncanowi najwyraźniej sprawiało przyjemność to, że ją wreszcie opowiada. Biedak przez całe miesiące pozbawiony był możliwości, by komuś opowiedzieć o tym melodramacie. No i prawie żadnych plam do czyszczenia!

– Lady Shemily – powiedział, a w jego głosie uwidoczniło się dramatyczne napięcie – została uprowadzona.

– Uprowadzona? Przez kogo?

– Przez farmera, dzierżawcę w wiejskiej posiadłości jej ojca. Najwyraźniej obydwoje przez lata ukrywali swoje uczucie.

– Cóż za skandal. A co zrobił Ra… – poprawiła się zaraz – Mothfairy?

– Coś nierozważnego. Powinien był pozwolić, żeby ta niemądra dzierlatka uciekła i zrujnowała sobie reputację, potem jawnie pogardzać jej postępkiem wobec wszystkich i szydzić z niego, a w następnym sezonie znaleźć sobie nową narzeczoną. Ale duma mu na to nie pozwoliła. Rzucił się w szaleńczy pościg za zbiegłą panną młodą.

– Bez swego zaufanego i cenionego sługi?

Duncan westchnął z irytacją.

– Dinkins jechał za nim w powozie. I niestety, dał się swemu panu wyprzedzić o dwa dni. Przybył za późno, by zapobiec tragedii.

Przygryzła wargę i skuliła się w fotelu.

– Czy książę spadł z konia?

– Och, nie. Jakieś dwadzieścia mil na południe od szkockiej granicy Mothfairy natknął się na niedoszłą żonę i jej kochanka w pewnym zajeździe. Wynikła z tego ostra kłótnia, wyciągnięto broń…

Skrzywiła się, jakby nagle cała blizna Ransoma zaczęła ją samą palić od czoła do kości policzkowej.

– Sądzę, że mogę sobie wyobrazić resztę.

– Musi ją pani sobie wyobrazić, bo nie potrafię dokładnie wyjaśnić, co się stało. Mnie tam nie było – ciągnął Duncan, rezygnując z pozorów, że

opowiada fikcyjną historię. Wsparł płasko dłonie na stole. – Kiedy go znalazłem, leżał już przez całe dwie noce w tej przeklętej oberży. Nie wezwano do niego lekarza. Oberżysta po prostu czekał, aż książę umrze. Musiałem sam zeszywać jego ranę.

– To horrendalne – uznała Izzy. – A co się stało z niedoszłą panną młodą?

– Smarkata trzpiotka uciekła. – Duncan pokiwał głową. – A on nie czuł się na tyle dobrze, żeby zaryzykować powrót do Londynu, więc go przywiozłem tutaj. Było to ponad siedem miesięcy temu. Nie chce się stąd ruszyć. Nie chce nawet, żebym wykonywał swoje obowiązki służącego. Jego aparycja to prawdziwy ambaras.

– Ja bym tego nie powiedziała – stwierdziła Izzy. Raczej się jej podobała ta zaniedbana, posępna aparycja. A gromada Służek Kresydy wzdychających na jego widok też nie mogła się mylić.

– Od kilku miesięcy odmawia noszenia halsztuka. Co za bezwstyd.

– To rzeczywiście bezwstyd – przyznała. Pod tym względem zgadzała się z Duncanem. Wykładane kołnierze księcia budziły w niej zgoła bezwstydne myśli.

Duncan odstawił żelazko i przyjrzał się uważnie jej nieskazitelnemu teraz szalowi.

– To drobne zadanie zachowa mnie w zdrowiu do następnego razu. Dziękuję. Nie może pani sobie wyobrazić, jak ciężko jest uprawiać przez całe życie pewną profesję, a potem być zmuszonym ją zarzucić.

Izzy nic nie odpowiedziała. Mogła go jednak zrozumieć lepiej, niż przypuszczał. Kiedy ojciec zmarł, jej praca również przestała istnieć.

Duncan złożył szal i podał go jej.

– Byłem w tak niedobrym nastroju, że przywiodło mnie to do…

– Do czego?

– Sam tego nie wiem. W tym właśnie rzecz, panno Goodnight. Próbowałem już z pół tuzina rozmaitych nałogów, ale żaden mi nie odpowiada. Cygara mnie brzydzą, tabaka nie lepsza. Nie mogę znieść

smaku mocnych trunków, no i nie lubię pić do lustra. Co mi zostaje? Gra w karty? Ale z kim?

– Zawsze są przecież kobiety.

– To nieoryginalne – oświadczył. – W tym domu ten szczególny występek już się solidnie opatrzył.

Wpadła na pewien pomysł. Pogrzebała w kieszeni i podała mu zawinięte w papier cukierki.

– No a słodycze?

Przyjrzał się cukierkom na jej dłoni.

– Niechże pan weźmie jeden – namawiała go. – Ludzie po prostu mnie nimi zarzucają. A po spędzeniu ranka ze Służkami Kresydy mam tego więcej, niżbym chciała. – Wskazała na jeden. – Zdaje mi się, że to morela w miodzie.

Duncan wziął jeden cukierek, rozwinął go z papierka i włożył do ust. Po chwili wyraźnie się odprężył.

– Lepiej panu teraz? – spytała.

– Lepiej. Dziękuję, panno Goodnight.

– Tyle przynajmniej mogę dla pana zrobić. – Położyła pozostałe słodycze na stole. – Dziękuję za uratowanie mojego szala i za wyjawienie mi prawdy… to znaczy opowiedzenie fascynującej historii.

Wszystko nabrało teraz dla niej większego sensu. Oczywiście mężczyzna, który został porzucony tak bezwzględnie i w dodatku o mało nie umarł, nie był zdolny do miłości i romansu. Ale czy ucierpiała wtedy tylko jego duma, czy też złamano mu serce?

– Duncanie…

– Hm? – mruknął, rozwijając drugi cukierek.

– Czy… – zebrała się na odwagę, żeby zadać to pytanie – czy on ją kochał?

Duncan nie odpowiedział.

Och, do licha. Powinno ją to nauczyć, że nie zadaje się kłopotliwych pytań komuś, kto akurat ma coś w ustach. Duncan wykonał gest mówiący, żeby trochę poczekała, i zawzięcie żuł cukierek. A tymczasem ją aż skręcało z ciekawości.

Gorzej, miała teraz dość czasu, żeby zadać również pytanie samej sobie.

Jakie miało znaczenie, czy książę kochał swoją narzeczoną, czy nie? Czemu ją to tak bardzo obchodziło? Przecież nie z nią miał się wtedy zamiar żenić.

Po chwili długiej jak cała wieczność Duncan zjadł wreszcie cukierek. Okazało się jednak, że czekała cały czas na darmo.

Bo Duncan powiedział jej tylko tyle:

– Nie wiem.

15

Zadziwiające. Rankiem, gdy mozoliła się nad stołem z korespondencją, widziane pod światło jej włosy doprawdy wyglądały jak ośmiornica.

Pomyślał, że to z powodu ich uczesania. Albo może sposobu ułożenia. Sterczały jej na czubku głowy niczym ogromny, atramentowy w kolorze kłąb. Obojętne, jak usilnie starała się je upiąć, ciemne, ciężkie kędziory rozwichrzały się na wszystkie strony niczym macki.

Oczywiście, była to zachwycająca, dziwnie erotyczna ośmiornica. Ransom zastanawiał się, czy czasem nie w ten sposób powstają fetysze.

– Unikasz mnie, Goodnight?

Ciemna głowa uniosła się znad listów.

– Czyżby?

– Owszem. Właśnie to robisz.

Milczała przez chwilę.

– Wasza Wysokość, moja obecność w tym pokoju, a nawet sama nasza rozmowa, wydają się temu przeczyć.

– Nie robię ci z tego powodu wyrzutów. – Wyciągnął się na sofie i założył splecione dłonie za głowę. – Gdyby to było możliwe, chętnie unikałbym sam siebie.

Wyjęła ze stosu następną kopertę i zaciekłym ruchem podważyła pieczęć nożem do papieru.

– Wcale Waszej Wysokości nie unikam. Nie wiem, co masz na myśli.

Mała kłamczucha. Bardzo dobrze wiedziała, co on ma na myśli.

Od czasu Inwazji Idiotów oraz zachwycających, ukradkowych uścisków ich obojga w gloriecie Ransom dostrzegł wyraźną zmianę w jej zachowaniu.

Ale nie było już nieproszonych gości, a podczas jego długich, nocnych wędrówek po zamku nigdy się na nią ponownie nie natknął. Zawsze czekała, póki się nie obudził, lecz nie prowadzili już osobliwych rozmów o słoniach wielkości szczurów lub szczurach wielkości słoni.

Choć było to dziwne, doszedł do wniosku, że mu ich brakowało.

Albo może brakowało mu jej.

– Chciałem o coś zapytać – przerwał jej odczytywanie doniesień o zmianie systemu finansów w związku z maszynami parowymi. – Czy w tej Merlinii są może smoki?

– W Moranglii.

– Ach, rzeczywiście.

– Cóż by cię obchodziło, gdyby nawet były? – spytała z wyraźną podejrzliwością.

Wzruszył ramionami.

– Ciekawi mnie tylko, jakiej wariackiej osobliwości mógłbym się jeszcze spodziewać. Czy nawiedzi mnie pewnego ranka całe stado jednorożców, czy może znajdę tuż pod moim mostem obozowisko trolli?

– Nie, Wasza Wysokość. Nie będzie smoków, jednorożców ani trolli.

– W porządku.

Ale nie skończyła jeszcze następnego akapitu, gdy znów jej przerwał.

– Co do pani napisał ten lord przykuty do łóżka?

– Nic takiego, co mogłoby Waszą Wysokość interesować. – Wsparła dłoń płasko na blacie stołu. – Zostałam wynajęta do czytania korespondencji Waszej Wysokości, a nie do dyskusji o moich listach.

Uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– W porządku.

Ransom rozumiał, o co tu chodzi. Zdystansowała się od niego. Co oznaczało, że jest rozsądną, bystrą kobietą. Ale czyniło ją to jeszcze atrakcyjniejszą, do licha.

– Nie chcę być nieuprzejma – powiedziała. – W końcu… rozmawiam o opowieściach mojego ojca ze wszystkimi. Lecz choć nie mam nic przeciwko temu, spodziewałabym się raczej rozmów o czym innym, kiedy tu przebywam razem z tobą. Nawet o finansowych perspektywach w związku z instalowaniem na farmach maszyn parowych.

Przypuszczał, że jest to rozsądne założenie. Zaczynał rozumieć, że te groteskowe opowiastki odbierały jej możliwość oczekiwania na coś innego.

Być może czuła, że powinna się od nich jak najprędzej uwolnić. Byli bowiem niemal w połowie sterty listów, a Ransom miał już pewność, że wie, co się stało.

Ktoś go okradał. A ten ktoś poczynał sobie coraz śmielej. Z początku chodziło o niewielkie sumy, ale teraz były to już dziesiątki i setki funtów.

Przypuszczał, że winowajcą musiał być jakiś urzędnik jego doradców. Albo może nawet któryś z doradców. Złodziej był widocznie nałogowym graczem. Chodziło o karty lub o wyścigi. Może też uznał, że należy mu się coś więcej niż jego mizerna płaca. Zaczął zatem od podkradania niewielkich sum, bo tego nikt by nie spostrzegł. Kiedy niczego nie zauważono, postanowił kraść więcej.

A pewnego dnia dojrzał sposobność zgarnięcia dużych pieniędzy.

Ludzie starego hrabiego Lynforth musieli zbadać możliwość nabycia Gostley Castle dla jego chrześniaczki. Rzecz jasna, z miejsca by im odmówiono. Wszyscy wiedzieli, że Ransom za nic by się nie zgodził na sprzedaż siedziby przodków. Jeśli jednak złodziej sporządził fałszywe dokumenty i przedstawił je osobiście hrabiemu Lynforth, mógł wyłudzić od umierającego hrabiego niesłychaną sumę.

Jak dotąd, była to tylko teoria, ale bardziej sensowna od wszystkich innych. A gdyby domysły Ransoma okazały się słuszne, oznaczałoby to, że

sprzedaż była nieważna.

No i wtedy Izzy Goodnight znowu nie miałaby się gdzie podziać.

– Skończymy z tym już niedługo – powiedział. – Czy już się zastanowiłaś, dokąd pójdziesz?

– Powinnam o to zapytać Waszą Wysokość. Bo nie sądzę, żebym miała dokąd pójść.

– Ale będziesz musiała to zrobić. W tym cała rzecz, Goodnight. Powinnaś poszukać dla siebie jakiegoś innego miejsca. – Siadł na sofie i wsparł ręce na kolanach. – Wojny już się skończyły. Ci, których na to stać, będą mogli znów podróżować. Znajdź sobie jakąś starą damę, która chce wyruszyć w Wielką Podróż Kształcącą i potrzebuje kogoś, kto by czytał jej głośno nużące doniesienia o katastrofach okrętów, rysował nagie rzeźby w jej szkicowniku i wyprowadzał dwa razy dziennie salonowego pieska. Mogłabyś zwiedzić Paryż, Wiedeń, Ateny, Rzym…

Nawet ze swego miejsca na sofie mógł dostrzec, jak szerokie wargi koloru czerwonego wina wygięły się z rozbawieniem. Po raz pierwszy od wielu dni ujrzał jej uśmiech.

– Niestety, nie znam żadnej bogatej, nieznośnej starej damy z salonowym pieskiem – odparła. – Choć mogłaby to być wspaniała przygoda.

W takim razie załatwione. On też nie znał żadnej starszej lady, która odpowiadałaby temu opisowi, ale mógł się o taką postarać. Jeśli zajdzie potrzeba, wynajmie jakąś podstarzałą aktorkę z Drury Lane, żeby odgrywała rolę jakiejś tam ciotki, i opłaci im tę podróż.

Czas już, żeby Izzy Goodnight przestała egzystować w świecie cudzych książek z bajkami. Powinna była poznać coś więcej niż zakurzone zamki i staroświeckie angielskie miasteczka.

Ransom nie był w stanie zapewnić jej wszystkiego, czego potrzebowała lub na co zasługiwała, ale akurat tyle mógł dla niej zrobić.

Decyzja ta ulżyła jego sumieniu, gdy patrzył, jak Izzy wyciąga ze sterty następny list, skracając tym samym swój pobyt w zamku o kilka minut.

Kolejne ziarnko piasku przesypało się w klepsydrze.

W jakiś czas później odłożyła list.

– Na dziś wystarczy.

A potem dodała z wyraźnym ożywieniem:

– Idę na górę przebrać się do obiadu.

– Przebierasz się do obiadu?

Było to coś całkiem nowego. W zamku nie wydawano żadnych formalnych obiadów. Izzy i panna Pelham jadały w kuchni z Duncanem, przynajmniej tak przypuszczał. On sam nigdy do tych posiłków nie dołączał.

– Wczoraj skończyliśmy sprzątać jadalnię, Duncan, panna Pelham i ja. Postanowiliśmy więc odpocząć od tej roboty i uczcić to dziś wieczór obiadem. – Wstała z krzesła. – Panna Pelham przez cały dzień układała menu.

Podrapał się w zarośnięty podbródek.

– Nikt mi nic nie mówił.

– Ogromnie przepraszam. – Jej głos znów przypominał płynny, dziki miód. – Ja… ja powinnam była o tym pamiętać. Czy Wasza Wysokość czuje się urażona?

– Co takiego? – Skrzyżował ręce na piersi. – Nie mów głupstw. Choć nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze jakieś uczucia… nie zostały one bynajmniej urażone.

– Nie zamierzaliśmy cię wcale wykluczać. Oczywiście możesz przyjść na ten obiad. Tylko że… nigdy tego przedtem nie robiłeś.

Było już późno i wzrok znów mu się pogorszył, a ona była jedynie ruchomą szarą plamą, nieco ciemniejszą od morza szarawej mgły. Nie mógł rozstrzygnąć, czy jej zaproszenie jest szczere, czy też podyktowane litością.

Nieważne zresztą. Miała rację: nigdy z nimi nie jadał. Miał po temu powody.

Wstał z sofy.

– Goodnight, doceniam twoje wielkoduszne zaproszenie na obiad wydawany za moje pieniądze w moim domu, ale…

– Och, przyjdź, bardzo cię proszę.

Powiedziała to impulsywnie, lecz słowa były mniej nieostrożne od tego, co zrobiła później.

Ujęła go za rękę.

Ujęła go za rękę i uścisnęła ją. Łagodnie. Jakby był nadąsanym dzieckiem, któremu trzeba nieco współczucia i życzliwości.

Przynajmniej tak właśnie odczuł jej gest. Jego dzieciństwo było najzupełniej wyzute ze współczucia i życzliwości.

– Cieszyłabym się z tego. Zwłaszcza że oznaczałoby to obecność przy stole jedynej osoby, która nie dba, kim naprawdę jest Mroczny Rycerz.

– A cóż to za Mroczny Rycerz? – spytał zaskoczony.

– No właśnie. – Znów ścisnęła jego rękę. – Już od dawna nikt mi nie powiedział czegoś takiego. Przyjdź na obiad i, jak zawsze, bądź gniewny oraz najzupełniej nieromantyczny. Bardzo proszę.

– Powiedziałam księciu o naszym obiedzie. – Izzy nabrała mocno tchu, gdy panna Pelham sznurowała jej gorset. – Zaprosiłam go na niego.

– Och, wspaniale! – Panna Pelham zacisnęła sznurówki jeszcze raz.

– Odmówił.

Kolejne zaciśnięcie sznurówek.

– Och, to fatalnie.

Izzy zastanawiała się, ile razy jeszcze zbierze się na odwagę, żeby wyciągnąć do niego rękę. Czemu się tak upierał przy swojej izolacji? Nawet po rozmowie z Duncanem nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy ucieczka narzeczonej złamała mu serce? Czy czuł gniew z powodu utraty wzroku i niezależności? A może tylko leczył zranioną dumę?

W każdym razie powinien był powrócić do świata, i to szybko.

Przeczytała już większość jego korespondencji i powzięła pewne podejrzenia. Nie ośmieliła się ich ujawniać, nie mając dowodów, lecz miała niemal pewność, że doradcy księcia spiskowali przeciw niemu. Nie miała pojęcia, z jakiego powodu to robili. Ransom mógł jednak stracić znacznie więcej niż tylko zamek, jeśli wkrótce nie powróci między ludzi.

Dzisiejszy obiad mógł być krokiem w dobrym kierunku.

Oby tylko tak się stało.

Panna Pelham po raz kolejny zacisnęła sznurówki. Kiedy Izzy jęknęła, powiedziała przepraszającym tonem:

– Przykro mi, panno Goodnight, ale to konieczne, bo inaczej strój nie będzie na panią pasować.

Pomogła jej włożyć suknię w kolorze maków. Oczywiście należała do panny Pelham. W garderobie Izzy nie było nic odpowiedniego na ten obiad.

– Och, w tym kolorze będzie pani ogromnie do twarzy, nawet jeśli suknia jest trochę za ciasna w talii.

No i rzeczywiście. Jej piersi wyglądały teraz jak dwie jasne kule wylewające się wręcz z dekoltu. Co za skandaliczny strój dla małej Izzy Goodnight. Miała jednak szal, a prócz niej przy stole zasiądą tylko panna Pelham i Duncan.

– Obiecuję, że nie będę się przejadać. – Izzy pogładziła wspaniały czerwony jedwab. – Jestem pani ogromnie wdzięczna za pożyczenie sukni.

– Przecież to drobiazg. Cieszę się, że mogłam w czymś pomóc. – Panna Pelham naciągnęła jej pierwszą ze swych sięgających do łokcia rękawiczek, ale zapiąć guziczki musiała już sama Izzy. – Strasznie jakoś długo nie nadchodzą pani rzeczy.

– Owszem. – Gdy Izzy mozoliła się nad drobnymi guziczkami, nękało ją rozpaczliwe poczucie winy.

– Czy coś jest nie tak, panno Goodnight?

– Chciałabym tylko…

Żebym nie musiała cię okłamywać. Żebym ci wściekle nie zazdrościła złotych włosów, rumianych policzków i pewności siebie. I żebyś ty mogła mi choć trochę pozazdrościć, gdybym ci się zwierzyła ze wszystkiego, co robiłam z księciem.

– Chciałabym tylko, żeby pani mówiła mi po imieniu.

Wachlarz panny Pelham upadł na podłogę, a jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście.

– W takim razie musi mnie pani nazywać Abigail.

– Bardzo chętnie.

Panna Pelham – czyli Abigail – uściskała ją mocno.

– Och, wiedziałam! Wiedziałam, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami!

Przyjaciółkami.

Dziwne. Izzy nigdy nie przypuszczała, by mogła się serdecznie zaprzyjaźnić z kobietą taką jak Abigail. Różne Abigail Pelham z czasów jej młodości traktowały nieśmiałą, lękliwą Izzy z pogardą, a nawet bezwzględnie. Nazywały ją z powodu krętych włosów Frizzy Izzy, Miotłą Czarownicy, Miotełką do Kurzu, Śmieszną Gębą… Lista obraźliwych przezwisk zdawała się nie mieć końca.

Przypomniała sobie jednak, że tak było w młodości. Teraz i ona, i Abigail są dorosłymi kobietami i być może Izzy postąpiłaby nieładnie, uchylając się od tej przyjaźni.

Abigail skończyła sznurowanie jej gorsetu.

– Czy teraz, kiedy jesteśmy przyjaciółkami, pozwolisz mi zrobić coś z twoimi włosami? – Ujęła w palce pasmo jej kręconych włosów i przyjrzała mu się ze współczuciem. – Mam przepis na preparat z żółtek i wody różanej, który sprawi, że staną się równe i gładkie jak jedwab.

Izzy już miała powiedzieć, że to nic nie pomoże. Próbowała wszelkich znanych kobietom preparatów, ale żaden z nich nie skutkował.

Abigail nie chciała jednak o tym słyszeć.

Obróciła Izzy twarzą do lustra.

– Zobaczysz, że w odpowiednim uczesaniu i z nową, kolorową wstążką… będziesz prawie ładna.

Prawie.

Sięgnęła po szal, próbując zignorować niezamierzony afront.

– Chodźmy już na ten obiad.

Abigail wzięła ją za rękę.

– O tak, chodźmy. Spytam cię później o kilka rzeczy. Czekałam z nimi aż do dzisiejszego wieczora.

Och, Boże.

Trzeba przyznać, że Abigail czekała z nimi aż do zupy.

Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Pewnie wiesz, o co chcę cię zapytać.

– Coś mi się zdaje, że tak.

– Wybacz, ale nic na to nie mogę poradzić. – Abigail zniżyła głos do szeptu. – Kim jest naprawdę Mroczny Rycerz? Nie obawiaj się, nikomu nie pisnę ani słowa.

Izzy pozwoliła, by napięcie Abigail rosło, gdy ona sama przełykała porcję zupy kremu z pasternaku, delektując się jej wspaniałym smakiem dobrą chwilę.

Przez całe dwa dni harowały ciężko w jadalni, myjąc ściany, trzepiąc dywan, polerując meble i czyszcząc pokrycie krzeseł. Przy świetle dziennym wciąż jednak można było dostrzec spłowiałe miejsca na dywanie i szramy na boazerii.

Za to przy świecach… wnętrze robiło wprost magiczne wrażenie.

Cały pokój wprost błyszczał. Stół nakryto wykrochmalonym i wyprasowanym białym obrusem, a każdą część nakrycia – od najmniejszej łyżeczki do największego świecznika – wypolerowano do połysku. Nie byłyby piękniejsze, nawet gdyby je wysadzono diamentami. Kryształy wypożyczono z plebanii, ale cała reszta pochodziła z zamku. Duncan znalazł skrzynkę sreber i dwa wyłożone słomą pudła porcelany, której jakoś nikt nie zrabował, ukryte w piwnicy.

Wysoki sufit wyglądał majestatycznie, ale ogółem biorąc, w jadalni panowała ciepła, życzliwa atmosfera, a woń pieczonej jagnięciny unosiła się w powietrzu.

Można się tam było czuć jak w domu.

– No i? – zachęcała ją do odpowiedzi Abigail.

Ach, tak. Mroczny Rycerz.

– Nie mam pojęcia – wyznała Izzy. – Ojciec nigdy mi tego nie zdradził. Nie wiem nic poza tym, co wydrukowano w piśmie.

– A o Kresydzie i Ulryku też nie? Och, nie mogę znieść świadomości, że się nie połączyli. Czy pobrali się i mieli dzieci, na co zawsze miałam nadzieję?

– Jeśli miałaś nadzieję, to może się tak właśnie stało. Wiem, że czytelnicy czują się rozczarowani brakiem zakończenia. Mnie się jednak podoba właśnie to, że Ulryk jakby zatrzymał się w zawieszeniu, zresztą całkiem dosłownie. W ten sposób opowieść może mieć tyle szczęśliwych zakończeń, ile tylko sobie ich zdołają wyobrazić czytelnicy.

Na dobre zakończyło to dyskusję.

– Och, to nie wystarczy. – Panna Pelham westchnęła. – A co się stało z eunuchem? Miałam pewne podejrzenia co do niego. Nie przypuszczam, żeby sir Henry w ogóle…

– Na litość boską, proszę dać jej spokój!

Wszystkich zaskoczył ten gwałtowny wybuch.

Były to bowiem słowa księcia.

W drzwiach stał Ransom. Izzy pożałowała, że użyła w myślach wyrażeń „majestat” i „wspaniałość” w odniesieniu do jadalni, bo teraz brakło jej słów, by określić jego wygląd.

Był dokładnie ogolony, umyty i ubrany w dopasowany czarny frak, który leżał na nim bez najmniejszej zmarszczki. A zrobił to wszystko bez niczyjej pomocy, sądząc ze zdumienia Duncana, który zerwał się na równe nogi. Biedak bał się widocznie, żeby go nie wylano ze służby.

Izzy nie uważała jednak, by mu to groziło, widząc niedobrany kolor kamizelki i świeże, cienkie jak włos zadraśnięcie na podbródku.

Może było to niemądre, ale doszła do wniosku, że ta wąska czerwona linia jeszcze lepiej świadczy o jego odwadze i budzi w niej większe wzruszenie niż blizna przecinająca mu brutalnie czoło.

– To on! – szepnęła do niej przez stół Abigail. – Książę!

– Przecież wiem! – odparła Izzy, także szeptem.

– Czemu tu przyszedł? Czy myślisz, że mu się spodobałaś?

Izzy uszczypnęła się nerwowo w nos.

O Boże. Czyż ta dziewczyna nie rozumie, że Ransom może słyszeć wszystko, co ona mówi?

– Na pewno mu się spodobałaś – szepnęła ponownie Abigail. – Czyż to nie nadzwyczajne? Mogłaś sprawić, że uwierzyłby w romans i mi…

Książę chrząknął.

– Wasza Wysokość – odezwał się Duncan – proszę o wybaczenie. Nie spodziewaliśmy się, że…

– Siadaj. – Ransom wymacał krzesło u szczytu stołu i odsunął je. – Nie przyszedłem tu, żeby zmuszać cię do roboty.

– Czy chciałby pan trochę zupy? – Abigail skinęła na służącą, jedną ze świeżo zatrudnionych.

– Tylko wina. Nie przyszedłem tu również, żeby jeść.

Zapadła cisza i wszyscy troje zadawali sobie w duchu pytanie, którego nie mieli odwagi powiedzieć głośno. Po co tu w takim razie przyszedł?

– Proszę dać pannie Goodnight spokój z Morbidią. – Ransom siadł na krześle. – Z pewnością można znaleźć inne tematy do rozmowy.

– Ależ – oświadczyła Izzy, próbując ratować miłą atmosferę wieczoru – mnie to wcale nie przeszkadza.

– Ale mnie tak. Niepokoję się o ciebie.

Ach, więc dlatego przyszedł na obiad. Żeby stanąć w jej obronie. Żeby być jej szorstkim, źle wychowanym orędownikiem. Izzy zalałaby się łzami, gdyby nie to, że zepsułyby cudowny smak zupy.

Zadzwonił widelcem o talerz.

– Myślałem, że dzisiejszy obiad miał świętować dzień wolny od pracy. W takim razie życzę sobie też dnia wolnego od bajek. Póki rycerze i dziewice nie wlezą do łóżka, żeby się w nim obłapiać, nic mnie nie obchodzą.

Policzki Abigail poróżowiały.

– Wasza Wysokość, oni nie robią takich rzeczy.

– W takim razie mam ich w nosie.

– No widzi pani, panno Pelham – powiedziała Izzy – książę nie jest zainteresowany *Opowieściami*.

– Bo on nie wie, co traci. Powinien sam się z nimi zapoznać. Możemy mu je poczytać po obiedzie.

Służąca zabrała zupę i postawiła przed księciem talerz, a potem zdjęła pokrywę ze srebrnego półmiska, ukazując pięknie wypieczony udziec jagnięcy.

Ransom pociągnął łyk wina.

– Mam nadzieję, że nie czekacie, żebym go pokroił.

Duncan po tym upomnieniu sięgnął po nóż i zaczął dzielić mięso na plastry, nakładając je każdej z kobiet na talerz, nim wziął porcję dla siebie.

Ransom odmówił jedzenia pieczeni.

Izzy poczuła się przygnębiona. A więc to dlatego nigdy nie jadł razem z nimi. Jako ktoś wysoko urodzony miał obowiązek kroić dziczyznę i

pieczyste – czego nie mógł już robić należycie. Zwłaszcza pod koniec dnia, kiedy – jak już wiedziała – jego wzrok dramatycznie się pogarszał.

Spojrzała na swoje plastry jagnięciny. Nawet talerz z jedzeniem Ransom musiał odczuwać jako próbę, której mógł nie sprostać. Zamknęła na chwilę oczy, chcąc wyobrazić sobie krojenie mięsa bez patrzenia na niego. Może zdołałaby się tego z czasem nauczyć. Ale zrobić to zręcznie i zgodnie z dobrymi manierami? Tego już nie była pewna.

Jedzenie podawanych kolejno potraw zajęło im trochę czasu. Ransom tylko pił wino, co – jak się obawiała – nie wróżyło dobrze.

Gdy podano deser – wspaniałą świeżą tartę z jagodami – Abigail wstała od stołu i wkrótce powróciła, dźwigając wielki, oprawny tom. Najwyraźniej nie zapomniała o swojej obietnicy głośnej lektury.

– Oto są – oświadczyła – *Opowieści na dobranoc*. Zaczniemy od dzisiaj.

Ransom zaklął z cicha.

– Nie można tego uniknąć?

– Proszę ich nie czytać! – poprosiła Izzy. – Książę wcale nie chce tego słuchać. Ale jeśli już nie może być inaczej, opuść przynajmniej początek. Mój ojciec zawsze był nim zakłopotany już od pierwszych kilku lat. Nie uważał go za udany.

– Ależ od niego wszystko się zaczyna, a zawsze należy zaczynać od samego początku. Proszę sobie zapamiętać, Wasza Wysokość, moje słowa. Zaraz pogrąży się pan z zaciekawieniem w historii Kresydy i Ulryka.

Gdy panna Pelham otworzyła tom, Izzy miała nieprzepartą ochotę wleźć pod dywan. A może nawet pozostać pod nim przez najbliższe kilka lat. Panowałaby tam szczęśliwie jako prawie ładna Królowa Roztoczy.

– „Część pierwsza – przeczytała donośnie panna Pelham. – Nad Anglią zapadła noc. W małym prowincjonalnym miasteczku jest nieduży domek z łupkowym dachem i świecą w każdym oknie. A w tym domku jest pokój ze srebrnym księżycem i złotymi gwiazdami wymalowanymi na suficie. A w

tym pokoju stoi łóżko z pikowanym purpurowym baldachimem. A w tym łóżku leży dziewczynka imieniem Izzy Goodnight, która nie chce zasnąć”.

Izzy zerknęła z lękiem na Ransoma siedzącego u szczytu stołu. Może dobrze się stało, że nic nie jadł, bo wyglądał tak, jakby starał się nie zwymiotować.

Panna Pelham czytała dalej, imitując dwa głosy.

– „»Papo, nie opowiedziałbyś mi jakiejś historii?«, prosi dziewczynka. „»Już jest późno, moja Izzy«”, odpowiada ojciec. »Proszę cię, papo. Ciemność mnie przeraża. A po twoich opowieściach mam takie piękne sny«”.

Ransom jęknął. Był to wprawdzie słaby jęk, ale nie można by go uznać za co innego. Izzy również jęknęła.

A cała ta upokarzająca sytuacja stawała się coraz gorsza. Dużo gorsza.

– „Doskonale – ciągnęła Abigail. – Zgaś światło, droga Izzy, a ja opowiem ci pewną historię. Niegdyś, w czasach dzielnych rycerzy i pięknych dam, żyła sobie wytworna i nieustraszona młoda dama imieniem Kresyda. Miała szmaragdowozielone oczy i złote włosy, gładkie jak jedwab”.

Izzy zebrała wszystkie siły. Zaraz nastąpią trzy słowa, przekleństwo jej całego życia. Powtórzyła je w duchu, podczas gdy panna Pelham przeczytała na głos:

– „Całkiem jak twoje”.

Panna Pelham uniosła wzrok znad tekstu i spojrzała na Izzy.

– Czy to nie dziwne? Muszę przyznać, że zdumiewało mnie to, odkąd się poznałyśmy. Duncanie, czy pan się również nie zdziwił?

Duncan skinął głową.

– Jeśli mam być szczery, panno Pelham, to owszem.

– Izzy, ty chyba potrafisz rozstrzygnąć tę kwestię. Dlaczego twój ojciec opisał cię jako zielonooką i złotowłosą?

– Ja…

Och, Boże. Izzy nigdy nie wiedziała, jak tę rzecz wyjaśnić. Czy nie było czymś oczywistym, że Izzy z *Opowieści* musiała wyglądać inaczej? Nikt przecież nie chciałby czytać o dziewczynce ze śmieszną aparycją, grzywą ciemnych, splątanych włosów i bladoniebieskimi oczami. A już na pewno nikt by się z nią nie chciał utożsamiać. Bo ona, prawdziwa Izzy Goodnight, mogła mieć nadzieję, że będzie co najwyżej prawie ładna.

Bo nie była dość dobra.

– Bo jej ojciec był durniem – warknął Ransom. – Bez wątpienia.

Abigail i Duncan jednocześnie wciągnęli gwałtownie dech.

– Nie! – zaprzeczyła Abigail. – Bardzo się pan myli, Wasza Wysokość. Sir Henry był… najczulszym, kochającym ojcem, jakiego może sobie życzyć dziewczynka. Prawda, Izzy?

Po raz wtóry Ransom oszczędził jej przykrej konieczności odpowiedzi.

– Doskonale, zrewiduję mój sąd. Był sprytnym durniem. Udało mu się wszystkich okpić. Ale jeśli sir Henry rzeczywiście był takim miłym człowiekiem i czułym ojcem, to czemu nie zadbał o to, by dzięki swoim dochodom zapewnić córce bezpieczeństwo i wygodny dom?

– Wasza Wysokość, on umarł tak niespodziewanie – wtrącił Duncan. – Prawdziwa tragedia.

– To była nagła śmierć. – Izzy westchnęła.

Abigail chwyciła ją za dłoń poprzez stół.

– Musiałaś być tym zdruzgotana. Cały kraj okrył się żałobą razem z tobą.

Ransom pokręcił głową.

– To było niewybaczalne. W życiu istnieje niewiele rzeczy możliwych do przewidzenia, lecz śmierć jest jedną z nich. – Dał znak, żeby mu dolać wina. – Jeśli pani mnie spyta, to odpowiem: ten sir Henry Goodnight był nie lepszy niż domokrążca sprzedający tani dżin albo handlarz opium. Nabierał ludzi na swoje ckliwe historyjki, nie dbając, ilu z nich ogłupił tymi wypocinami.

Izzy uznała, że posunął się trochę za daleko.

– Nie musi pan podziwiać opowieści mojego ojca – powiedziała – ale nie należy pogardzać ich czytelnikami ani samym romansem jako takim. Kresyda i Ulryk są tylko postaciami literackimi, a Moranglia, tworem fikcyjnym. Ale miłość istnieje i jest pomiędzy nami.

Ransom odstawił kieliszek i powiódł dookoła głową, jakby chciał rozejrzeć się po pokoju.

– Gdzie?

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

– Czy mam wskazać ją palcem, jakby wisiała w ramach na ścianie? – spytała.

– Powiedziałaś, że jest wokół nas. No to gdzie? Czworo nas siedzi przy tym stole, wszyscy jesteśmy dorośli. A żadnego romansu nie ma. I ani szczypty miłości.

– Ale…

– Ale co? Wszyscy wiedzą, w jakiej znalazłaś się sytuacji, panno Goodnight. Skazana na staropanieństwo przez historie twojego ojca. – Wskazał swego służącego. – Duncan na przykład przez dziesięć lat wzdychał do jednej z londyńskich służących, irlandzkiej dziewczyny z obfitymi lokami i jeszcze obfitszym biustem. Ani na niego nawet nie spojrzała.

Duncan usiłował zaprotestować, choć bez większego przekonania. Ransom zignorował go.

Zwrócił się ku Abigail.

– A pani, panno Pelham? Ma pani żywy temperament i podobno jest pani dość ładna. Pani ojciec jest dżentelmenem. A gdzie zalotnicy?

Abigail wpatrzyła się w swoją na wpół zjedzoną porcję tarty.

– Był ktoś taki.

– Ach, był. A gdzie teraz jest?

– Zaciągnął się na statek – odparła. – Mam nieduży posag, a on jest drugim synem i sam nic nie posiada. Nasza znajomość nie wyszła nigdy

poza przyjaźń. – Uśmiechnęła się słabo. – Myślę zresztą, że nie mogło być inaczej.

Ransom wsparł się butem o nogę krzesła.

– No, proszę. Widzicie? Jeszcze raz przykra rzeczywistość wzięła górę nad uczuciem. – Uczynił szeroki gest ręką, od Izzy i Abigail do Duncana. – Pominięci, niechciani, wzgardzeni. Żadnego szczęśliwego zakończenia.

– To nie fair – zaprotestowała Izzy. – Nasze historie jeszcze się nie zakończyły. A gdyby nawet było inaczej, jesteśmy tylko trojgiem ludzi w szerokim świecie. Codziennie otrzymuję listy od czytelników mojego ojca. Od ludzi w każdym wieku, którzy…

– Którzy są zdesperowani albo rozczarowani?

– Którzy wierzą w miłość.

Rozparł się nonszalancko w krześle.

– To bez różnicy.

Izzy nie odrywała od niego oczu. Sama nie wiedziała, dlaczego spieranie się o to stało się dla niej tak ważne. Jeśli on chciał egzystować na gruzach swojego życia, zgorzkniały i osamotniony, jej zdaniem miał do tego prawo. Drażniło ją jednak jego samozadowolenie. W dodatku nie tylko urągał miłości i romansowi, ale obrażał jej przyjaciół i znajomych. A także jej ciężką pracę.

I skryte pragnienia jej serca.

Nie był to argument akademicki, tylko osobisty. Jeśli nie zdołała obronić idei trwałego szczęścia, jakże może mieć nadzieję na własne?

Spróbowała po raz drugi.

– Każdy… no, może prawie każdy… rozumie, że opowieści mojego ojca to tylko wymyślone historie. Ale miłość nie jest złudzeniem.

Gdy prychnął z niedowierzaniem, powtórzyła z uporem:

– Nie jest.

Nagle wpadła na pewną myśl.

– Proszę poczekać.

Wstała od stołu i skierowała się ku schodom.

– Proszę poczekać, a za chwilę to panu udowodnię.

Pobiegła pospiesznie na piętro, później korytarzem, aż wreszcie wspięła się po trzydziestu czterech stopniach na wieżyczkę. Potem zaczęła grzebać we własnej korespondencji, póki nie znalazła koperty, której szukała. Chwyciła ją mocno i pospiesznie wróciła do jadalni, zdyszana, ale zadowolona.

– O, proszę – powiedziała, ściskając w ręce podniszczoną kopertę. – To dowód, że pisarstwo mojego ojca potrafi zmienić ludzkie życie. Że prawdziwa miłość zawsze odniesie zwycięstwo.

– Zamieniam się w słuch. – Książę uniósł kieliszek i opróżnił go jednym haustem. – No, proszę czytać.

Izzy rozłożyła list i zaczęła:

– „Droga panno Goodnight!

Choć nie spotkałyśmy się nigdy, myślę jednak o pani jak o bliskiej przyjaciółce, a może nawet o siostrze. Moja guwernantka zaczęła mi czytać opowieści pani ojca, gdy byłam sześcioletnią dziewczynką, i od tego czasu zacny lud Moranglii wypełniał moje sny – podobnie jak zapewne i sny pani. Gdy dowiedziałam się o przedwczesnej śmierci sir Henry’ego, każdej nocy płakałam rzewnymi łzami przez całe miesiące.

Jestem już teraz dorosła, a zapewne pani również. W tym roku ojciec zaręczył mnie z zalotnikiem, którego wcale sobie nie wybrałam. Nie jest to wprawdzie człowiek okrutny i porywczy, lecz nieczuły i obojętny. Mam pewność, że mnie nie kocha i zapewne nigdy nie będzie do tego zdolny. Postanowił mnie zdobyć i zmierzał do tego celu z mniejszym uczuciem i troską niż te, które inni ludzie okazują przy kupnie konia. Perspektywa spędzenia razem z nim życia napełniła mnie zgrozą.

Wszystko to chyba zabrzmi dla pani znajomo. Czyż nie przypominam Kresydy, którą w trzydziestym piątym odcinku ojciec zaręcza z tym

okropnym lordem Darksull? Z tą różnicą, że nie zamknięto mnie w wieży bez okien i żadna przyjazna mysz nie przybędzie mi z pomocą.

Podobnie jak było z Kresydą, moje serce od lat należy do kogoś innego. Och, panno Goodnight, szkoda, że nie może go pani poznać! Jest, tak jak Ulryk, skromnego pochodzenia. Dowiódł jednak swojej wartości wielokrotnie, okazując mi wiele zrozumienia i oddania, jakich nie doświadczyłam nigdy ze strony najbliższych przyjaciół i rodziny. Kocham go całą duszą.

Stoję przed przerażającym wyborem. Posłuchałam jednak swego serca i podjęłam odważną decyzję.

Pójdę za przykładem Kresydy i ucieknę. Z pomocą przyjaznej myszki lub bez niej.

Proszę nie wątpić, że jutro połączę się z moim ukochanym i wspólnie zaczniemy nowe życie. Dziękuję serdecznie i pani, i jej drogiemu ojcu, który żyje nadal w swoich opowieściach i w sercach naszego narodu".

Łza zakręciła się jej w oku, gdy uniosła głowę znad tekstu.

– Jest podpisany jak następuje: „Z bezgraniczną wdzięcznością, lady Emily Riverdale”.

Odłożyła list z uczuciem triumfu, przekonana że z pewnością poruszył Ransoma.

No i rzeczywiście.

Wstał bez słowa z krzesła u szczytu stołu, zacisnąwszy pięści, potężny i posępny niby chmura gradowa, z której lada chwila strzelą pioruny.

Zjeżyły się jej drobne włosy na karku.

Duncan wymachiwał gwałtownie obiema rękami, usiłując zwrócić na siebie jej uwagę.

– Co mu się stało? – spytała go szeptem. – Czym się tak przejął?

Duncan wytrzeszczył oczy i wskazał na kartkę w jej ręce.

– Tym.

– Tym?

Gdy Ransom wypadł gwałtownie z jadalni, przejrzała gorączkowo list, próbując zrozumieć, które słowa mogły wywołać tak dramatyczny efekt. Nie dostrzegła nic, póki…

Póki jej spojrzenie nie padło na podpis. Żołądek skręcił się jej w bolesny supeł.

Och, nie. Nie!

Emily Riverdale.

Lady Shemily Liverpail.

16

Boże, jaką idiotką się okazała.

List, który trzymała w ręce, napisała narzeczona Ransoma. Nieznośna trzpiotka. Ta sama, która uciekła z farmerem, co w rezultacie sprawiło, że książę został okaleczony i o mało nie umarł. A ona przeczytała mu go na głos, widząc w nim dowód prawdziwej miłości.

Izzy wręczyła go Duncanowi. Potem w jedną rękę chwyciła lichtarz ze świecą, a drugą uniosła swoją jedwabną suknię.

– Muszę pójść za nim.

Poruszając się tak prędko, jak tylko mogła to zrobić w przyciasnej sukni i zbyt mocno zasznurowanym gorsecie, popędziła za nim korytarzem.

– Ransom, zaczekaj!

Nie zwolnił wcale kroku, rzucając tylko przez ramię:

– Nie teraz!

Zatrzymała się. Tonu Ransoma nie sposób było zignorować. Słyszało się w nim jedenaście pokoleń książęcej władzy.

Był wściekły, głęboko urażony i na krawędzi gwałtownego wybuchu.

Zebrała się jednak na odwagę.

Z trudem mogła za nim nadążyć. Dobrze znał te pokoje i korytarze, po których krążył każdej nocy w ciemności.

Wreszcie wszedł tam, gdzie – jak Izzy dobrze wiedziała – mogła go dopędzić.

Do biblioteki.

Jak na ironię, tego akurat pokoju dotąd unikała. Choć był niezwykle obszerny i wypełniały go mahoniowe regały od góry do dołu wypełnione tomami, dla prawdziwego miłośnika książek był to widok niebywale przygnębiający. Nawet gdy pierwszego dnia przyjrzała mu się pobieżnie, mogła stwierdzić, że wszelkie interesujące lub wartościowe książki znikły stamtąd lub padły ofiarą rabunku. Zostały tylko oschłe traktaty rolnicze albo przestarzałe almanachy, a nawet i one były tak spleśniałe, że nie nadawały się do czytania.

Izzy powtarzała sobie, że kiedyś znajdzie pieniądze na to, by wyczyścić bibliotekę i ponownie ją zapełnić książkami. Tomami w pięknych oprawach ze wspaniałej, gładkiej skóry we wszelkich możliwych barwach: zielonych, błękitnych, czerwonych i brązowych. I że kiedyś spędzi tam jakiś deszczowy dzień, siedząc przy masywnym kamiennym kominku, skulona w przepastnym, wyścielanym fotelu, z jakąś mrożącą krew w żyłach gotycką powieścią w ręce.

Dzisiaj natomiast czuła się tak, jakby była bohaterką jednej z nich.

Zatrzymała się na środku pokoju i postawiła lichtarz na zaniedbanym, zakurzonym stole.

– Ransomie, ja…

Powstrzymał ją gestem wyciągniętej przed siebie dłoni.

– Ostrzegałem cię, Goodnight. Zostaw mnie teraz.

– Nie chcę się z tobą spierać. Pozwól mi tylko, żebym cię przeprosiła. Postąpiłam krańcowo bezmyślnie, czytając ci ten list. Miałam go od dawna, ale w ogóle się nie zorientowałam. Nie wiedziałam, że to akurat ta twoja lady Emily.

Wściekłość wręcz z niego emanowała.

– A więc wiesz?

– Tak, wiem.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku. Świeca rzucała przerażające cienie na jego zeszpeconą blizną twarz.

– Plotkowałaś o mnie. Albo znalazłaś coś w stosie mojej korespondencji. Czy grzebałaś w moich listach?

– Nie – odparła szybko. – Nic z tych rzeczy. Dowiedziałam się od Duncana.

– Duncan ci powiedział! – Odwrócił się i zaklął gwałtownie. – A więc to tak. Nikomu nie mogę już wierzyć.

– Nie, nie! Nie patrz na to w taki sposób. – Podeszła bliżej, z każdym krokiem zmniejszając odległość między nimi. – Duncan ogromnie się martwi twoim stanem. Daję ci słowo, że nie miał zamiaru plotkować. Wcale zresztą tego nie zrobił. Opowiedział mi o księciu Mothfairy i lady Shemily, a ja już się domyśliłam reszty.

– O księciu Moth… jakim?

– Nieważne. Zapomnij, że coś takiego powiedziałam.

Nim zdołała sobie z tego zdać sprawę, znalazł się nagle tuż przy niej. Chwycił ją w pasie i przygniótł do ściany wypełnionej pustymi regałami.

– Ostrzegałem cię! – warknął. – Ostrzegałem, żebyś mnie zostawiła w spokoju. A teraz to ja ci nie dam spokoju! – Wsparł się obiema rękami o brzeg regału, zamykając ją, jak w klatce, między swoimi ramionami. Twardy drewniany kant półki wpił się jej w uda. Drugi w krzyże. A nad wszystkim górowała woń wina.

Zamknął ją w pułapce, a jej ciało zareagowało tak jak u każdej chwytanej w nią istoty. Zjeżyły się jej włosy na karku. Oddychała z największym trudem, puls jej gwałtownie przyspieszył, serce waliło w obłąkańczym rytmie.

– Prze… przepraszam… cię – wyjąkała. – Tak mi przykro.

– Przepraszasz mnie? Za to, że odczytałaś mi ten list? Za to, że sprawiłaś mi ból? Za to, że przyczyniłaś się do zniszczenia mojego życia?

Och, Boże. A więc on ją o to obwiniał.

– Przepraszam cię – powiedziała, ostrożnie dobierając słowa – za to, że ta lady Emily nigdy nie rozumiała, jakim jesteś człowiekiem.

– Doprawdy? – Jedną z dłoni powiódł w górę i w dół po gładkim jedwabiu sukni, sunąc nią powoli po jej piersiach i biodrach. – A jakim?

– Dobrym. Czasami co prawda gburowatym i odpychająco aroganckim, ale lojalnym i opiekuńczym, a właśnie to się liczy. Rzuciłeś się w pogoń za nimi. Ścigałeś ją, choć mogłeś pozwolić, żeby uciekła.

– Tak, ścigałem ją. Ale jeśli sądzisz, że czyni to ze mnie bohatera tej historyjki, mylisz się całkowicie. Wszystko, co napisała, jest prawdą. Nie kochałem jej. Nigdy bym jej nie kochał. A ona widziała we mnie jedynie nędznika.

„Nie kochałem jej”.

Te słowa powinny były sprawić, by przestała dbać o jego uczucia. A tymczasem należało zadbać o jej własne.

– Nie masz pojęcia… – wycedził, zbliżając się do niej tak bardzo, że jego gorący oddech musnął jej ucho – …jak mnie kusi, żeby zrujnować ci reputację. Tu i teraz. Byłaby to doprawdy słodka zemsta, gdyby uwielbiana przez całą Anglię dziewczynka szeroko rozłożyła nogi przede mną.

Na dźwięk tych wyuzdanych, bezwzględnych słów ugięły się pod nią kolana. Zabrakło jej tchu w przeraźliwie mocno zasznurowanym gorsecie. Z każdym słabym oddechem piersi jej unosiły się coraz wyżej w więżącym je czerwonym jedwabiu, a czubki sutków stwardniały, opierając się o niego.

– Nie zrobisz tego – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Nie jesteś człowiekiem, który chciałby wykorzystać swoją przewagę.

– Nie jestem człowiekiem, który korzysta ze swojej przewagi – odparł, wsuwając rękę pod jej suknię – tylko takim, który korzysta z czyjejś zachęty!

Chwycił Izzy za kolano, rozsuwając jej nogi, tak że wsparła się obcasem na pierwszej półce nad ziemią, i unieruchomił ją własnym kolanem; w rezultacie została wręcz przygwożdżona w tej nieprzystojnej pozycji.

Serce w niej zamarło, gdy uniósł fałdy jej spódnicy razem z halkami. Nie miała pod spodem niczego prócz pończoch. Nie była jednak w stanie

zaprotestować. Jego zachłanny dotyk podziałał na nią i poczuła, że narasta w niej podniecenie, nim jeszcze jego ręka dotknęła jej skrytego miejsca.

Nie chciała ani wycofać się do jadalni, ani niczego udawać, tylko zostać tam przy nim, rozpalona pragnieniem. To, że cała płonęła, że jego dotyk zapierał jej dech, było nieudawane, prawdziwe. A to, co narastało między jej nogami – realne.

Jego kciuk wślizgnął się w nią, badawczo, ostrożnie. To, co nagle poczuła, nadeszło tak gwałtownie, że musiała chwycić się najbliższej półki, żeby nie upaść.

– No właśnie – mruknął. – Wiedziałem, że tak się stanie. Że będziesz już tam czekała na mnie, pełna wilgoci.

Te brutalne, lubieżne słowa sprawiły, że zatraciła się cała. Gdy dotknął jej tam palcem, musiała zagryźć wargi, by nie krzyknąć na cały głos.

Wiedział dobrze, czego jej było trzeba. Poruszał ręką tam i z powrotem, za każdym razem sięgając coraz głębiej.

A ona pragnęła jeszcze więcej takich doznań. Kołysała biodrami, próbując coraz mocniej brać go w siebie. Pragnęła tego.

– Nikt inny się nawet nie domyślał, że taka z ciebie rozpustna dziewczyna, prawda? Najwyraźniej nikt! Żaden inny mężczyzna nie sprawił, żebyś się cała wyginała, dyszała i jęczała, co?

– Nikt inny.

– Tylko ja. – Jego palce wsunęły się w nią jeszcze głębiej. – Powtórz to.

– Tylko ty.

Z pomrukiem aprobaty nachylił się nad jej piersią, pokrywając ją pocałunkami. Zębami zaczął ściągać z niej gorset. Nim zdołała zaprotestować i wyjaśnić mu, że suknia jest pożyczona i już trzeszczy w szwach, poczuła, że tkanina pęka na niej.

Piersi miała teraz całkiem odkryte. Nabrała tchu tak raptownie, że poczuła zawrót głowy.

– O, tak – powiedział, oswobadzając całkowicie jej piersi z gorsetu i wodząc językiem wokół sutków. – Wiem, czego ci trzeba!

Obydwiema rękami chwycił ją za biodra. Jednym szybkim ruchem uniósł jej ciało o dobre sześć cali ponad ziemię, wspierając jej pośladki na najbliższej półce. Zadarł jej suknię aż do talii i wsunął się pomiędzy jej nogi.

– Jeśli tego nie chcesz, to mi powiedz – wykrztusił schrypniętym głosem. – Nie musisz mnie odpychać. Wystarczy, że tylko powiesz.

Izzy nie wiedziała jednak, co właściwie miałaby mu powiedzieć. Jej ciało pragnęło tego, wiedziała to dobrze. Ale czy właśnie takie miało być jej pierwsze – i zapewne jedyne – doświadczenie miłości cielesnej? Pospieszne, pełne złości, doznane na zakurzonym regale bibliotecznym? On jej wcale nie kochał. On się wręcz odwrócił plecami od samej idei miłości.

– Ja… – wydyszała z największym trudem – …ja nie powiem „nie”.

Ransom jęknął głucho i uniósł ją tak wysoko, żeby zdołała rozsunąć nogi.

– Ale powiem ci jedno – ciągnęła. – Nie chcę robić tego w ten sposób. Chcę uczucia. Chcę czułości. I myślę, że ty także tego chcesz.

Wpił się palcami w jej pośladki, przesunął językiem po jej klatce piersiowej.

– Do diabła z czułością! Do diabła z uczuciem! Nie jestem kimś, kto spełni pragnienia twojego serca, ale mogę dać ci wszystko, absolutnie wszystko, czego pragnie twoje ciało.

Uchwycił wargami czubek jej sutka, a kolejne fale błogości odebrały jej mowę.

Wsunęła palce w jego włosy, próbując znów go przekonywać.

– To, że ona od ciebie uciekła, nie znaczy, że żadna kobieta nie może cię pokochać. Ja… ja wiem, że jest w tobie coś więcej.

– Owszem, jest we mnie dużo więcej czegoś. – Otarł się o nią biodrami; poczuła, jak silne było jego pobudzenie.

– Możesz to wszystko mieć w sobie. Jest należycie długie, tak twarde, jak ci tego trzeba, i sięgnie też tak głęboko, jak ci akurat będzie trzeba!

Och. Och, jak jej było tego trzeba.

Ciepła koźla skóra jego spodni ocierała się o jej uda. Izzy jęknęła słabo i całą sobą przywarła do regału, niezdolna do niczego poza nieustannym unoszeniem się w górę i w dół razem z nim. Uderzał w nią swoim ciałem w zdecydowanym, jednakowym rytmie.

– Dojdź do tego razem ze mną. – Wsunął rękę między ich ciała i jego palce znowu w nią wniknęły. Gdy poruszał nimi tam i z powrotem, wierzchem dłoni otarł się o jej skrytą perełkę. – Chcę to poczuć. Chcę to usłyszeć.

Słaby jęk błogości uwiązł jej w gardle.

Sięgnął w nią jeszcze głębiej.

– Powiedz na głos moje imię. Chcę, żebyś wiedziała, że to ja.

– Ransom! – jęknęła i uchwyciła się mocniej półki.

A potem nagle… coś pod nimi ustąpiło.

Z trzaskiem i świstem wszystko przekręciło się wokół własnej osi. Obydwoje pogrążyli się w ciemności.

– Co… – Izzy dyszała ciężko – …co się stało?

Ransom nie miał pojęcia. Przez chwilę był w raju. Izzy zduszonym szeptem wymówiła jego imię, no i całe to ciepło wokół jego palców. Zwycięstwo było w zasięgu ręki.

A chwilę później znaleźli się w piekle. Cała ta część ściany, przy której się znajdowali, łącznie z regałem, przekręciła się gwałtownie i wrzuciła ich tutaj.

Czymkolwiek to „tutaj” było.

Nie miał pojęcia, gdzie się znaleźli. Wiedział jedynie, że w czymś ciasnym. A także zatęchłym. W powietrzu unosiła się woń zgnilizny i pleśni.

– Czy to jakieś sekretne przejście? – spytała Izzy, wciąż jeszcze ciężko dysząc.

Cofnął swoją rękę i opuścił jej suknię najniżej, jak tylko mógł. Wciąż jednak przyciskał ją biodrami do regału, dość wysoko nad ziemią. Bóg jeden wie, jakie paskudztwa znajdowały się pod jego butami.

Wolną ręką macał wokół siebie.

– Już raczej jakaś sekretna komórka. Jeśli kiedyś był to korytarz, teraz jest zagrodzony.

– Pewnie to księża dziura, kryjówka z szesnastego wieku. Budowano je, kiedy zakazano katolicyzmu. Musi tu być jakiś mechanizm umożliwiający wyjście. Dźwignia albo…

– Spróbuję się o tym przekonać.

Naciskał po kolei każdą z półek. Bez skutku. Próbował całym ciałem przeć o nie, mając nadzieję, że obróci się w przeciwnym kierunku. Nadaremnie.

– Duncan i panna Pelham z pewnością zaczną nas szukać – powiedział. – Kiedy usłyszymy kroki, zacznijmy wołać o pomoc.

Chwyciła za jego surdut, oddychając z trudem.

– Nie zostawiaj mnie!

– Co ci jest? Zraniłaś się?

Wyczuł, że pokręciła przecząco głową. Dłonie, którymi trzymała za wyłogi surduta, zacisnęły się kurczowo.

– Nie tylko… tak tu ciemno, a ja…

– A ty nie lubisz być w ciemności. Pamiętam.

Skryła głowę w jego ramionach.

Doprawdy, ani trochę nie przesadzała. Ogarnął ją już nie lęk, lecz groza. Zrozumiał to, czując, jak cała się trzęsie. Mówił mu o tym jej przyspieszony oddech. Ta kobieta, która śmiało stawiała czoło nietoperzom, szczurom, duchom i księciom, była teraz do głębi przerażona…

Ciemnością.

Ransom nie czuł się tu jednak winny. Również i cała jego agresywna żądza rozwiała się bez śladu w obliczu nieprzeniknionego mroku. Objął Izzy ramionami, przytulił ją do siebie i trzymał mocno. Rozumiał bowiem ten lęk tak dobrze, jak własne serce. On także ogarnięty był przemożnym strachem przed mrokiem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział do niej. – Mimo że tak tu ciemno, nie jesteś sama, tylko ze mną.

Mimo to nadal cała się trzęsła.

– To… to takie infantylne i żenujące. Zaczęło się, kiedy miałam dziewięć lat.

– A co się wtedy stało?

W tym wieku dzieci już się raczej nie obawiają ciemności. Może kiedy z nią porozmawia o tym, jej strach zniknie? W każdym razie rozmowa pomogłaby im znieść grobową ciszę.

– Spędzałam zwykle lato u ciotki w Essex. Nie miała własnych córek, tylko syna, Martina. Chyba ci o nim wspominałam.

– Czy to ten, co pchnął cię do sadzawki?

– Tak. – Jej piersi unosiły się i opadały w rytm przyspieszonego oddechu. Wyrzuciła z siebie gwałtownie całą tę historię. – Ten sam. Obrzydliwy chłopak. Był zazdrosny, nienawidził mnie. Chciał, żebym się stamtąd wyniosła. Gdy tylko nikt nie widział, bił mnie i wstrętnie przezywał. Kiedy to nie poskutkowało, pchnął mnie do sadzawki. A kiedy i w ten sposób nie potrafił się pozbyć mojej obecności, pewnego dnia, gdy byłam sama w ogrodzie, zaciągnął mnie do starej piwniczki i zamknął tam. Znajdowała się o dobre trzydzieści kroków od domu, no i oczywiście pod ziemią, dlatego nikt nie słyszał moich krzyków. Znaleźli mnie dopiero po całym dniu i jednej nocy. A Martin dopiął swego. Płakałam tak przeraźliwie, że ciotka Lilith odesłała mnie do domu. Od tej pory nienawidzę ciemności.

Wszystko zaczęło dla niego nabierać sensu.

– A więc to było źródłem opowiastek na dobranoc? Bo bałaś się ciemności?

– Tak.

– Czy dlatego zawsze schodziłaś na dół, gdy się budziłem rano? Nadal się jej bałaś?

Odetchnęła powoli.

– Tak.

Zmełł w ustach przekleństwo i pogłaskał ją po plecach.

– Ten twój kuzyn był małym nikczemnikiem. Mam nadzieję, że dostał, na co zasługiwał.

– Gdzież tam. Wyrósł na dorosłego nikczemnika i został sowicie wynagrodzony za swoje wstrętne zachowanie.

– W jaki sposób?

– Ojciec spisał testament jeszcze przed moim urodzeniem, zaraz po osiągnięciu pełnoletności. Nie wiedziałam o istnieniu tej jego ostatniej woli, a on nigdy nie sporządził nowego. Zostawił w nim wszystko najbliższemu krewnemu płci męskiej, no i…

– …i twój kuzyn odziedziczył wszystko?

Potwierdziła.

– Kiedy przyjechał, żeby objąć w posiadanie dom i wszystkie nasze rzeczy, sądziłam, że zmienił się może z wiekiem. Miałam nadzieję, że dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Ale on pozostał tym samym, co przedtem, złośliwym, rozpuszczonym małym tyranem, a nienawidził mnie jeszcze bardziej z powodu sukcesu mojego ojca. Wyzuł mnie ze wszystkiego, do ostatniego pensa. I zrobił to z całą satysfakcją.

Ransom nie ruszał się, nie chcąc jej denerwować, lecz złość wręcz go rozsadzała. Ponownie zaczął się też zastanawiać, czy warto czekać, aż Duncan i panna Pelham ich znajdą. Był tak wściekły, że miał ochotę walić głową w ścianę.

– Czemu milczysz? – spytała.

Oddychał ciężko raz za razem, usiłując opanować swoje emocje.

– Zaczynam uprawiać kreatywne myślenie. Czy lepiej byłoby rzucić twego kuzyna na żer wygłodzonym szakalom, czy przyglądać się, jak go rozszarpią na sztuki piranie?

– Niezły pomysł. – Zaśmiała się z cicha. – Z pewnością zapytam o to w liście lorda Peregrine.

Przez chwilę panowała zupełna cisza.

– A ty? Jak ją znosisz przez cały czas? – spytała. – Chodzi mi o ciemność.

– Z początku nie było to łatwe. – Grube niedopowiedzenie. – Z czasem się przyzwyczaiłem. Ciemność przeraża, bo wydaje się bezkresna. Ale nie jest tak nieprzenikniona, jak się zdaje. Można ją badać, poznawać jej kształt, mierzyć ją, podobnie jak ty mierzysz przestrzeń pokoju. Masz przecież ręce, nos, uszy.

– Mam też umysł – wyszeptała. – Ale akurat to jest najgorsze. Właśnie on wypełnia ciemność okropnościami. Moja wyobraźnie jest zbyt bujna.

– W takim razie uwolnij się od tego. Żadnych więcej opowieści ani strasznych bajek. Skoncentruj się na tym, co możesz wyczuć. Co się znajduje przed tobą?

Wsparła na jego koszuli dłonie, lekkie i zziębnięte.

– Ty.

– A po obu twoich stronach?

– Twoje ramiona.

– A z tyłu za tobą?

Odetchnęła z wolna.

– Twoje dłonie. Trzymasz je na moich plecach.

Przesuwał je to w górę, to znów w dół, żeby ją ogrzać.

– W takim razie musisz tylko wiedzieć, że ja jestem przy tobie. Jeśli w ciemności czają się jakieś potwory, będą musiały mieć ze mną do czynienia.

Po chwili jej drżenie zaczęło słabnąć. Poczuł wielką ulgę.

– Taki jesteś duży i mocny – szepnęła.

Nie odpowiedział.

– A twój zapach mnie uspokaja. – Wsparła się czołem o jego ramię. – Ma w sobie coś z whisky, wyprawionej skóry i psiej sierści.

Rozbawiły go te określenia.

– Możesz się w ten sposób dużo nauczyć. Można wiedzieć dużo o ludziach, nie widząc ich wcale. Zdumiewam się czasem, jak niewielką wagę przykładałem do tego, zanim zostałem okaleczony. Jeśli można z tej sytuacji wyciągnąć jakąś korzyść, to tę, że zauważam teraz wiele rzeczy, na które wcześniej nie zwróciłbym uwagi.

Na przykład kobietę w jego ramionach.

Gdyby zetknął się z Izzy Goodnight gdzieś na dworze kilka lat temu, na pewno nie spojrzałby na nią po raz drugi; miał co do tego niezbitą pewność. Była ciemnowłosa, drobnej budowy i skromnie ubrana. Niewinna, niepewna swojej atrakcyjności. W sumie nie jego typ. Pociągały go żywe, pełne temperamentu blondynki.

W tym wypadku oczy nie wyświadczyłyby mu najlepszej przysługi.

Bo ta kobieta… była rewelacją. Za każdym razem, gdy ją brał w ramiona, zdumiony był jej ciepłem i miękkością. Świeżym zapachem jej włosów, głosem słodkim jak płynny miód. Instynktowną namiętnością.

A także czułością. Ręce jej obsunęły się w dół. Objęła go w pasie, żeby znalazł się jeszcze bliżej niej.

Potem przycisnęła twarz do jego koszuli. Przytuliła się do niego.

Najwyraźniej wracała do siebie.

– Jeśli dostrzeganie tego, na co przedtem nie zwracałeś uwagi, jest najlepsze w byciu ociemniałym, to co jest najgorsze?

O Boże. Zbyt dużo tego było. Wielu rzeczy mogłaby się domyślić. Innych nie domyśli się nigdy, a on wolał o nich nie mówić.

– Nauczyłem się nienawidzić wszystkiego, co może mnie zaskoczyć – powiedział, sam zdumiony tym wyznaniem. – Stworzyłem sobie rutynę.

Odtwarzam w umyśle jakby mapę każdego pokoju w tym miejscu, każdy blat stołu. Muszę wszystko odkładać dokładnie na to samo miejsce, gdzie było przedtem. A także znajdować je, bo inaczej się gubię. Pewnie widzisz we mnie jakiegoś starego ponuraka, który złości się na wszystko, co niespodziewane.

– Ale ja jestem właśnie czymś w tym rodzaju! Niszczyłam twoją rutynę. Zmieniałam rzeczy na twojej ustalonej w głowie mapie.

– Właśnie.

Uniosła głowę znad jego piersi.

– Rozumiem teraz, dlaczego nie chciałeś, żebym przebywała w tym zamku. Byłam zaskoczeniem. Musiałeś mnie znienawidzić.

Dotknął delikatnie jej twarzy.

– Nie znienawidziłem ciebie.

– No cóż, jeśli nie znienawidziłeś mnie wtedy, to masz teraz odpowiedni powód. Musisz uwierzyć, że strasznie mi przykro. Za list, za zamek, za lady Emily. Za wszystko. Masz wszelki powód, żeby być…

Uciszył ją.

– Goodnight, zostaliśmy zamknięci razem w małej ciemnej przestrzeni. Na razie radzimy sobie najlepiej, jak można było oczekiwać. Nie sądzę, żeby to był odpowiedni moment, aby przypominać mi wiele słusznych powodów mojej niechęci do twojej obecności i szczerej niechęci do wszystkiego, co ty tolerujesz.

– Słusznie. – Nabrała głęboko tchu. – Uważam jednak, że raczej nie powinniśmy czekać, aż nas odnajdą. Musi tu być jakiś mechanizm umożliwiający wyjście.

Ransom zmienił swoją pozycję w ciasnej przestrzeni, unosząc Izzy za biodra. Poczuł się jak ostatni osioł. Czy naprawdę trzymał ją w ten sposób, z rozsuniętymi szeroko nogami, obejmującą go ciasno, i obmacywał ją, zadając jej lubieżne pytania tylko po to, by zadośćuczynić swojej zranionej dumie?

Istotnie, robił to wszystko.

– Spróbujmy sobie przypomnieć, w jakiej pozycji wtedy byliśmy. Ach, już wiem. Czułam w sobie twoje palce, ty prosiłeś, żebym wypowiedziała na głos twoje imię, a potem…

– Czy musimy wyliczać wszystkie szczegóły?

Do diabła. Nie miała ani pieniędzy, ani domu, była dziewicą i zarazem ofiarą niewiarygodnej szarlatanerii własnego ojca. Ransom nigdy bardziej nie brzydził się sobą. Zyskała wszelkie powody, żeby nim pogardzać.

– A wtedy… – jej ciało wygięło się w łuk, gdy sięgnęła ku górze – pomyślałam sobie, że pociągnę za…

Coś donośnie zaskrzypiało.

17

Świat Izzy po raz kolejny wywrócił się do góry nogami.

Płyta boazerii obróciła się wokół własnej osi, wyrzucając ich raptownie do wnętrza biblioteki. Tym razem jednak ukryte drzwi nie dokonały pełnego obrotu, lecz zachwiały się i zatrzymały w pół drogi.

Wyrzuciło ich z impetem na drugą stronę.

– Uff!

Ransom okręcił się wokoło, trzymając ją w uścisku, i wziął na siebie całą siłę uderzenia.

Izzy znalazła się po upadku nad nim, z trudem chwytając oddech.

– Dziękuję ci! – wykrztusiła.

– Za co mi dziękujesz? Ja tylko…

– Och, daj spokój! – uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. – Daj spokój!

Miała już dość. Nie chciała dłużej słuchać o jego niegodziwych postępkach i nieobyczajnym życiu wyzutym i z przyzwoitości, i z romantyczności.

Wszystko się teraz zmieniło. Ransom pomógł jej przezwyciężyć lęk przed ciemnością. Łączyły ich podobne myśli i wspomnienia. A oprócz tego obmyślił dla jej podłego kuzyna dwa fikcyjne wprawdzie, ale mimo to imponująco krwawe i wspaniale okrutne rodzaje śmierci.

Rozumieli się wzajemnie. No, przynajmniej w pewnym stopniu.

Przede wszystkim zaś wiedziała teraz bez najmniejszej wątpliwości, że wszystko, co mówił o sobie jako o nędzniku bez serca, było jedynie czczą gadaniną.

Na dowód tego, ale zarazem chcąc mu się jakoś zrewanżować za wszystkie jego zmysłowe i brutalne ekscesy, nachyliła się… i pocałowała go z czułością w czoło, przez chwilę zatrzymując tam usta na dłużej.

Potem podniosła się, usiłując jakoś doprowadzić do porządku gorset i podartą suknię.

Ransom jednak leżał wciąż bez ruchu tam, gdzie padł, na przetartym dywanie.

– Czy coś ci się stało? – spytała.

Ręce osunęły mu się bezwładnie po bokach.

– Jestem wykończony. Tylko tyle.

Na korytarzu rozległy się pospieszne kroki, a chwilę później Abigail i Duncan wbiegli do biblioteki.

– O Boże! – jęknął służący na widok zakurzonego i zabrudzonego odzienia Ransoma.

– Ach, tu byliście! A my szukaliśmy was wszędzie! – Abigail pospiesznie podeszła do Izzy. Od razu spostrzegła podarty strój i rozwichrzone włosy, a potem jej spojrzenie padło na leżącego bezwładnie Ransoma.

– Och jej, co się stało?

– My… my utknęliśmy o, tam… – Izzy, nie mogąc znaleźć właściwych słów, by wszystko należycie wytłumaczyć, wskazała ku księżej dziurze w nadziei, że wystarczy to za całe wyjaśnienie.

Abigail krzyknęła przeraźliwie.

– Nic się nam bardzo złego nie stało – przekonywała ją Izzy. – Zdołaliśmy się jakoś stamtąd wydostać. No i ogromnie cię przepraszam za zniszczenie sukni.

– Ach, nie o to mi chodzi! – Abigail z jękiem obróciła Izzy ku księżej dziurze. – Spójrz tylko!

No i Izzy spojrzała.

– Och, czyżby to… – Podeszła bliżej do kryjówki, wpatrując się w jej wnętrze, póki nie nabrała pewności. A wtedy zakryła z przerażeniem usta dłonią. – O Boże! A więc to…

W ciemnym kącie pełnej kurzu księżej dziury leżały kości czyjegoś szkieletu.

A więc wcale nie byli tam całkiem sami.

Odkrycie szkieletu położyło od razu kres uroczystemu obiadowi. No cóż, zwłoki sprzed kilku wieków tak właśnie czynią.

Ransom posłał po sędziego i proboszcza, a ci przez całą godzinę zastanawiali się, co począć ze szczątkami. W końcu doszli do wniosku, że trzeba o wszystkim powiadomić władze i pochować kości w poświęconej ziemi. Mimo że znaleziono je w księżej dziurze, mogło równie dobrze chodzić o jakiegoś włóczęgę, przemytnika lub nawet złodzieja. Nie sposób było ustalić, czy zmarłego należy uznać za protestanta, czy katolika, obydwaj mężczyźni z zadowoleniem przystali więc na pomysł Izzy, by pogrzebać kości w zamkowej kaplicy.

Szkielet potraktowano zatem z największym możliwym szacunkiem i pochowano go właśnie tam, a proboszcz odmówił nad nim modlitwę.

Kiedy odszedł, zabierając ze sobą pannę Pelham oraz Izzy, Ransom został sam i postanowił uczcić zmarłego w całkiem inny sposób, a mianowicie solidnym pijaństwem.

Był właśnie przy drugiej szklaneczce whisky, kiedy usłyszał w holu lekkie kroki.

– Czy to duch? – spytał.

– Nie pamiętasz, że ja w duchy nie wierzę?

Izzy.

Podeszła do niego przez całą długość holu.

– Abigail uznała, że woli dziś spać na plebanii. Wcale się jej nie dziwię.

– Ja również. – Ransom domyślił się, że Izzy także wolałaby spędzić noc właśnie tam.

A jednak nie została z Abigail. Wróciła do niego.

Przeniknęło go jakieś dojmujące, choć trudne do określenia uczucie, którego źródłem była jego zdaniem whisky.

Izzy stanęła przy kominku.

– Dlaczego ogień się nie pali?

– Bo cała służba stąd umknęła. Nikt nie chce pracować w nawiedzonym zamku.

– Och, rozumiem. – Położyła na ruszcie kilka polan i poruszyła popiół pogrzebaczem. – No a co z Duncanem?

– Posłałem go do pubu w wiosce. Potrzebował kieliszka, a nie lubi pić sam.

– Przecież nie byłby tu sam, tylko z tobą.

– Ale ja właśnie lubię pić do lustra. – I Ransom pociągnął kolejny, solidny łyk whisky. Od ostrego smaku zapiekło go w gardle i żołądku. – Czemu nie zostałaś na plebanii z panną Pelham?

– Zapraszała mnie, ale odmówiłam.

– Ledwie trzy godziny temu znaleźliśmy ludzkie szczątki w księżej dziurze, a przedtem przebywaliśmy razem z nimi dosyć długo. Nie boisz się spędzić tutaj nocy?

– Pewnie, że się boję – odparła. – Każdej nocy się tu bałam. Teraz już chyba o tym wiesz? Ale to mój dom. Za długo na niego czekałam, żeby stąd teraz uciekać po pierwszym… no nie, może po trzecim czy nawet czwartym sygnale mówiącym mi, że jestem w nim niemile widziana.

Przysunęła do stołu krzesło i usiadła.

– Jeśli mam być szczera, wróciłam jeszcze z jednego powodu. – Głos jej złagodniał. – Martwiłam się o ciebie i nie chciałam, żebyś został sam.

Dobry Boże. Jak to możliwe, że ta kobieta, która wszystko widziała przez pryzmat bajek, miała tak przeraźliwie jasną świadomość jego słabych stron? Nieważne, czy były duże, czy małe, nieważne, że starał się je ukryć… Potrafiła je jakoś wyczuć i wniknąć w jego wewnętrzny świat.

Siadła przy nim.

– Znalezienie tych szczątków… – wzdrygnęła się przy tych słowach, co wyraźnie poczuł – wstrząsnęło nami wszystkimi, ale ciebie chyba poruszyło najgłębiej.

No rzeczywiście wytrąciło go to mocno z równowagi. Całkiem, jakby chodziło nie o tego nieszczęśnika, ale o niego samego.

Zwiesił głowę na piersi. Dwieście lat temu mógł to być ktoś taki jak on. A stał się nędzną, zapomnianą przez wszystkich stertą kości.

– Chyba rozumiesz, Goodnight, że zniweczyłaś wszystkie moje plany.

– Naprawdę wszystkie? Co za imponujący wyczyn!

– Nie bądź taka zadowolona z siebie. Nie było ich w końcu wiele, a właściwie istniał tylko jeden. Żebym tutaj został, póki się w proch nie rozsypię. – Wyprostował się ponownie i przejechał dłonią po włosach. – No, a potem ty się tu pojawiłaś.

– Nie wmawiaj mi, że wróciła ci chęć do życia i że ma to coś wspólnego ze mną. – Jedwab zaszeleścił, gdy siadła głębiej w fotelu. – Wprost cię nie poznaję.

– Na litość boską, nie rób tego.

– Czego?

– Nie uśmiechaj się.

– Skąd możesz wiedzieć, że się uśmiecham?

– Potrafię to jakoś dosłyszeć w twoim głosie. Do diaska, umiem to wyczuć. Twój uśmiech jest taki miły i ciepły, że… Och, sam już nie wiem, jak go nazwać.

– Ach, Ransomie… – powiedziała i zabrzmiało to tak melodyjnie jak łagodny śpiew. – To jeszcze gorsze.

Wcisnął głowę w ramiona, jakby dzięki temu mógł osłonić uszy.

– Widzisz, właśnie w ten sposób zrujnowałaś mi wszystko. Możesz spytać tego nieszczęśnika, którego resztki znaleźliśmy w księżej dziurze. Że też musiał kilka wieków temu wyzionąć ducha i zgnić akurat w Gostley Castle, jakby nie mógł tego zrobić gdzie indziej! A teraz wiszą tu eleganckie zasłony i wydaje się uroczyste obiady. Coś po prostu niesłychanego!

– Może oznacza to, że powinieneś wrócić do Londynu, między ludzi?

Pokręcił głową. Do czego miał tam wracać? W Londynie nic już dla niego nie zostało.

Nie miał prawdziwych przyjaciół. Nigdy zresztą nie chciał ich mieć. Był księciem Rothbury, jednym z najwyżej postawionych i najbogatszych ludzi w Anglii. Nie potrzebował niczyjej łaski, a każdy, kto próbowałby się wkupić w łaski jego samego, był podejrzany. Ludzie mogli tylko czegoś od niego chcieć.

A co do wrogów… W młodości kolekcjonował ich, jak chłopcy kolekcjonują kolorowe szklane kulki. Gdy go nienawidzono, wiedział, że dobrze sobie na to zasłużył. Wrogowie nic mu jednak nie mogli zrobić. Był niezniszczalny.

Do pewnego momentu.

Niech diabli porwą te jego oczy. Najgorsze z kalectw. Gdyby stracił rękę, poradziłby sobie bez niej. Podobnie byłoby z nogą. A nawet z obydwiema nogami. Ale po utracie wzroku nie będzie już mógł prowadzić swoich spraw bez cudzej pomocy. Stał się teraz więźniem swojej uprzedniej arogancji. Został sam, bez nikogo, komu mógłby ufać.

Choć z niechęcią przyznawał, że tego wieczoru było nieco inaczej.

Bo w tej chwili wcale nie był sam. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu tak mocno, wręcz boleśnie odczuwał kobiecą obecność. Izzy dominowała nad nim na całe mnóstwo drobnych sposobów.

Ogień, który rozpaliła w kominku, wysyłał ku niemu fale ciepła, a wszystkie one miały jej zapach, woń ziół i dymu. Był wręcz odurzony jej bliskością.

Słyszał, jak wyjmowała szpilki z włosów. Drobne metalowe przedmioty padały, jeden za drugim, na stolik, a ten dźwięk miał w jego uszach siłę równą wybuchowi prochu.

A potem westchnęła. Słabo, ledwo dosłyszalnie, ale dla niego było to jak huragan wyrywający drzewa z korzeniami.

Nie umknęła mu ironiczna dwuznaczność tej sytuacji. On był pijany, ona całkiem bezbronna. Idealna okazja do kontynuacji jego planu uwodzenia. Mógłby pozbawić ją dziewiczej powściągliwości i bezlitośnie pokonać jej opory. Skraść godzinę czy dwie ulotnej rozkoszy, udowadniając bez cienia wątpliwości, że romans przynosi tylko rozczarowanie i nigdy – absolutnie nigdy – nie kończy się szczęśliwie. Przynajmniej nie byłoby tak w tym zamku i z takim mężczyzną jak on.

Ten plan miał tylko jedną słabą stronę.

Zanadto ją polubił, żeby go urzeczywistnić.

– Musisz iść spać – mruknął posępnie. – I to zaraz.

– Chętnie. – Ziewnęła. – Chyba rzeczywiście powinnam tak zrobić.

Nie opuściła go jednak od razu. Wstała i wykonała jakiś ruch. Z początku myślał, że miała zamiar zabrać ze sobą świecę na górę, lecz to nie trwałoby tak długo.

Przez blisko minutę słyszał potrzaskiwanie metalowego kozła pod opał w kominku, szelest tkaniny i skrzypienie mebli, nim pojął, co to naprawdę oznacza.

– Przerwij to! – Zerwał się na nogi. – Natychmiast przerwij!

– Co mam przerwać? – spytała tonem świadczącym o poczuciu winy.

– To, co robisz.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Owszem, wiesz. – Wstał i ruszył ku niej. – Dopiero co przysuwałaś krzesło do stołu. A wcześniej wieszałaś mój surdut na kołku.

– No dobrze, przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. Wołaj sędziego, zakuje mnie w dyby za zbytnie zamiłowanie do porządku.

– To nie porządek, Goodnight. Wiesz, że nie.

Nie mógł puścić jej tego płazem. Doskonale wiedział, co robiła. Porządkowała to miejsce przed jego opuszczeniem. Upewniała się, że każde krzesło, poduszka czy pogrzebacz są na swoim miejscu.

Robiła to dla niego.

A nie chodziło tu jedynie o porządkowanie, tylko o zrozumienie i troskliwość. Zważywszy zaś jego nastrój tego wieczoru, takie zachowanie mogło być niebezpieczne. Każdy sposób, w jaki to robiła, mógł być groźny.

– Odprowadzę cię do wieżyczki. – Podał jej ramię, nim zdołała mu zarzucić rycerskość, uprzejmość czy inny absurd w tym rodzaju. Jego prawdziwe motywy były po prostu haniebne.

Pragnął być jak najbliżej niej, gdy oboje wspinali się na piętro. Pragnął prowadzić ją korytarzem, obejmując ją i kierując dłoń ku jej krzyżom. Pragnął, by jej niesforne, kręcone włosy lekko muskały jego nieosłonięty niczym nadgarstek.

Pragnął…

Boże, on pragnął jej. Wszystkiego w niej.

– Jesteśmy na miejscu. – Zatrzymała się w sklepionym przejściu wiodącym do jej pokoiku w wieżyczce. – Dobranoc.

Został na miejscu, licząc jej kroki, gdy wspinała się po schodach. Jeden, drugi, trzeci, czwarty…

– Goodnight…

Zatrzymała się. Potem zeszła kilka stopni niżej. Jeden, drugi…

– Czy chcesz, żebym szła dalej, czy mam do ciebie wrócić? – spytała. – „Goodnight, chodź tu” czy „dobranoc, Goodnight, zjeżdżaj stąd teraz”?

Do diaska, sam nie wiedział. Ot, tak mu się tylko powiedziało. Podejrzewał, że naprawdę oznaczało to: „Goodnight, zdejmij z siebie wszystko, rozłóż przede mną nogi i nigdy mnie już nie opuść”.

– To piętnasty stopień – zauważył. – Trochę niższy od pozostałych.

– A ty nie chcesz, żebym z niego spadła i zrobiła sobie coś złego? Jakie to miłe z twojej strony.

– To wcale nie jest miłe. – Zgrzytnął zębami. – Już się dzisiaj potknąłem o jedną garść kości. Wolałbym się nie potykać o następną.

– Tak czy owak, dziękuję ci. – Poczuł jej dłoń na twarzy.

Dotknęła końcami palców jego policzka. Ujął ją za przegub, jakby miał zamiar wymusić na niej kolejne dotknięcie. Jakże gładką miała skórę! W wyobraźni ujrzał płatki kwiatów we wszelkich odcieniach różu. A skoro wiedział, że przekroczył już pewną granicę i na dobre ugrzązł w sentymentalnym szaleństwie, to zapewne nie może już zrobić nic jeszcze gorszego…

Przywarł wargami do tego przegubu. Ucałował czułe, bezcenne tętno, które tam pulsowało, niczym zidiociały do cna głupiec.

Co za błogosławieństwo.

Puścił ją i zacisnął mocno powieki. Wszystko wisiało teraz na włosku. Gdyby jakimś cudem odzyskał w tej chwili wzrok, nie miałaby szans.

– Ulituj się nad całkowicie przegranym mężczyzną. Idź zaraz do łóżka.

Stał u stóp schodów, wsłuchując się w jej lekkie kroki, gdy wspinała się do pokoiku w wieżyczce. Wsparł się o sklepione przejście i przywarł do kamiennej ściany, walcząc z pożądaniem.

Kiedy ucichł odgłos jej stąpania, odwrócił się i odszedł. Minął już koniec korytarza i zdołał naliczyć połowę stopni wiodących do wielkiego holu, kiedy usłyszał, że zawołała:

– Ransomie!

Zamarł z dłonią wspartą na ścianie.

– Chodź tu zaraz!

A wtedy zrozumiał w ciągu sekundy, dlaczego każdej nocy krążył w ciemności po tym zamku. Dlaczego mierzył krokami długość i szerokość każdego pokoju, korytarza i stopnia. Wcale nie po to, by odzyskać siły lub podporządkować sobie przestrzeń, która była teraz jego domem i jednocześnie więzieniem. Robił to wyłącznie w jednym celu.

Żeby mógł się teraz do niej dostać.

Właśnie w tej chwili. I to tak szybko, jak tylko nogi mogły go tam zanieść.

18

Izzy stała bez ruchu na środku pokoju, oniemiała z wrażenia. Ransom biegł, łomocząc stopami po schodach.

Wpadł do środka bez tchu, czerwony na twarzy. Czoło miał zmarszczone ze zdenerwowania, kanciasta blizna wyglądała na nim jak błyskawica.

– Izzy, o co chodzi? Mów zaraz! Czy coś ci się stało?

– Nie. – Czuła się fatalnie, wiedząc, że go zaalarmowała. – To coś innego.

– Powiedz mi.

– Czy ty to zrobiłeś? Z pewnością ty.

– Co miałem zrobić?

– Świece. Stoją wszędzie.

Obróciła się powoli dokoła. Kiedy nie było jej w tym pokoju, ktoś porozstawiał w nim mnóstwo lichtarzy. W każdym tkwiła zapalona woskowa świeca. Prócz tego dwa świeczniki stały na jej gotowalni, a jeden na stoliczku przy łóżku. Było coś ekstrawaganckiego i groteskowego w ich liczbie, a świeciły tak jasno, że mogły rywalizować z gwiazdami. Temperatura wnętrza podniosła się dzięki wydzielanemu przez nie ciepłu o dobre kilka stopni.

Tylko Ransom mógł to zrobić. Przecież nikomu innemu nie mówiła.

Zdusiła w sobie chęć płaczu.

– Tam na dole złościłeś się na mnie, bo przysunęłam krzesło do stołu i powiesiłam twój surdut na kołku. A teraz… to! – Otarła oczy. – Ransomie,

to po prostu nieuczciwe. Dlaczego przyszedłeś tu i zrobiłeś coś…

– Przecież to tylko świece.

Pokręciła głową. Musiał wiedzieć, że to nie tylko świece, ale i troskliwość. Troszczył się o nią, martwił się z jej powodu, a było to coś tak dla niej nowego, że nie wiedziała, co z tym począć.

Zaczęła gwałtownie machać rękami, jakby chciała to wrażenie przepłoszyć, lecz bezskutecznie.

– Na litość boską – powiedział, podchodząc do niej – zanadto się tym przejęłaś. One służą do tego, żeby cię zatrzymać. Z dala ode mnie. Każdej nocy skradałaś się po schodach na dół w ciemności i budziłaś mnie przed świtem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego się stąd wymykasz, i próbowałem wszystkiego. Kołder, piecyka, biurka.

Chwyciła się za gardło.

– A więc jednak ty to wszystko robiłeś? Sądziłam, że może Abigail…

Pokręcił głową.

– Nie. Wiem, o czym myślisz i powtarzam ci: nie tędy droga. To nie to, na co wygląda.

– Lepiej, żebyś uważał inaczej. – Ponownie rozejrzała się po rzęsiście oświetlonym pokoju. – Bo to wygląda… uroczo. Wygląda jak… – Z trudem przełknęła ślinę. – Och, Ransomie, to takie… romantyczne.

Przejechał obydwiema rękami po włosach w geście rozterki.

– Ależ skąd.

– Ależ tak. To jest romantyczne. I ty także.

– Nie zrobiłem tego w żadnym romantycznym celu. – Objął ją. – Tylko… tylko po prostu chciałem cię zatrzymać… – Zmusił ją do cofania się, aż wreszcie dotknęła tyłem kolan brzegu łóżka i obydwoje padli na nie – …w tym łóżku.

Pogładził ją po włosach. Rozsypały się po tym dotknięciu na poduszce. Ujął jej twarz w dłonie.

– Nie mogłem zrozumieć, czego ci trzeba, żebyś się czuła bezpieczna. Próbowałem wszystkiego, aż wreszcie dzisiaj udzieliłaś mi odpowiedzi. Tym czymś jest światło. A więc będziesz tu teraz miała tyle świec, ile ci się tylko spodoba. Wszystko jednak poszło źle. Bo ty wprawdzie jesteś w łóżku, ale jestem tu i ja. I na Boga, Izzy… – dotknął czołem jej czoła, a potem nakrył ją całym sobą, przygniatając jej ciało swoim – …nie wiem, jak mógłbym stąd wyjść.

– Wiem jak. – Odepchnęła jego ramiona. – Zmuszę cię do tego.

Zesztywniał cały.

– Zmusisz mnie?

– Zmuszę. Nie możemy tego zrobić. Za każdym razem, gdy znajdujemy się koło siebie, następuje coś okropnego. Gryzie cię gronostaj, gruz spada ci prosto na głowę albo zostajemy zamknięci z kościotrupem w mrocznej kryjówce. Nie wiem, co by się zdarzyło, gdybyśmy to zrobili. Cała wieżyczka mogłaby runąć.

Pokiwał z wolna głową, jakby się zastanawiając nad tym, co powiedziała.

– Izzy…

– Co?

– A niech nawet i runie. – Zbliżył usta do jej warg. – Do licha, nie dbam o to ani trochę.

A niech nawet i runie, pomyślał sobie, ponownie nachylając się nad nią. Niech tam Bóg czy też diabeł robi, co tylko może.

Niech się zawali zamek, niech nastąpi koniec świata. Niech się tu pojawi cała Armia Moranglii, obwieszona dzwonkami. Liczyło się tylko jedno. Ona, on i światło dwóch tuzinów świec. No a prócz tego ich dwoje, splecionych ze sobą na łóżku.

Żadnej ciemności. Żadnego osamotnienia. Żadnego strachu.

Chciał zyskać pewność, że Izzy nie będzie żałować.

– Izzy, pragnę cię. Czuję, że muszę to powiedzieć. Nie, żebym był prostacki czy chciał cię oszołomić, ale tylko dlatego, żeby jednoznacznie wyjaśnić, o co mi chodzi. Żebym ja, na tobie, w twoim łóżku… Musisz wiedzieć, że chcę…

Szukał gorączkowo właściwych słów. Spać z tobą? Zerżnąć cię? Zrobić z ciebie swoją kochankę?

– Chcę się z tobą kochać, Izzy. Bardzo, bardzo tego chcę.

Nigdy przedtem nie posłużył się tymi słowami. Ona nie mogła tego wiedzieć, ale on wiedział.

– A ja… – palce Izzy wsunęły się w jego włosy – …ja też tego pragnę. Ogromnie.

To wypowiedziane ledwo słyszalnym głosem wyznanie sprawiło, że serce zaczęło mu walić dwa razy szybciej. Zazwyczaj o tej porze nie dostrzegał zupełnie nic, ale teraz, przy świecach i po tym, co musieli przeżyć tego wieczoru, widział wystarczająco wyraźnie, by mógł dostrzec ciemną masę jej włosów na białej pościeli. A najwspanialszy ze wszystkiego był szeroki uśmiech jej czerwonych warg.

– Jaka jesteś piękna.

Przekręcił ją na bok i zaczął się mozolić nad tylnymi guzikami sukni. Przebrała się. Zamiast zabrudzonego, podartego czerwonego jedwabiu miała na sobie zwykłą, dzienną suknię. Mimo że guziki okazały się większe, a pospolitą tkaniną łatwiej było manipulować niż jedwabiem, zabrało mu mnóstwo czasu rozpięcie kilku pierwszych.

– Lepiej sobie z tym radziłem, kiedy leżałaś nieprzytomna! – Westchnął.

Zaśmiała się.

– Pewnie dlatego, że nie byłeś wtedy pijany.

Rzeczywiście. Pewnie palce mu się trzęsły z powodu whisky. Ale w gruncie rzeczy to on miał więcej racji.

Był zdenerwowany, bo rozpinał guziki po raz pierwszy od bardzo dawna, no i dlatego, że to miał być jej pierwszy raz.

A także dlatego, że chodziło o Izzy, a on chciał dobrze sobie z tym poradzić.

Zaklął i na chwilę dał spokój guzikom.

– Izzy.

Ujął mocno jej piersi przez suknię.

– Nie mam cierpliwości do tego. Nie teraz. Pozwól, żebym to zrobił inaczej.

Znalazł rozcięcie jej pantalonów i rozszerzył je jednym zdecydowanym szarpnięciem. Ułożył ją na skraju materaca i ukląkł na podłodze koło jej nóg. Potem uniósł halki i spódnicę aż do talii i włożył ramię między jej nogi, chcąc je rozsunąć.

– Ransom… – Izzy usiłowała podnieść się i usiąść. – Co ty tam ro…

Dotknął językiem najskrytszego zakątka jej ciała.

– Och. – Opadła z powrotem na łóżko. – Och.

Boże, jaka tam była słodka. Słodka, różowa, pachnąca piżmem.

Izzy, Izzy. Moja Izzy.

Sprężone przyrodzenie na próżno usiłowało walczyć z jego odzieniem. Nie zaprzestając tego, co robił, uwolnił je jedną dłonią i zaczął gładzić. Bezwstydnie, lubieżnie. Czy mógł dogadzać sobie tu, na podłodze, kiedy robił z nią akurat to, co robił? Ale Izzy tak właśnie działała na niego. Stawał się wtedy pożądliwą bestią i miał za nic uprzejmość czy etykietę.

Wyginała się cała na łóżku.

– Ransomie, czy jesteś pewien, że…

Uniósł głowę tylko na tyle, żeby móc powiedzieć:

– Tak.

Okrążał językiem wszystkie jej najwrażliwsze miejsca, żeby pomóc się jej do niego dostosować.

Wydyszała jego imię i wpiła mu się palcami we włosy, przyciskając do siebie jego głowę. Boże, jak on lubił, kiedy dotykała jego włosów.

Wzmógł swoje działania, przesuwając językiem wzdłuż tego miejsca, a potem sięgnął nim ku uniesionemu małemu pączkowi na przedzie, poruszając się tam i z powrotem.

– Tak. O, tak.

Bądź ze mną. Ze mną i z nikim więcej.

Gdy nadeszło jej spełnienie, sięgnął językiem jeszcze głębiej, pragnąc znaleźć się w jakimś sensie wewnątrz niej, wziąć ją w posiadanie. Jej wewnętrzne mięśnie zwarły się, jakby chcąc go wciągnąć do środka, błagając o więcej.

Pospiesznie położył się przy niej na łóżku i wsunął się między jej rozwarte uda. Jego przyrodzenie zetknęło się z czymś miękkim, zwilgotniałym i gorącym. Mógł znaleźć się w niej już w kilka sekund.

Gdyby to jednak uczynił, nie byłoby odwrotu. Wtulił głowę w jej ramię i westchnął głośno.

Uniosła się na łokciu.

– Czy coś jest nie tak jak trzeba?

– Nie wiem – odparł. – Decyzja należy do ciebie.

Izzy wpatrywała się w niego oczami zamglonymi przez niesłychane doznania, jakich doświadczyła. Niemożliwe, żeby teraz zmienił zdanie. Szeroki, gładki szczyt jego męskości wspierał się o jej udo – twardy, gorący, chętny.

– Wypiłem dość dużo – powiedział – żeby uznać to za najwspanialszy pomysł, na jaki wpadłem. Ale nie jestem pijany aż tak bardzo, by nie zatrzymać się teraz, jeśli ty nie czujesz tego samego co ja.

Izzy była trzeźwa i dobrze wiedziała, że to niezbyt ostrożna myśl. W jakiś dziwny sposób była ona jednak i słuszna. Rozumieli się wzajemnie. A ona niemal się w nim już zakochała. On zaś troszczył się o nią. Może nigdy nie dał temu wyrazu w słowach, ale cały jarzący się od światła pokój był tego wyraźnym dowodem.

Prócz tego dziewczyna taka jak ona nie mogła się spodziewać, że ktoś inny zdoła zapewnić jej noc pełną niesłychanej namiętności.

– Nie chcę, żebyś się zatrzymał.

– Dzięki Bogu – powiedział z ulgą, a potem ponownie zabrał się do guzików i koronek. Palce jego posuwały się tym razem sprawniej. – Już przez chwilę sądziłem, że obyczajność weźmie nade mną górę, jak to zwykle się zdarza.

– Obyczajność? – Oswobodziła jedno ramię z rękawa. – Byłabym niesłychanie rozczarowana, gdyby tak się stało. Spodziewam się po tobie właśnie nieobyczajności!

Zsunął suknię z jej piersi i nachylił się nad nią, ujmując wargami koniec sutka.

– Zrobię coś najbardziej nieobyczajnego, na co mnie stać – oznajmił. – Ale to trochę potrwa.

Obojętne jednak, jak długo miałoby trwać, nie zapominał, co należy zrobić, aby kobieta wygięła się cała w łuk.

– Ransomie… pospiesz się. Nie czekaj, żeby…

Przycisnął wierzch dłoni do jej wzgórka dokładnie tam, gdzie było trzeba, i poruszał palcami tam i z powrotem, wsuwając je coraz głębiej. Wkrótce wygięła się cała na łóżku, pragnąc wyjść mu naprzeciw.

Znów się nad nią nachylił, chcąc ponownie ująć wargami sutek. Jęknęła, czując ciepło jego ust.

– O, tak – mruknął triumfująco, bezlitośnie okrążając go językiem, a ona znów poczuła niezwykłe napięcie narastające między jej udami.

Ukląkł nad nią, ściągając z siebie przez głowę koszulę. Odrzucił ją na bok, sięgając dłońmi ku spodniom. Izzy już miała spytać, czy mu pomóc, lecz on najwyraźniej wcale tego nie potrzebował.

Kiedy już zdjął z siebie wszystko, położył się koło niej, całując ją delikatnie wzdłuż szyi, piersi, brzucha. A ona czuła się uwielbiana.

Potem rozsunął szeroko jej uda i wsunął się między nie.

– Poczekaj. – Gładziła jego ramiona i pierś, poznając stopniowo ich mocne, rzeźbione kontury. – Ja… – rzuciła, tracąc niemal całą odwagę – … ja chcę ujrzeć cię całego. A także dotknąć.

Uniósł się w milczącym przyzwoleniu.

Izzy spojrzała na niego, widząc jego męskość w całej okazałości. Pociemniałą, dumną, niepokojąco wielką. Wychylała się z kępy ciemnych włosów, wyprężona, skierowana ku niej.

Nie wiedziała jednak, co robić z męskim organem w takim stanie. Czy miała ująć go w dłoń? Dotknąć czubka?

W końcu postanowiła zdać się na niego.

– Pokaż mi, w jaki sposób mogę to zrobić.

Jęknął na dźwięk tych słów. Ujął ją za dłoń i zacisnął jej palce u samej nasady, a potem przesunął nimi w górę i w dół. Z ciekawością dotknęła kciukiem samego czubka, zachwycona jego jedwabistością i wrażliwością.

Ścisnął ją za rękę, chcąc zapobiec jej dalszym eksploracjom.

– Czy należało zrobić coś innego?

– Nie – wyszeptał, splatając jej palce ze swoimi, a potem przyciskając jej ręce do łóżka – niczego nie rób, po prostu tylko tu bądź.

Poczuła, jak gładki, szeroki szczyt zmierza ku niej.

A potem znalazł się wewnątrz.

Krzyknęła. Nic nie mogła na to poradzić.

– Czy cię bolało?

Przygryzła wargę.

– Trochę.

– Przepraszam. – Posunął się jeszcze dalej, sięgając o cal głębiej. – Bardzo cię przepraszam.

Walczyła o oddech. To było coś tak obcego i… i wprost niesłychanie wielkiego.

– Będę to robił powoli – obiecał i zaczął ją raz za razem całować, a ona poczuła smak whisky. – Póki zdołam, bo później te ruchy staną się ostre i

szybkie. Przepraszam cię teraz, bo potem mogę nie być do tego zdolny.

– W porządku – szepnęła. – Rozumiem.

W rzeczywistości wcale nie rozumiała, spodziewała się jednak, że zrozumie później. Wciąż usiłowała przywyknąć do uczucia pełności, sprężenia, gorąca. Ślizgał się wewnątrz niej gładko tam i z powrotem, za każdym razem docierając coraz głębiej. Wreszcie dotarł do końca i zatrzymał się na chwilę, nim się wycofał, by rozpocząć wszystko od nowa.

Ból szybko ustępował i zaczęło się jej podobać to tarcie twardego, męskiego ciała o jej ciało. Jego nogi, pełne napiętych mięśni, ocierały się o wrażliwą skórę wewnątrz jej ud. Czuła jego pierś na swoich piersiach.

Uniósł się na łokciach z twarzą wykrzywioną od wysiłku.

– Izzy. Ja teraz…

Zrozumiała, że teraz nastąpi to, co miało być „ostre i szybkie”. Zadowolona była, że ją uprzedził.

Rozsunął biodrami jej uda pod szerszym kątem, czyniąc ją otwartą na jego uderzenia. Zagłębił się w nią, wstrząsając gwałtownie jej ciałem. Czuła ból, ale i podniecenie. Znalazła się na skraju czegoś jej nieznanego.

Całkiem, jakby nie leżała na wypchanym wełną materacu, lecz na jakiejś naprężonej, szorstkiej powierzchni. Na cienkiej warstwie lodu pokrywającej mroczne, przepastne pragnienia. Każde z jego ostrych uderzeń łamało tę warstwę. A to niewiadome, ukryte pod spodem, budziło w niej zarówno lęk, jak i ciekawość. Pragnęła się tam znaleźć, wpaść tam… ale zanadto się jeszcze bała, by na to pozwolić.

Wiedział, czego jej było trzeba.

Wsunął dłoń między ich ciała, przyciskając kciukiem jej skrytą perełkę i zataczając nim małe kręgi. Napięcie, jakie czuła, pękło na mnóstwo drobnych cząstek, a ona przywarła kurczowo do twardej, gładkiej powierzchni jego męskości. Spełnienie, jakiego doznała, było niepohamowane, bezgraniczne. Jakby opadała w dół w całych chmurach błogości.

Ransom zaklął, potem jęknął. Później zaklął powtórnie.

Po powrocie z niebytu o mało się nie roześmiała. Miał rację, był teraz niezdolny do słów. Sprawiło jej satysfakcję, że dzięki niej znalazł się teraz w takim stanie.

Po kilku ostatnich, wprost szaleńczych pchnięciach opadł na nią bezwładnie. Ciężki, dyszący, oblany potem, cały dygocący.

Puścił wreszcie jej ręce, które przez cały czas trzymał, i objął ją kurczowo wpół, kładąc głowę na jej piersi.

Ostrożnie spróbowała położyć dłoń na śliskiej od potu powierzchni jego pleców, a drugą dotknęła jego włosów.

Zesztywniał cały. Ona również. Potem nabrał tchu tak głęboko, jakby nie robił tego od miesięcy. A może nawet od lat. Nie zostało w nim już nic z całej jego arogancji, dumy, gniewu i lęku. Jakby wcale nie istniał poza jej ramionami.

Gładziła go po włosach, wodziła palcami w ich miękkiej gęstwie. Przepełniała ją błogość nie do zniesienia. Nieważne, co będzie następnego dnia. Ta chwila warta była wszystkiego.

– Ransomie – wyszeptała – ja się chyba w tobie trochę zakochałam. Nie obawiaj się. Nie spodziewam się wcale, żebyś odwzajemniał mi to uczucie. Wiem, że nie może to potrwać długo. Tyle czasu jednak czekałam, żeby kogoś pokochać, że… że nie mogę nic na to poradzić.

Czekała z bijącym sercem na jego odpowiedź.

A gdy w końcu nadeszła, okazało się nią ciche pochrapywanie.

19

Następnego ranka zbudziły go najosobliwsze rzeczy. Słońce świecące mu prosto w twarz. Łagodny wietrzyk pełen woni kwiatów. Śpiew ptaków.

Czyjeś włosy muskające mu szyję.

– Ransomie! Ransomie!

Ktoś potrząsał jego osłabłym, bezsilnym ramieniem.

Izzy.

Otworzył oczy. Ujrzał nad sobą aureolę krętych loków otaczającą jej bladą twarz. Ciemne brwi. Czerwone wargi.

– Ronsomie, obudź się! – powiedziała, potrząsając nim po raz drugi. – Co ci się stało? Nie żyjesz?

– Gdzież tam – odparł schrypniętym głosem. – Wcale nie umarłem. – Spojrzał na nią i powtórzył powoli, z wdzięcznością: – Wcale nie umarłem.

Był jak najbardziej żywy. Obudził się w sposób, jakiego dotąd nie znał. Całkiem, jakby w piersi biło mu zupełnie nowe serce, tłocząc do jego żył radość niczym musującego szampana. Czuł się tak, jakby zaraz miał wyskoczyć przez okno i śpiewać z radości.

Nie miał kobiety od…

No właśnie, odkąd?

Przez pierwsze kilka miesięcy po okaleczeniu był po prostu zbyt obolały, żeby się nad tym zastanawiać. A potem… potem obawiał się, że byłoby to jak wejście do nieznanego mu pokoju. Mógłby popełnić jakąś niezręczność

i przeklinać z tego powodu. Robić głupie błędy, jak wtedy, gdy uczył się na nowo poruszania w przestrzeni. A gdyby tak okazał się do niczego?

Co byłoby wtedy?

Ale wczoraj nie poszło to źle. Było dobrze. Piekielnie dobrze dla nich obojga. Powracały do niego okruchy wspomnień. Śliskość i gorąco, gdy jej ciało zaciskało się wokół jego palców, sprawiając, że wprost nieludzko pragnął znaleźć się wewnątrz niej. Chętne, życzliwe przyjęcie, jakiego doznał, gdy połączyły się ich ciała. Czułość, jaką okazała mu na ostatku.

Izzy, Izzy.

– No dobrze – powiedziała. – A teraz pospiesz się i ubierz.

– Co takiego? – Zamrugał ze zdumienia i usiadł na łóżku. Spoglądanie na nią było jak przyglądanie się groteskowej tancerce. Woda pluskała i pryskała, gdy Izzy przeciągała gąbką po swoim ciele. Patrzył jak urzeczony na białą koszulę zrzuconą przez ciemnowłosą głowę, a potem na bladoróżową kolumnę jej nagiego ciała. Rozpuściła włosy, które opadły w dół niby ciemna kaskada, ponownie przeobrażając jej sylwetkę. Jasne i ciemne kształty migały przed nim tam i z powrotem.

Nie wątpił, że była najpowabniejszą istotą, jaką oglądał kiedykolwiek. Całkowicie, żywiołowo zmysłową.

Przesunął się na sam brzeg łóżka, chwycił ją w talii i przycisnął mocno do siebie. Przywarł czołem do jej brzucha.

– Izzy…

Wyślizgnęła się z jego uścisku.

– Nie wolno nam. Nie teraz. Nie wiem, gdzie się podział Duncan, ale jestem pewna, że wkrótce wróci. Nie możemy pozwolić, żeby nas tu zastał w takiej sytuacji.

Ransom przetarł twarz.

– Wierz mi, Duncan widział o wiele gorsze rzeczy. Za dobrze o tym wie, żeby się domagać wyjaśnień.

– Przypuszczam, że dla was obydwu będzie to tylko jeden z wielu poranków. Ale dla mnie trochę się on różni od innych. – Zgnieciony kłąb jakichś materiałów uderzył go w pierś. – Twoje ubranie.

Musiał sam posortować swoją garderobę. Również i dla niego nie był to więc jeden z wielu poranków.

Włożył koszulę przez głowę i wsadził ręce w rękawy. Potem wstał z łóżka, wciągnął na siebie i zapiął spodnie.

Podszedł ku gotowalni, gdzie Izzy pospiesznie upinała włosy. Pocałował ją w odsłonięty kark.

– Izzy, ostatnia noc była…

– Wiem jaka.

– Naprawdę? – Pociągnął ją za kędzierzawy kosmyk, który wymknął się jej z fryzury. – Myślę, że nie wiesz.

Skinęła głową i odwróciła się twarzą ku niemu.

– W porządku. Nie musisz się martwić. Ostatnia noc była zachwycająca, ale…

Ale?

Nie mógł uwierzyć, że słyszy to słowo. Ostatnia noc była zachwycająca, ale?…

W tym zdaniu nie powinno było być żadnego „ale”, tylko „i”. Ostatnia noc była zachwycająca i pełna namiętności, i czuła, i erotyczna, i…

– Ale minęła jak sen – dokończyła szybko. – Dziś rano wszystko widzę jasno i myślę trzeźwo. Nie musisz się martwić. Nie mam żadnych niemądrych oczekiwań co do ciebie.

Dobry Boże. Był tak zaskoczony, że zaniemówił.

Takie słowa każdy zblazowany rozpustnik powitałby z radością. Słowa, które Ransom poprzednio usłyszałby chętnie od każdej innej kobiety.

Ale od niej, tego ranka? Poczuł się tak, jakby otrzymał cios prosto w żołądek.

– Wrócimy tego ranka do naszej pracy – powiedziała. – Potrafię być bardzo profesjonalna. Obiecuję, że będzie tak, jakby nic się nie zdarzyło.

Wyślizgnęła się z jego ramion i pospiesznie zbiegła po schodach.

Pozwolił jej odejść.

Niczego od niego nie oczekiwała.

Naprawdę?

Czy naprawdę się spodziewała, że mógł się z nią kochać ostatniej nocy, a dzisiaj zachowywać się tak, jakby nic się nie zdarzyło?

No cóż, oczywiście tak właśnie uważała. Dlaczego miałaby uważać inaczej? Ostatnie kilka tygodni spędziła na czytaniu licznych dowodów takiego właśnie jego zachowania. Do tej pory dokładnie się zapoznała z jego życiem, z jego temperamentem, z jego występkami i błędami. Mógł jedynie wzmóc to wrażenie swoim gburowatym zachowaniem i sporadycznym obmacywaniem jej. W dodatku był napiętnowanym blizną ociemniałym nędznikiem.

A ostatniej nocy odebrał jej dziewictwo, nie wspominając nawet słówkiem o małżeństwie ani nie dając jej żadnych obietnic po przygodzie trwającej tylko jedną noc.

Oczywiście, że nie miała żadnych oczekiwań.

Przypuszczał, że oznaczało to jedno: jeśli chciał zyskać szansę zatrzymania jej przy sobie, musiałby się odwołać do jakichś niespodzianek.

Izzy szukała tego ranka pociechy w codziennych obowiązkach. Zbyt wiele się zmieniło od wczoraj. Nie była już dziewicą. Czuła jeszcze pewną bolesność między nogami. Czuła się rozgoryczona.

W sumie była cała obolała.

Co dla niego znaczyła zeszła noc? A co znaczyła dla niej?

Bała się odpowiadać na te pytania. Chętnie by pozostała na dłużej w stanie oszołomionej ignorancji.

Potrzebowała trochę czasu, by się z tym wszystkim uporać, i to wszystko. Musiała więc zabrać się do działania i solidnie popracować nad sobą.

– Zaczęłaś pracę beze mnie? – Uniosła wzrok i ujrzała go. Powietrze uciekło jej z płuc. Palce zacisnęły się na piórze.

Pióro złamało się z trzaskiem.

Serce jej załomotało.

Żaden mężczyzna nie powinien być aż tak przystojny. To po prostu nieuczciwe. Wszedł do wielkiego holu w czystej koszuli z wykładanym kołnierzem wpuszczonej w szare spodnie.

Włosy miał jeszcze wilgotne na skroniach, ale słońce błyszczało w ich złotobrązowych pasmach.

Izzy z trudem oderwała od niego wzrok i usiłowała skoncentrować się na pracy. Było to jednak podobne do prób wykonywania jej w pokoju, gdzie świeciłoby małe, błyszczące słoneczko. Starałaby się wprawdzie unikać patrzenia prosto w nie, lecz nie mogłaby uciec od jego żaru i blasku. No, a wspomnienia poprzedniej nocy… Pot zaczął się jej perlić między piersiami.

– Dziś rano – zaczęła po odkaszlnięciu – musimy ustalić metodę działania. Nie trzeba chyba dłużej przeglądać każdego papieru z osobna i odkładać go na jeden z dwóch odrębnych stosów. Czytałam już do tej pory dostatecznie wiele listów, by móc na pierwszy rzut oka oddzielić istotne od nieistotnych. Powinniśmy zacząć osiągać znaczący postęp w pracy nad tym mnóstwem przesyłek.

– Po co ten pośpiech? – Ransom nie usiadł, jak zwykle, na sofie, tylko zbliżył się do miejsca, gdzie stała Izzy, i zatrzymał się z tyłu za nią. – Jak dotąd, unikałaś go. Więcej przepracowanych dni oznacza przecież więcej pieniędzy dla ciebie.

Owszem, tak było wcześniej, nim zdała sobie sprawę, że coś w tych papierach jest nie w porządku, i nim nie zaczęła współczuć mu na tyle, by zapragnęła, żeby wyszło to na jaw.

Bo coś tu rzeczywiście nie było w porządku.

– Musimy odszukać wszystkie listy od doradców. – Podała mu kopertę, przesuwając kciukiem po grudzie wosku, którym ją zapieczętowano. – Oni zawsze posługują się tą samą pieczęcią. Możesz ją rozpoznać dotykiem.

Odłożył kopertę na bok.

– Wolałbym dotknąć ciebie.

Znów stanął za nią, położył jej ręce na ramionach i mocno nacisnął te miejsca, gdzie jej mięśnie były najbardziej napięte.

– Odpręż się – mruknął. – Nie musimy zajmować się tym listem akurat teraz.

– Ależ tak, z pewnością musimy. Jestem coraz bardziej zaniepokojona.

– Przestań się niepokoić. – Pocałował ją tuż pod uchem. – Izzy, nie chcę, żebyś się martwiła o cokolwiek.

Znów poczuła, że kolana zaczynają się pod nią uginać. Wsparła jedną dłoń płasko na stole, przyciskając ją z całej siły do blatu.

– Tu jest list od doradców. Powinnam usiąść i odczytać ci go.

Sięgnęła po krzesło, na którym zwykle siadywała.

Objął ją wpół i kopnął z rozmachem krzesło tak, że wylądowało daleko od niej.

– Nie teraz.

– Mogę czytać na stojąco.

– Można wiele rzeczy robić na stojąco.

Pocałował ją kilka razy w kark. Jego ręce gładziły ją po biodrach.

Roześmiała się nerwowo.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje dziś rano. Gdzie się podział opryskliwy mężczyzna, rozpoczynający każdy dzień od przekleństwa? Co się stało z „Boże drogi, Goodnight!”? Gdzież są te pieszczotliwe porównania do stworów morskich?

Pociągnął ją za kosmyk włosów.

– Ośmiornica!

– Wszystko idzie na opak. Powiedziałeś to z taką czułością!

Przybrała surowy ton, ale w duchu cieszyła się serdecznie. Najwyraźniej, niezależnie od tego, co się między nimi działo, pragnął przebywać z nią trochę dłużej niż tylko przez jedną noc.

Złamała pieczęć i zaczęła czytać.

– List ma datę sprzed trzech miesięcy. Zaczyna się od słów: „Niech Wasza Wysokość będzie łaskaw”…

– A cóż to takiego? – mruknął. – Przeczytaj to jeszcze raz. Te trzy ostatnie słowa.

Trzy ostatnie słowa? Izzy spojrzała powtórnie na list.

– „Niech Wasza Wysokość…” – Och, bezwstydny rozpustnik! Poddała się. – Wasza Wysokość, błagam…

– Z miłą chęcią. – Wyciągnął jedną rękę i ujął w nią jedną z jej piersi. Drugą wsunął jej pod suknię.

– Ransom! – skarciła go. – Ktoś tu może w każdej chwili wejść!

– Owszem. Właśnie to jest takie podniecające.

Izzy nie mogła temu zaprzeczyć. To było podniecające. Końce sutków wyprężyły się jej i stwardniały, a coś między nogami kazało jej wręcz boleśnie tęsknić do niego.

– Ale nie znaczy to, żebyśmy… – Przełknęła ślinę z trudem. – Naprawdę? Tutaj?

– Och, zamierzam to robić wszędzie. Posiąść cię w każdym wnętrzu tego zamku. Po co jednak ograniczać się do wnętrz? Na murach zamkowych, pod gwiazdami. W parku, na kołdrze rozpostartej wśród falujących traw. – Uniósł jej halki aż do pasa. – Ale zaczniemy tu i teraz. Od tygodni marzyłem, żeby wziąć cię na tym blacie.

Linijki tekstu zaczęły jej tańczyć przed oczami. Ręka opadła bezsilnie w dół, papiery ześlizgnęły się na posadzkę. Nie było już więcej żadnych „istotnych” listów. Nic prócz przewrotnej pieszczoty jego palców, sunących w górę po jej udzie.

– Hej, jest tam kto?! – krzyknął nieznany im głos z dziedzińca zamkowego.

Izzy drgnęła raptownie, strącając kolejny plik listów na posadzkę.

– O Boże! – szepnęła. – Kto to może być?

– Hej! – usłyszeli ponownie. – Hej, wy tam!

– Nie dbam, kto to taki. Powinien zaraz stąd zniknąć. – Ransom odwrócił się ku oknu i huknął donośnie: – Na litość boską, człowieku! Na moim biurku leży anielska ślicznotka, cała dysząca z pragnienia. Wynoś się i przyjdź tutaj jutro!

Przerażona Izzy odepchnęła go i pospiesznie wybiegła na zewnątrz. Na szczęście niespodziewany gość nie był kimś jej znanym, tylko posłańcem poczty ekspresowej. Wypłaciła mu pieniądze za przesyłkę, dodając coś niecoś ekstra, i przeprosiła go za niestosowne poczucie humoru objawione przez księcia.

Kiedy wróciła do holu, dała sobie spokój z powrotem do ich przerwanego interludium, kładąc Ransomowi dłoń na piersi.

– Nigdy więcej nie żartuj w taki sposób. A gdyby tak na dole był Duncan albo Abigail? Albo, co gorsza, ktoś z Moranglianów?

– No, to co? – spytał. – Czemu się przejmujesz tym, co ci ludzie myślą? Dlaczego tak się boisz, żeby się nie dowiedzieli, że już nie jesteś dłużej niewinną, małą dziewczynką?

– Bo dzięki byciu tą niewinną, małą dziewczynką mam z czego żyć.

On tego nie mógł zrozumieć. Był bogatym, uprzywilejowanym księciem i pozostanie nim nadal. Nie wiedział, co to znaczy być głodnym i drżeć samotnie ze strachu przed ciemnością.

– Przypomnij sobie, jak niewiele do mnie należało, kiedy się tu zjawiłam. Jeśli uda ci się odebrać mi zamek, znowu znajdę się bez niczego. Ale wielbiciele opowieści mojego ojca wspomogą mnie na swój… może osobliwy, ale życzliwy sposób. Mogę nie mieć pieniędzy, lecz przynajmniej pozostaje mi życzliwość tysięcy ludzi.

Skrzywił się.

– Masz łasicę. No i słodycze.

– No cóż, lepsze to niż nic. – Złamała pieczęć na liście. – Owszem, mogę dzięki słodyczom przetrwać parę dni. Owszem, dach nad głową może mi zaoferować, jak to się działo przez wiele tygodni, któryś z czytelników. Ale zawsze będę miała co jeść i gdzie spać, póki pozostanę dziewczynką, którą oni chcą we mnie widzieć.

– Tak długo, jak będziesz małą Izzy Goodnight. A nie Izzy Goodnight, skandalizującą kochanką. Albo jakąś Całkowicie Inną Kobietą.

– Właśnie. A więc proszę cię, nie niszcz tego swoimi bezmyślnymi żartami. Przynajmniej póki nie obiecasz mi, że nigdy więcej nie spędzę żadnej nocy w moim życiu jako osoba zmarznięta, głodna, samotna i niekochana.

Milczał przez chwilę.

– Nie wiem, jak się daje ludziom miłość. Nie ma we mnie życzliwości mnóstwa innych ludzi. A nie wszyscy spędzają dzieciństwo w sypialniach z gwiazdami wymalowanymi na suficie, pod ciepłą kołderką, słuchając każdej nocy opowieści i całowani na dobranoc.

Serce się jej ścisnęło.

– A kim ty byłeś, kiedy się kładłeś do łóżka?

– Bogaczem.

Zapadła tak przygnębiająca cisza, że Izzy wolała już spojrzeć na list, żeby odwrócić od niej uwagę.

– Nigdy nie udawałem romantycznego bohatera. A teraz stałem się niewidomym kaleką, pogardzanym przez wszystkich. Ale nie jest tak źle, bym nie mógł zapewnić ci utrzymania. Pozostaję wciąż księciem.

– Czekaj, czekaj. – Izzy wpatrywała się jak odrętwiała w list, którego treść zdołała przejrzeć. – Według tego, co tu napisano, wkrótce możesz przestać nim być.

– Co takiego?!

– Tę ekspresową przesyłkę nadesłali twoi doradcy. Mowa w niej o tym, że przygotowują się do zbadania stanu twego zdrowia psychicznego i zdolności dalszej twojej działalności jako księcia Rothbury.

20

Przez całą resztę tego poranka każdy, kto by im mógł przeszkodzić, nie dostrzegłby nic bardziej skandalicznego od zgnębionej sekretarki i jej rozgniewanego chlebodawcy, pochłoniętych przeglądaniem papierów.

Otwierali, czytali i sortowali absolutnie wszystkie listy.

Izzy o mało nie nadwerężyła sobie oczu od tej pracy.

– No, wreszcie! Jest tutaj. – Przeczytała na głos: – „Niech Wasza Wysokość zechce łaskawie przyjąć do wiadomości, że sprawę załatwiono. Gostley Castle został sprzedany na pańskie żądanie". – Opuściła rękę z listem. – Datowany trzy miesiące temu. A więc oni rzeczywiście sprzedali go hrabiemu Lynforth.

– Ależ ja nigdy tego nie żądałem! Podobnie jak nie prosiłem ich o zainwestowanie pieniędzy w plantację papryki czy kupno arabskiej menażerii. – Ransom odsunął od siebie stos papierów. – To wyjaśnia osobliwe sumy w nadsyłanych rachunkach. Będą chcieli ze mnie zrobić osobę obłąkaną. Zostanę ubezwłasnowolniony.

– Ubezwłasnowolniony? – powtórzyła Izzy. – Przez doradców? Dlaczego mieliby to zrobić?

– Zapewne działają w zmowie z moim spadkobiercą. Nie tylko ty masz chciwego kuzyna. Ten mój nie ośmieliłby się wprawdzie pchnąć mnie do sadzawki ani zamknąć w zatęchłej piwnicy, ale mógłby przejąć mój tytuł i rozporządzać moim majątkiem, gdyby zyskał taką szansę.

Izzy przejrzała uważnie stertę doniesień.

– Zupełnie się na tym nie znam, widzę jednak, że potrzebujesz pomocy. Być może powinieneś zatrudnić nowych doradców.

Odrzucił ten pomysł.

– Nie mogę ufać nikomu.

– Wiem, w tym właśnie cała rzecz. Powinieneś zacząć ufać ludziom i pozwolić im się poznać. Aby mieli świadomość nie tylko twoich mocnych punktów, lecz i słabości.

Ransom krążył po kamiennej posadzce.

– Mam im pozwolić, żeby poznali, jaki naprawdę jestem? Całą moją słabość? Owszem, zamierzam to zrobić, jeśli ty oznajmisz, że Izzy Goodnight nie jest dłużej małą dziewczynką, tylko dwudziestosześcioletnią kobietą, która lubi, jak się ją podszczypuje w piersi.

Izzy uznała, że miał sporo racji. Obydwoje ukrywali część własnej osobowości. Tylko że konsekwencje tego nie były dla nich obojga jednakowe.

Wyrównała stos papierów.

– Coś ci powiem. Sprawy zaszły tak daleko, bo zanadto się wstydziłeś.

– Ja miałbym się czegoś wstydzić?

– Tak. – Miała już dość omijania tego tematu. W końcu to Ransom nie chciał, żeby go traktowano z wyrozumiałością. – Jesteś księciem, ale twoja przyszła żona uciekła z prostym farmerem. A potem ten farmer pokonał cię w pojedynku, skutkiem czego straciłeś wzrok. To musiało być upokarzające.

– Do diabła, ten farmer wcale nie pokonał mnie w pojedynku! – Ransom przystanął przy oknie. – Czy wiesz, co może być bardziej niebezpieczne od walki na szpady z doświadczonym szermierzem?

– No, co?

– Walka na szpady z szaleńczo zadurzonym głupkiem, który nie ma pojęcia o szermierce. To coś takiego jak jednoczesna walka na dwa fronty.

On nigdy przedtem nie trzymał w ręce szpady. Musiałem dołożyć wszelkich starań, żeby nie przeszyć go nią na wylot.

Co on mówił? Że został ranny, kiedy starał się, żeby nie zwyciężyć w pojedynku?

Wstała od stołu i podeszła do niego.

– Ransomie…

– Przecież nie mogłem go zabić! Cóż by dobrego z tego wynikło? Puściłem się za nimi w pogoń tylko z obawy, że ona mogła nie zrobić tego, co zrobiła, dobrowolnie. Pod tym względem się myliłem.

Izzy pożałowała teraz, że wspomniała o wstydzie. Nie miał żadnego powodu, żeby się wstydzić swego postępowania. Zaryzykował wszystko, żeby chronić tę dziewczynę. Powinien był raczej odczuwać dumę ze swojej blizny.

– Postąpiłeś, jak należało – powiedziała zdecydowanym tonem. Nie po to, żeby go uspokoić, lecz żeby dać Ransomowi do zrozumienia, że się z nim zgadza. – Musiało ci chyba na niej zależeć?

– Zamierzałem przecież żenić się z nią. Oczywiście, że mi na niej zależało. Na tyle, na ile człowiekowi takiemu jak ja może na czymś zależeć. Nie, nie łączyła mnie z nią jakaś wielka namiętność lub wspólnota serc czy umysłów, sądziłem jednak, że ona okaże się osobą realnie myślącą. Że będzie chciała zostać księżną, wydawać moje pieniądze, no i że będzie na tyle cierpliwa, by pogodzić się w zamian z moimi wadami. W sumie okazało się, że źle oceniłem sytuację.

Izzy miała wyrzuty sumienia, myśląc o liście lady Emily.

– Była bardzo młoda. Zapewne łatwo ulegała wpływom i była przerażona.

– Nie, nie. Myślę, że było odwrotnie. Okazała się znacznie bystrzejsza, niż mogłem przypuszczać. – Odwrócił się ku stosowi korespondencji. – Kiedy stracę możliwość kontroli nad moim majątkiem, będzie mogła utrzymywać, że cudem wyszła z tej sytuacji cało.

Gdy utracisz możliwość kontroli nad swoim majątkiem, co się wtedy stanie ze mną? – pomyślała.

Strofowała wprawdzie siebie samą za te rozważania, ale jej obawy rosły szybko. Można było ostatecznie przyjąć, że zamek będzie legalnie należał do niej. Nigdy jednak nie byłaby zdolna do uczynienia z niego swego domu bez wynagrodzenia, które jej obiecał za jej pracę.

– O Boże! – Abigail i Duncan po wejściu do holu spojrzeli z przerażeniem na stosy papierów. – Co się stało?

Ransom wstał.

– Zdrada. Właśnie to się tutaj stało.

– Czy jeszcze jakieś ludzkie szczątki znaleziono w zamku?

– Nie. – Izzy uniosła do góry list przyniesiony przez posłańca. – W przyszłym tygodniu czeka nas wizyta ważnych gości. Zanosi się na to, że Jego Wysokość zostanie poddany badaniu stanu swej poczytalności.

– Ależ to nonsens. Przecież książę nie jest żadnym wariatem! – Abigail odwróciła się jednak i szepnęła po cichu do Izzy: – Chyba nie zwariował naprawdę, co?

Och, ta Abigail! Izzy uniosła brwi i pokręciła przecząco głową.

Córka proboszcza wciąż jednak szeptała do niej tak przenikliwym tonem, że bez trudu można było ją zrozumieć:

– Mam na myśli to, że ostatniego wieczoru zachowywał się… raczej dziwnie!

Ransom chrząknął.

– Panno Pelham, siedzę niedaleko od pani i wcale nie jestem głuchy. A także, jak wkrótce stanie się to jasne dla różnych prawników i doktorów, bynajmniej nie zwariowałem.

Tylko że nie widział.

Właśnie to było prawdziwym źródłem niepokoju, choć nikt o tym głośno nie mówił. Niewidomych nieraz umieszczano w szpitalach dla obłąkanych, jeśli nawet nie mieli żadnych zaburzeń psychicznych. Zważywszy zaś

zaniedbanie interesów i przedłużającą się nieobecność w londyńskim towarzystwie, Ransoma czekała niełatwa przeprawa. Gdyby doradcy naprawdę chcieli go ubezwłasnowolnić, wszystko to świadczyłoby przeciwko niemu.

– Chryste Panie! – zawołał, mierzwiąc rękami włosy. – Mógłbym stracić wszystko!

– Nie stracisz – powiedziała Izzy. – Nie pozwolimy na to, bo gdybyś ty stracił wszystko, czekałoby to również i mnie. A Duncana i Abigail czekałby podobny los.

Gdyby Ransom przestał być księciem, Duncan nie miałby już pracy, Abigail zostałaby zaś pozbawiona hojnego wsparcia okazywanego przez księcia lokalnej parafii.

Sprawa ta dotyczyła ich wszystkich.

– Zapomnij o tym, co ci mówiłam o uczciwości – powiedziała Izzy. – Jeśli ci doradcy cię okłamywali, to teraz tobie wolno okłamać ich. Oni jednak wcale się nie orientują, w jakim stopniu zostałeś okaleczony. Kiedy ja znalazłam się w zamku, dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że nie widzisz.

– Ale straciłaś wtedy przytomność, i to na długo – przypomniał jej.

– Wszystko jedno. Wiesz przecież, co mam na myśli. Potrafisz się poruszać po zamku nawet w ciemności, mógłbyś więc udawać, że wcale nie utraciłeś wzroku. Musiałbyś tylko utrzymać ich w tym błędnym przekonaniu podczas wizytacji. A gdy się skończy, będziesz mógł wyrzucić z pracy Blaylocka z Riggettem i wynająć innych doradców.

– Ale zamek, panno Goodnight! – Duncan rozejrzał się uważnie dokoła. – Wcale nie wygląda na książęcą siedzibę!

– W takim razie zrobimy ją z niego! – Izzy wyprostowała się energicznie. – Mamy tydzień. Cały zamek, a w każdym razie te jego części, które mogą być dostępne dla gości, musi zostać nieskazitelnie wysprzątany. Nie trzeba będzie zmieniać wyposażenia pokojów, książę natomiast musi mieć

porządną garderobę. Przynajmniej jedno czy dwa nowe ubrania. – Izzy wykręcała nerwowo palce. – Potrzeba nam też służby. Mnóstwa służby. Żeby sprzątać, uporządkować ogród, podawać do stołu…

– Odświeżenie książęcej garderoby sprawi mi wyjątkową satysfakcję – zapewnił ją Duncan.

– Izzy, doskonale wiesz, jak bardzo lubię ci pomagać. Zaraz zabierzemy się do roboty. Ale znalezienie służby będzie prawdziwym wyzwaniem – stwierdziła z przygnębieniem Abigail. – Już przedtem trudno było namówić tutejszych ludzi, żeby pracowali w zamku, z powodu jego ponurej przeszłości, pogłosek o duchach i długiego odosobnienia się księcia. No, a po znalezieniu szczątków w księżej dziurze… – Pokiwała głową. – Po jakimś czasie na pewno zdołam nakłonić ich do powrotu, ale w ciągu tygodnia?

– Nawet gdyby się nam udało ich wynająć – dodał Duncan – nie wiem, czy potrafiłbym przyuczyć ludzi ze wsi do należytej pracy, i to w tak krótkim czasie. No a liberie? Wszystko to wygląda niewesoło.

– Nie wolno nam się poddawać! – uznała Izzy.

– Masz rację. – I Abigail uśmiechnęła się promiennie. – Czyż Kresyda i Ulryk się poddali? Ależ nie! Poradzimy sobie jakoś, nie wątp w to.

Ale cała czwórka zamilkła po tych słowach.

Ze zwątpienia.

Nie mogli jednak tracić na nic zbyt dużo czasu, skoro aż tyle pozostawało do zrobienia.

Przez następne kilka dni wszyscy mieszkańcy Gostley Castle ciężko pracowali. Z Ransomem włącznie.

Kilka dni później Izzy przyglądała się, jak gryzmolił z wysiłkiem kilka słów, raz za razem, na czystej kartce. Po kilku próbach uniósł papier do góry, jakby próbował się przekonać, czy potrafi pisać równo.

Zaklął ze złością, najwyraźniej niezadowolony z rezultatu, zmiął papier i wrzucił go do kominka.

Izzy wstrzymała dech, czekając, aż kartka się spali. Dopiero gdy Ransom sięgnął po nową, zdobyła się na odwagę i podeszła do niego.

– Jestem zajęty, Goodnight.

Rozpoznał jej kroki aż za dobrze.

– Nie zabiorę ci wiele czasu – zapewniła go.

– W takim razie niech twoja sprawa poczeka. Idź omieść krokwie z pajęczyny albo wypolerować lustro. Z pewnością znajdzie się dla ciebie jakaś pilna praca.

– O, właśnie ta. – Postawiła tacę tuż koło niego. – Musisz coś zjeść.

Zignorował jej słowa.

Pokrajała na kawałki gruszkę, a potem podała mu jeden.

– Twój wzrok się polepsza, kiedy coś zjesz. Będziesz musiał się teraz nim posłużyć, bo chcę ci pokazać coś ważnego.

– Doskonale. – Wyciągnął rękę i chwycił ją za przegub. Potem odgryzł kawałek gruszki tuż przy jej palcach i zjadł go łapczywie.

Podała mu następny.

– Jeszcze.

Zjadł całą gruszkę, kawałek po kawałku. Na koniec oblizał wnętrze jej dłoni i każdy palec z osobna. Przesuwał językiem z przewrotnym wdziękiem po ich stawach i wrażliwych miejscach między palcami. A na koniec uchwycił wargami jej mały palec z głośnym cmoknięciem.

– No, mów teraz – powiedział. – Co tak ważnego chcesz mi pokazać?

Izzy zakręciło się w głowie po jego zmysłowych machinacjach. Musiała się powstrzymać, żeby oprzytomnieć. Co to było? Aha…

– Twoją nową sypialnię.

Uśmiechnął się tym swoim dyskretnym uśmiechem rozpustnika.

– Znakomicie. Prowadź.

Ale gdy go prowadziła po schodach, a potem korytarzem, czuła się raczej jak kura wiodąca lisa do jego nory.

– To tutaj – powiedziała nerwowo. – Książęca sypialnia. Dzięki nowym okiennicom nie ma już w niej nietoperzy. Wyczyściliśmy też kominek. Zasłony w baldachimie i tkaniny na ścianach są zupełnie nowe, pościel również.

Ransom krok za krokiem podążył ku środkowi pokoju i skinął głową z uznaniem.

– Podoba mi się to, co zrobiłaś z tym miejscem.

Zaśmiała się cicho.

– Nie musisz silić się na komplementy. Wcale mi nie chodziło o pochwały. Chciałam ci po prostu dać szansę, żebyś mógł sobie w wyobraźni sporządzić jakby mapę tego pokoju, zanim… zanim przybędzie tu nowa służba.

– To wcale nie jest wymuszony komplement. Mogę nawet słuchem rozpoznać różnicę. – Zrobił jeszcze jeden, starannie odmierzony krok. – Echo już nie odbija się tak donośnie od gołych ścian, a całe wnętrze zrobiło się jakby cichsze i spokojniejsze. Jest teraz wręcz przytulne.

Izzy uśmiechnęła się. Ona też była teraz spokojniejsza. Nie potrzebował wcale chwalić jej za ciężką pracę, ale to, że tak zrobił, wiele dla niej znaczyło.

– A co z łożem? – spytał.

– Jest dokładnie tam, gdzie przedtem.

– Pokaż mi.

Ujęła go za rękę i zaprowadziła ku ogromnemu, wspartemu na czterech kolumnach łóżku.

– O, stoi tutaj. Oczywiście materace są całkiem nowe. Założyliśmy też nowe sznury do zasłon.

Pociągnął za nie.

– Hm – mruknął.

A potem chwycił ją w ramiona i rzucił się razem z nią na łóżko. Izzy krzyknęła głośno, gdy oboje padli na sam jego środek.

– Co ty robisz?!

– Sprawdzam coś.

Objął jej nogi własnymi nogami, a potem przetoczył się z nią tam i z powrotem po całej powierzchni łóżka. Gdy znów zatrzymali się na samym jego środku, oznajmił:

– Miałem rację. Jest wystarczająco duże, żeby pomieścić księcia i sześć kobiet prócz niego.

– Jeśli pragniesz sześciu kobiet, nie będę żadną z nich.

Uwolniła się z jego uścisku i usiadła.

Ransom ponownie przewrócił ją na łóżko.

– A jeśli cię akurat pragnę? A także zrobienia tego sześciokrotnie?

– Sześć razy w ciągu jednej nocy?

– Owszem, to brzmi jak wyzwanie. – Ujął jej pierś w dłoń. – Podejmuję je.

– Ransomie… – Nie dokończyła zdania i aż westchnęła, gdy przesunął językiem wzdłuż koronkowego obszycia jej gorsu. – Ransomie, nie wolno nam. Nie teraz. Mamy tu tak wiele do roboty.

– Już i tak zrobiłaś dużo. – Uciszył ją, rozchylając jej nogi, by móc sięgnąć pomiędzy nie. – Pracowałaś bardzo ciężko, Izzy. Ten pokój tego dowodzi. Odpocznij przez chwilę. Pozwól, żebym ci się za to odwzajemnił.

Martwiło ją, że nie chciał przyjąć nawet najmniejszego dowodu życzliwości – nawet pokrajanej gruszki – bez myśli, że trzeba jej to jakoś wynagrodzić. Jeśli nie pieniędzmi, to cielesną satysfakcją.

Oczywiście nie dlatego, żeby miała coś przeciwko niej. Niewiele spała w ostatnich dniach. Miękki, uginający się pod nią i sprężynujący materac wprost ją zapraszał, a pod jego twardym i spragnionym ciałem było jej tak dobrze.

Gdy pocałował ją w ucho, westchnęła i uśmiechnęła się.

– Dlaczego nie chcesz się ze mną zgodzić?

Wsunął rękę pod jej suknię.

– Czyż sprawiłoby mi to wówczas tyle radości?

Radość. Zaskoczyło ją to słowo. Najbardziej ze wszystkich, jakimi posłużył się w tym zdaniu. A mógłby przecież powiedzieć: „Czyż byłoby to wówczas zabawne?”

Ale on powiedział coś innego. Mówił o radości. Czy naprawdę ją czuł, przebywając tu razem z nią?

Miała nadzieję, że tak. Nie mogła w to dłużej wątpić. Chciała, żeby się tutaj dobrze czuł. Tu, w tym zamku – i z nią.

Jeśli zdołają wytrwać podczas zapowiedzianej inspekcji, nie musiałby się już dłużej ukrywać w Gostley Castle ani stronić od ludzi.

Ale czy chciałby nadal przebywać w tym zamku?

Dotknęła jego twarzy. Przesunęła palcami po policzku i pogładziła włosy. Jego, tego nieznośnego, naznaczonego straszną blizną, okaleczonego mężczyznę, który wniósł ją do środka w ramionach, żeby nie mokła na deszczu, złagodził jej lęk przed ciemnością, a także sprawił, że poczuła się piękna i pożądana.

Kryło się w nim jeszcze więcej dobrych cech. Oby tylko mogła znaleźć sposób, by do nich dotrzeć. Znał namiętność, oddanie, miłość, a gdzieś głęboko wewnątrz niego biło szczere, stałe serce, usiłując się wyzwolić spod całych pokładów urazów i pychy. W jakiś sposób uświadomiła to sobie już pierwszego dnia, kiedy wniósł ją do zamku zemdloną.

– Cokolwiek się stanie, mam nadzieję, że… – szepnęła.

– Czekaj! – uciszył ją zaniepokojony. – Co ja, u licha, słyszę?

Najchętniej nie chciałby słyszeć tych dźwięków nigdy więcej. Był to stukot kopyt, turkot kół i nieustanny chrzęst sporządzonych domowym sposobem pancerzy.

Niech to diabli. Wrócili!

– Przybyli zbyt wcześnie – powiedziała.

A więc wiedziała o tym.

– Izzy, nie zrobiłaś chyba tego?

– Zrobiłam. Proszę cię, nie gniewaj się.

Całkiem, jakby był w stanie się na nią gniewać. Wstał z łoża i podszedł do okna, niechętny, a jednak zaciekawiony, jak ktoś przyciągany mimo woli widokiem wypadku drogowego. Znana mu już połyskująca srebrzyście masa ludzka wlała się na dziedziniec.

Dokonali na nich ponownej inwazji Moranglianie.

Izzy stanęła przy oknie koło niego.

– Wiem. Wiem, co teraz czujesz. Ale rozpaczliwie trzeba nam pomocy. Nie możemy wybrzydzać.

A potem zawołała do mężczyzn wypełniających dziedziniec zamkowy nieznośnym szczękiem:

– Czujemy się zaszczyceni, sir Wendellu! Jak to dobrze, że wysłuchał pan mojego wezwania w chwili potrzeby!

Z dziedzińca wzbił się w tejże chwili donośny głos:

– Proszę w nas nie wątpić, panno Goodnight. Powróciliśmy bez żadnej zwłoki z turnieju w toż samo miejsce, iżby ofiarować pani nasze usługi!

Ransom odciągnął ją od okna.

– Izzy, nie. Nie! Mam dowieść dobrego stanu mojego umysłu, a także należytej kompetencji w wykonywaniu obowiązków książęcych. Najazd narwańców wywijających drewnianymi mieczami i mających skłonność do wyrażeń w rodzaju „bez żadnej zwłoki” oraz „w toż miejsce” wcale mi w tym nie pomoże.

– Nie mamy wyboru. Brak nam czasu, żeby znaleźć, wyszkolić i odpowiednio odziać miejscowych wieśniaków. A ci ludzie chcą nam pomóc. Wyćwiczeni są we wspólnych działaniach i… i oryginalnie ubrani.

– Przecież noszą napierśniki z resztek blachy znalezionych u jakiegoś prowincjonalnego kowala. To nie są liberie.

– Wiem, wyglądają raczej niezwykle, ale wszyscy goście złożą to na karb mojej ekscentryczności. Przecież wiesz, że wszyscy widzą w mnie małą dziewczynkę żyjącą w świecie fantazji swego ojca.

Do diabła, jakże nienawidził tego, że musiała odgrywać taką komedię. No i w dodatku zmuszona była to robić jeszcze przez pewien czas wyłącznie ze względu na niego.

– Zapominasz o jeszcze jednym – powiedział. – Że wszyscy oni mylą mnie ze swoim bohaterem. I że stanę się dla nich Ulrykiem!

– Nie, nie. Właśnie tu się mylisz. Oni wszyscy rozumieją, że to tylko fantazje. Ci ludzie nigdy nie uwierzą, że mógłbyś być Ulrykiem. Oni tylko myślą, że… no cóż, że jesteś jednym z nich.

– Jednym… z nich?

– Tak, Ransomie, oni chętnie by zostali twoimi przyjaciółmi, gdybyś im tylko na to pozwolił.

Przyjaciółmi!

Przyjaźń z tymi ludźmi nie była czymś, czego by pragnął. Ale przykra prawda wyglądała, jak następuje: potrzeba mu było służby. Nie mógł wyglądać na kogoś, kto zaszył się w zrujnowanym zamku z jednym jedynym sługą. Choć właśnie tak było jeszcze kilka tygodni temu.

– Wystarczy, że dasz im szansę – szepnęła, całując go w policzek, nim zeszła na dół, by powitać wielbiący ją tłum. – Zrobisz to dla mnie?

Nie miała pojęcia, ile byłby w stanie dla niej wycierpieć. O wiele więcej niż tę nonsensowną farsę.

Zamknął się w tym zamku, żeby w nim gnić. Zerwał wszelką łączność z zewnętrznym światem. A kiedy już myślał, że spalił za sobą wszystkie mosty, ta kobieta – ta niesłychana, cudowna, zwariowana kobieta – przybyła tu, zdecydowana przedrzeć się przez wszystkie zapory. Złamać jego opór. Zadomowić się tu. Zostać tutaj.

Gdyby nie ona, ten pokój nadal byłby pełen szczurów i nietoperzy. Gdyby nie ona, siedziałby nieogolony i pijany w wielkim holu, licząc w

ponurym nastroju stopnie wiodące donikąd. Gdyby nie ona, nie miałby powodu podejmować całej tej kampanii.

Być może nie będzie już miał tytułu ani majątku, które mógłby jej zaoferować, ale postanowił zapewnić jej bezpieczeństwo.

Wszystko, co od tej pory będzie robił, zrobi dla niej.

21

*U*stawcie się wszyscy w krąg. Pokażmy, na co nas stać! – zawołała Izzy z okna pokoju książęcego, zwracając się do zebranych rycerzy, dziewcząt, służących i przyjaciół zgromadzonych na dole.

Następnego dnia mieli przyjechać doradcy. Była to zatem ostatnia możliwość dokonania próby generalnej.

Izzy odchrząknęła i poleciła:

– Proszę zająć miejsca!

Rycerze, kucharka i dziewczęta zniknęli we wnętrzu. Na dziedzińcu pozostali jedynie „wizytatorzy”.

Była to Abigail i kilka służących, które zgodziły się odgrywać role oczekiwanych gości. Dziewczęta z entuzjazmem podeszły do tego zadania, upinając włosy w ciasne koki i wkładając ciemne płaszcze oraz bobrowe kapelusze z garderoby proboszcza. Wymalowały sobie też henną bokobrody, a nawet wąsy na twarzach.

Mimo że od czasu do czasu parskały śmiechem, całkiem udatnie potrafiły odgrywać role doradców i lekarzy o surowych twarzach.

– Kiedy przybędą wizytatorzy, Duncan powita ich przed zamkiem.

Duncan otworzył drzwi wejściowe i skłonił się uroczyście przed młodymi damami w kostiumach.

– Witam panów w Gostley Castle.

– Znakomicie. A potem wprowadzi ich do… – Izzy odwróciła się ku Ransomowi, który stał za nią w pokoju na piętrze. – Czy jesteś pewien, że

wolisz wielki hol? My wybralibyśmy salon. Byłby o wiele wygodniejszy ze względu na swoje rozmiary.

Pokręcił z uporem głową.

– To musi być w wielkim holu. Wiem, jak działa na ludzi jego przestrzeń i jakie echo się w niej rozlega.

– W takim razie niech będzie wielki hol. – Odwróciła się i znów oznajmiła głośno przez okno: – Duncan wprowadzi ich do wielkiego holu.

Duncan stanął przed „wizytatorami” i zachęcająco skinął głową.

– Niech panowie zechcą udać się za mną.

Chichoczące dziewczęta weszły za nim do środka.

Izzy cofnęła się od okna.

– A my będziemy czekać na nich tutaj. Kiedy Duncan już ich rozlokuje w wielkim holu, wyśle jedną ze służących na górę, żeby tu zapukała.

Zamilkli w pełnym napięcia oczekiwaniu. Izzy przyjrzała się swoim pantoflom. Jutro założy nowe, ale na dziś jej stare, nankinowe zupełnie wystarczą.

Ransom wyglądał z każdym dniem coraz bardziej imponująco. Duncan przez wiele godzin trudził się nad szczotkowaniem, praniem, prasowaniem i czyszczeniem każdego elementu jego garderoby, co dało imponujące efekty.

Włosy wciąż jeszcze miał nieco za długie, lecz nie ośmieliła się mu zaproponować, żeby je przystrzygł. Grzywa złotobrązowych włosów była czymś w rodzaju zasłony chroniącej jego zranione czoło. Martwiło ją, że bez niej mógł się czuć bezbronny.

– Niczego nie musisz się obawiać – powiedziała. – Zaplanowaliśmy absolutnie wszystko i jesteśmy przygotowani na wszelką ewentualność. A gdyby coś poszło nie tak, jak trzeba, pozostaje nam w ostateczności plan G.

– Cóż to znowu za plan?

– Śnieżynka. Jeśli stanie się coś nieprzewidzianego, jedna ze służących wpuści do holu gronostaja. Narobi to przynajmniej nieco zamieszania.

Jeden z kątów ust uniósł mu się nieznacznie w znany już jej sposób. Wciąż jeszcze nie miała całkowitej pewności, jak go określić, lecz przywykła uważać, że to uśmiech.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Doskonale – stwierdziła. – To nasz umówiony sygnał.

Ujęła go pod ramię. Wyszli razem na korytarz, zmierzając ku schodom do wielkiego holu.

– Zapamiętałam wszystko, o czym mi mówiłeś – powiedziała. – Blaylock jest rudy i w okularach, a Riggett korpulentny i ma oczy osadzone blisko siebie. Kiedy wkroczymy do holu, dam ci znać, gdzie obaj stoją, ściskając twoje ramię. Jedno ściśnięcie będzie oznaczać Blaylocka, a dwa Riggetta. Jeśli chodzi o innych gości, musimy zdać się na to, co nam sami powiedzą przy prezentacji. Duncan, gdybyś go potrzebował, zawsze będzie stał na lewo od wejścia. A kiedy przedstawisz mnie, mogę…

Ransom zatrzymał się nagle.

– Izzy…

– Czy o czymś zapomniałam?

– O tym.

Nachylił się i pocałował ją. Ciepło, lekko, ledwie muskając jej wargi swoimi.

– Chyba ci tego było trzeba.

Odetchnęła głośno.

– Myślę, że tak. Dziękuję ci.

Wszystkie jej chaotyczne myśli uporządkowały się teraz. Ten pocałunek był jak kotwica zarzucona w czasie burzy. Liczyło się teraz tylko to, żeby zdołali przetrwać fatalne przesłuchanie.

Gdy weszli do wielkiego holu, Izzy posłużyła się umówionymi znakami, żeby wskazać mu dziewczęta przebrane za Blaylocka i Riggetta. Ransom jedynie skinął lekko głową w ich kierunku.

Pozycja społeczna Ransoma działała na jego korzyść. On nie musiał kłaniać się nikomu. A już na pewno nie potrzebował ściskać niczyich dłoni ani proponować gościom czegoś do wypicia. Dopóki coś niecoś dostrzegał, mógł nieźle rozróżnić, kto się do niego zwraca. Jak na księcia, było to wystarczające.

Podeszli do pokrytych świeżą tapicerką mebli przy kominku. Po raz kolejny Izzy ujęła Ransoma lekko za ramię, co oznaczało, że ma się skierować ku wolnemu krzesłu. Wszyscy usiedli. Obeszło się bez większych niezręczności.

– Pierwszorzędnie – powiedziała i odetchnęła z ulgą. Stanowczo nie było to tak trudne, jak się obawiała. – Skoro już siedzimy, trzeba rozmawiać, pić i odpowiadać na pytania.

– Nie – sprzeciwił się. – Tylko ja będę zadawał pytania.

– W porządku. Jeśli atmosfera stanie się życzliwa, zaproponuję im obchód zamku. Ja, rzecz jasna, pójdę na przedzie, ty możesz zamykać pochód. Kiedy wrócimy do wielkiego holu, nadejdzie pewnie czas na obiad.

W jednej chwili zachowanie Ransoma zmieniło się najzupełniej.

Ścisnęło się jej serce. Miała nadzieję, że on przyjmie to dobrze, ale chyba się łudziła.

Zmarszczył gniewnie brwi.

– Obiad? Jaki obiad?

Do diabła ciężkiego. Nie spodziewał się tego.

– Po co podawać obiad?

– Może tak się złoży, że nie trzeba go będzie podać, ale musimy być przygotowani na podobną ewentualność. Doradcy przyjadą aż z Londynu, a więc będą zmęczeni i głodni. Pewnie trzeba ich też będzie przenocować.

Ransom zaklął.

– Nie martw się. Zaplanowałam wszystko, poradzimy sobie z tym. Duncan zaprosi nas na obiad.

Skinęła na Duncana, a lokaj i kamerdyner w jednej osobie zrobił, co mu poleciła, oznajmiając:

– Podano do stołu.

Gdy zmierzali korytarzem do jadalni, Ransom czuł się tak, jakby szedł na szubienicę. Każdy krok przybliżał go do zguby.

Obiad. Akurat obiad! Nie mogła wymyślić nic bardziej dla niego zgubnego, nawet gdyby to było strzelanie do tarczy.

Doszli do jadalni. Po każdej stronie przeraźliwie długiego stołu stał rząd rycerzy w zbrojach, czekając czujnie na odegranie powierzonej im roli lokajów. Usłyszał nieznośny dla niego chrzęst, gdy któryś przestąpił z nogi na nogę.

– Może nasi goście usiądą? – Wskazała dziewczętom przebranym w za duże dla nich ciemne płaszcze, gdzie mają zająć miejsca. – Ty musisz oczywiście zasiąść u szczytu stołu. – Trąciła dyskretnie Ransoma, kierując go ku właściwemu miejscu. – Ja, jako gospodyni, zajmę miejsce na jego drugim końcu.

Innymi słowy, bardzo daleko.

Chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Nie damy rady.

– Proszę cię, nie wpadaj w panikę.

Zacisnął zęby.

– Wcale w nią nie wpadam.

– Wszystko pójdzie dobrze – szepnęła. – Kazałam, żeby dania podawano *à la russe*. Wszystko będzie już w kuchni nakładane na talerze i przynoszone każdemu z osobna. Żadnego krajania, żadnego dzielenia na porcje. To najnowszy styl we Francji. Zrobimy wrażenie, że nadążamy za modą.

– Cieszę się, że tak dokładnie to obmyśliłaś – powiedział cierpko. – Ale jednak…

– Pierwsze danie to oczywiście zupa. Zupełnie proste. Jeśli chodzi o mięso – skinęła na jednego z rycerzy – poda się befsztyk.

Danie pojawiło się przed nim na stole.

Przysunęła sobie krzesło i siadła koło niego.

– Wszystko rozumiem – wyszeptał. – Nie sądź, że nie zauważyłam, dlaczego nigdy nie jadłeś razem z nami. Czasem wziąłeś kawałek chleba, ale nigdy nie zaryzykowałeś całego posiłku. Spróbowałam sama zjeść go z zawiązanymi oczami, posługując się nożem i widelcem po omacku. Strasznie się męczyłam, nim zdołałam donieść do ust ze trzy kęsy, bo z niczym sobie nie radziłam.

Mówiła to serdecznym tonem, ale traktowała go, niestety, jak dziecko. Do diabła, wcale go nie rozumiała.

Ujęła go za rękę i skierowała ją ku talerzowi.

– Umówiłam się z kucharką. Wszystko na twoim talerzu będzie podzielone na kawałki prócz pieczywa. Bułeczki z masłem w południe, wołowina między trzecią a siódmą. Kartofle i fasola między ósmą a dwunastą. – Włożyła mu w dłoń widelec. – No, spróbuj.

– Izzy…

Ścisnęła go za ramię.

– Nie trać odwagi. Wiem, że możesz to zrobić.

Odetchnął powoli kilka razy, usiłując zachować spokój.

– Będę jadł, gdzie chcę, a także w taki sposób, w jaki mi się spodoba. Nie chcę, żeby mi coś krojono na kawałki. Nie jestem dzieckiem.

Całkiem, jakby frustracja całego jego życia zebrała się przed nim na talerzu.

Było to po prostu szaleństwo. Głupio zrobił, godząc się na ten plan. Już po pięciu minutach jego doradcy zorientują się, kim jest: ociemniałym wrakiem człowieka. W najlepszym razie zyska piętno inwalidy. W najgorszym – umieszczą go w jakimś zakładzie. Straci tytuł, majątek… a może nawet swobodę poruszania się.

Straciłby również i Izzy. Nie mógłby już jej chronić ani nawet objąć, by poczuć jej delikatne dotknięcie.

A wszystko dlatego, że nie potrafi pokroić befsztyka po omacku. Aż go skręcało od tego idiotyzmu.

Dziewczęta tymczasem szeptały i chichotały, zbroje rycerzy szczękały. Dźwięk ten działał na niego jak płachta na byka.

– Nie jestem głodny. – Skinął na lokaja w zbroi. – Zabierz to.

Nikt się nie ruszył.

– Zabierz to! – warknął.

Idiota w zbroi zbliżył się i wziął od niego talerz. Ransom krzywił się na dźwięk każdego brzęku metalu. Czuł u nasady czaszki pierwsze oznaki bólu. Całkiem, jakby jakiś nędznik stał za nim z piką, gotów go nią dźgnąć w każdej chwili.

Miał tego dość. Wstał od stołu i odszedł.

Izzy pobiegła za nim, zatrzymując go, nim zdążył dojść do korytarza.

– To moja wina! – jęknęła. – Powinnam była wiedzieć, że nie należy cię zaskakiwać. Wiem, że musisz być wyczerpany. Zresztą i my też. Możemy później spróbować od nowa. Może teraz pójdziesz na górę odpocząć?

Miałby sobie uciąć drzemkę?

To była krańcowa zniewaga.

– Dość tego wszystkiego! – powiedział. – Podziękuj twoim Morfinianom i odeślij ich do domu.

– Mam ich odesłać? – Chwyciła go za rękaw, nie pozwalając mu odejść. – Nie! Będziemy to ćwiczyć tak długo, jak trzeba, ale nie możemy rezygnować. Oboje gramy o zbyt wysoką stawkę.

– Nie musisz mi wyjaśniać, o co gramy.

Cała jej przyszłość zawisła na włosku. Niewiele go już obchodziło, co się z nim stanie, ale musiał zyskać pewność, że Izzy będzie bezpieczna.

Cały ten jej plan – żeby udawał, że widzi, podczas gdy całe tuziny przebierańców będą się na to gapić – po prostu nie mógł się powieść. Nie

warto się było jednak upierać i wykłócać, bo znał Izzy. Nie chciałaby za nic zrezygnować ze swego romantycznego optymizmu. Nie w obecności wszystkich tych swoich wielbicieli, chciwie łowiących każde jej słowo. Zanadto się lękała, że ich zawiedzie.

Nigdy by nie przedłożyła Ransoma nad gorliwość i uwielbienie tysięcy obcych jej ludzi. Nawet dla własnego dobra.

A więc on musiał dokonać wyboru za nią.

– Ja nie rezygnuję – powiedział – tylko zmieniłem plany.

– Trzeba się posłużyć planem G! – zawołał jeden z rycerzy. – Wszyscy razem! Plan G! Kto ma gronostaja?

– Nie ten plan. – Ransom zgrzytnął zębami i zwracając się do Izzy, powiedział: – Nie ma czasu do stracenia! Idź na górę i pakuj się.

– Mam się pakować? Dlaczego? Gdzie się wybieramy?

– Do Szkocji. Dziś wieczór weźmiemy ślub.

Izzy oniemiała. Czuła zamęt w głowie. Dziecięcy bączek wirowałby wolniej niż jej myśli w tej chwili.

Kiedy wreszcie się odezwała, zrobiła to ostrożnie i cicho, choć bez wątpienia zebrani w sali rycerze i dziewczęta mogli usłyszeć wszystko.

– Chcesz się ożenić? Ze mną? Dziś wieczór?

Raz jeszcze przejechał ręką po włosach.

– Mnie się ten pomysł też niezbyt podoba, ale to jedyne wyjście. Ubieraj się. Możemy przekroczyć szkocką granicę najdalej za kilka godzin.

– Ale…

– Zalety są tu oczywiste – mówił wypranym z wszelkich emocji głosem. – Jeśli się pobierzemy, zmieni to wszystko. Będą musieli poczekać co najmniej kilka miesięcy, żeby się przekonać, czy nie jesteś brzemienna, co by oznaczało urodzenie mojego spadkobiercy. Przez ten czas mogę zyskać pewność, że dostaniesz pieniądze, które ci się należą.

– Wybacz mi szczerość, to wygląda raczej… jak transakcja, a nie romantyczne oświadczyny, jakie dziewczyna pragnęłaby usłyszeć.

– Masz już dwadzieścia sześć lat. Ilu jeszcze oświadczyn się spodziewasz?

Lodowate słowa sprawiły, że zaparło jej dech.

– Być może żadnych – odparła. – Ale to nie znaczy, że cieszą mnie oświadczyny tak jawnie wyprane z uczucia.

– Dorośnij wreszcie, Izzy. Na co czekasz? Na jakiegoś wspaniałego herosa? Czas już, żebyś przestała żyć bajkami – stwierdził, wskazując na rycerzy i dziewczęta.

Nie potrafiła uwierzyć, że mógł coś takiego powiedzieć.

– Zrobiłeś to celowo – powiedziała, zaczynając go powoli rozumieć. – Odepchnąłeś mnie, bo się boisz.

– Wcale cię nie odepchnąłem. Złożyłem ci właśnie propozycję małżeńską.

– W najobraźliwszy i najmniej pociągający sposób.

Sir Wendell wystąpił naprzód i donośnym głosem powiedział:

– Czy mogę zaofiarować mojej damie pomoc?

– Ona nie jest twoją damą – parsknął Ransom – tylko panną Goodnight. Dorosłą kobietą. Nieważne, ile babcinych tac do herbaty dynda na twojej piersi. Nie czyni to z ciebie rycerza.

Izzy skrzyżowała ręce na piersi. Nie wystarczyło mu, że ją odepchnął. Nie spocznie, póki nie odepchnie również wszystkich innych.

– Wasza Wysokość, ja jestem rycerzem – odpowiedział Wendell. – Rycerzem Moranglii.

– A w jaki sposób się nim stałeś?

– Złożyłem przysięgę.

– Ach, złożyłeś przysięgę. Na co przysięgałeś? Na miecz zrobiony z kabaczka? Nie jesteś wcale rycerzem, tylko zbzikowanym maniakiem. Jak zresztą wy wszyscy. – Podniósł głos. – No, przyznaj, że tym właśnie

jesteście. Przebieracie się za damy i rycerzy, bo waszemu własnemu, nędznemu życiu nie potraficie spojrzeć w twarz.

– Jesteś zazdrosny. – Izzy pokiwała głową. – Nie masz pojęcia, co oznacza bycie częścią czegoś takiego, i zazdrościsz nam.

– Komu mam zazdrościć? – zadrwił. – Tym ludziom? Założę się o dziesięć funtów, że sir Wendell wciąż jeszcze mieszka razem z mamusią.

Twarz Wendella spurpurowiała.

– Wielu kawalerów żyje w ten sposób, póki się nie ożenią.

– Ach, tak. A jak się przedstawiają pańskie perspektywy matrymonialne? Ma pan jakąś wybrankę? Narzeczoną? Niech się dowiem, czy przynajmniej obmacywał pan jakąś dzierlatkę.

Izzy nadepnęła mu na stopę.

– Przestań! Jeśli zamierzałeś się skompromitować i zniszczyć wszystko, nad czym dotąd pracowaliśmy, to wierz mi, udało ci się tego dokonać aż za dobrze!

Ransom nie zamierzał jednak zamilknąć.

– No, no, dalej! Proszę mi przyznać rację. Nigdy się pan nie całował z dziewczyną, prawda?

Biedny sir Wendell zaczerwienił się jeszcze mocniej.

Izzy nie posiadała się z gniewu.

A wtedy Abigail Pelham energicznie przeszła przez jadalnię, objęła zdumionego Wendella Butterfielda ramionami i pocałowała go prosto w usta.

– No, proszę! – powiedziała. – Teraz on już się całował z dziewczyną.

Izzy, choć w duchu triumfowała, uradowana odwagą Abigail, pociągnęła gwałtownie Ransoma za rękaw.

– Tego już za wiele. Przeproś go! Oni są nam potrzebni! A jeśli nawet ty postanowiłeś zniszczyć wszystkie swoje szanse, ja tych ludzi potrzebuję! Oni przyszli tu do mnie!

– Oni wcale nie przyszli tu do ciebie, tylko do dziewczynki o szeroko otwartych zielonych oczach i złotych włosach.

Och, Boże. Jego słowa ugodziły Izzy tak dotkliwie, że cofnęła się o krok.

– To ja przyszedłem do ciebie – powiedział, obejmując ją w talii. – Izzy, jeśli się pobierzemy, nieważne, co się ze mną potem stanie. Mogą mnie nawet zamknąć w Bedlam[1]. Jeśli nosisz w łonie moje dziecko, będę cię chronił. – Dotknął dłonią jej brzucha. – Obydwoje wiemy, że być może urodzisz mojego spadkobiercę.

Zniżyła głos do pełnego zgrozy szeptu.

– Nie mogę uwierzyć, że powiedziałeś coś takiego. Na głos, wobec wszystkich.

Nie ośmieliła się nawet spojrzeć na dziewczęta, nie mówiąc już o Abigail. Oczy zaszły jej łzami.

Tyle wysiłku. Tyle pracy. Tyle jej miłości. A dla niego nic to nie znaczyło. Odrzucił to wszystko. Miała nadzieję, że we dwoje zdołają stawić czoło jutrzejszej próbie – a tymczasem nie udało im się tego osiągnąć nawet tego wieczoru.

Najgorsze zaś ze wszystkiego było to, że zrujnował jej reputację w obecności jedynych przyjaciół, jakich miała.

– Musisz się uwolnić od tego, Izzy – powiedział, wskazując ruchem głowy na oniemiałych widzów. – A jeśli już o tym mówimy, oni także. Nie wyświadczasz im wcale przysługi, ukrywając prawdę. Czy się boisz, żeby się nie dowiedzieli, że te bajki to stek bzdur, wszystkie ich przysięgi i ślubowania są warte tyle co nic, a szczęśliwe zakończenia istnieją tylko w opowieściach twojego ojca? Mam nadzieję, że się o tym dowiedzą. Mogłoby to uratować jakiegoś innego człowieka w mojej sytuacji od bardzo wielu kłopotów.

Cofnęła się przed nim.

– A więc o to chodzi. Nie o *Opowieści na dobranoc* ani o twoich doradców. No i wcale nie o mnie. Tylko o twoją dumę i lady Emily

Riverdale.

Duncan zakaszlał donośnie.

– Lady Shemily Liverpail – poprawiła się. – Przepraszam. A więc chodzi o zemstę za to, prawda? Nie wystarczyło ci zrujnowanie reputacji małej, ukochanej przez całą Anglię dziewczynki. Chcesz się teraz ze mną ożenić tylko po to, żeby wyrównać rachunki.

Pokręcił głową.

– Nie chodzi tu o rachunki.

– Oszukujesz samego siebie. – Wymierzyła palec w jego pierś, dokładnie tam, gdzie powinno się znajdować jego serce. – Ona nie uciekła od ciebie z powodu opowieści mojego ojca, tylko dlatego, że traktowałeś ją obojętnie i bezdusznie. To, że jesteś teraz osamotniony, ociemniały i bezradny, jest winą jednej jedynej osoby w tej sali. Ciebie samego.

– Izzy…

Starła łzę z policzka.

– No i słusznie od ciebie uciekła. Zasługiwała na coś lepszego. Ja także.

22

Mężczyźni i kobiety wypełniający jadalnię stali w absolutnym milczeniu, gdy kroki Izzy ucichły. Ransom mógł jednak wyczuć ich zbiorowe potępienie.

Echo jej słów wciąż jeszcze wisiało pod sklepieniem.

„Zasługiwała na coś lepszego. Ja także”.

Szarpnął za halsztuk, rozluźniając dławiący go węzeł.

Poczuł jakiś rodzaj gorzkiej ulgi po usłyszeniu tych gniewnych słów i po uświadomieniu sobie, że wszyscy wokół niego się z nimi zgadzają. Kilka ostatnich dni pełnych ich życzliwej pomocy i gorliwych starań sprawiło, że poczuł się obco we własnym domu. Jak to możliwe, że tylu ludzi starało mu się pomóc, nie żądając niczego w zamian? Ledwie mógł poznać siebie samego.

Ale to poczucie izolacji i pustki…

Znał je dobrze. Był z nim oswojony od zawsze. Czuł je, zanim się nawet nauczył rozróżniać słowa. Serdeczność i współczucie nie były dla niego. Nikt go nigdy nie kochał, nikt go zresztą kochać nie mógł.

„Nie zasługujesz na to, chłopcze”.

Ransom nie zaprzeczyłby temu.

Gdy opuścił jadalnię, zmierzając do swojej garderoby, tylko Duncan poszedł w ślad za nim.

– Przygotuj mi kąpiel, najlepsze ubranie i spakuj resztę rzeczy. Wyjeżdżamy dziś wieczór.

– Do Szkocji?

– Nie. Do Londynu.

Ransom przeszedł przez pokój i zaczął zdejmować mankiety.

Musieli zaraz ruszyć do Londynu. A w Londynie on pójdzie prosto do banku zapłacić rachunki. Jeśli zaś jego zdradzieccy doradcy zablokowali mu już konto, uda się do klubów, których wciąż jeszcze był członkiem, i będzie żebrał o możliwie dużą pożyczkę.

Cokolwiek uda mu się zgromadzić, dostanie Izzy. Nie musiała go ani lubić, ani tym bardziej kochać – ale chciał się upewnić, że jest zabezpieczona.

– Czy Wasza Wysokość – zaczął Duncan – jest pewna, że to mądre…

– Zamknij się! – uciął Ransom. – Nie chcę żadnych mądrych rad. Nie jesteś moim wychowawcą, tylko służącym.

– Sądziłem, że awansowałem na kamerdynera.

– Zostałeś w takim razie zdegradowany. Przygotuj mi kąpiel. Ubranie. Pakuj bagaże.

Ransom rozebrał się, słysząc syczenie kociołka i szurgot wanny przesuwanej po posadzce ku kominkowi.

Gdy wszystko wydawało się już gotowe, wymacał wannę i zanurzył się w niej, oczekując na polanie pleców ciepłą wodą.

A tymczasem wylano mu prosto na głowę całe wiadro lodowatej.

Zaczął parskać.

– Co, u dia…

– Zechce pan przyjąć moją rezygnację, Wasza Wysokość.

– Przecież nie możesz odejść.

– Jak najbardziej mogę. Moją pensję ustalono całe lata temu. Trzymałem się jednak tego miejsca z najgłupszego powodu. Chodziło o moje przyrzeczenie sprzed wielu lat. Ale dziś, w jadalni, dał mi pan jasno do zrozumienia, że przysięgi i śluby wierności są warte… nie mogę sobie przypomnieć… zdaje się, że tyle co nic.

Ransom starł lodowate krople z twarzy.

– O czym ty mówisz? Przecież nigdy nie składałeś żadnej przysięgi. Nie ma żadnego Przyrzeczenia Sługi ani Orderu Wykrochmalonego Halsztuka.

– Nie przyrzekałem panu, tylko jej.

– Pannie Goodnight?

– Nie. Pańskiej matce. Obiecałem pańskiej umierającej matce, że będę nad panem czuwał. To niedorzeczne, prawda? Całkiem jak w bajce.

Ransom odetchnął z wolna.

A więc nie dość, że stał się przyczyną śmierci matki, musiał jeszcze zrujnować życie Duncanowi. Dobrze o tym wiedzieć.

No cóż, tej torturze mógł szybko położyć kres.

– Uważaj się za zwolnionego z tego przyrzeczenia.

– Och, jak najbardziej, Wasza Wysokość.

Kolejna porcja lodowatej wody oblała Ransomowi głowę.

– Jest pan głupcem – powiedział Duncan tonem, jakiego Ransom nigdy od niego nie słyszał. – Widziałem już, jak pan pije, oddaje się rozpuście i wszelkim innym niegodziwościom. Nigdy jednak nie widziałem, żeby pan postąpił bardziej nierozumnie niż dzisiaj. Jeśli pan pozwoli tej dziewczynie odejść, będzie pan doprawdy ostatnim osłem.

Ransom zatrząsnął się cały. Zęby zaczęły mu szczękać.

– W te…ten spo…sposób będzie le…piej.

– Lepiej? – Kolejny kubełek zimnej wody rozprysnął się na jego plecach. – Dla kogo?

– Dla niej. – Otarł twarz z wody. – Dla Izzy. Słyszałeś ją. Ja nniee… zasłu…guję na nią.

– Jasne, że nie. Żaden mężczyzna nie zasługuje na taką kobietę. Musiałby zastawić diabłu własną duszę, żeby ją zdobyć, a potem spłacać ten dług przez całe życie.

– Wkrótce nie będę miał ani grosza. Nie zamierzam pociągnąć ciebie, jej i wszystkich innych w przepaść za sobą.

Duncan milczał przez dłuższą chwilę.

– Wie pan, że ona pana kochała.

Kochała. Dziwne, jak czas przeszły może złamać czyjeś serce.

– Często musiałeś chyba rozmawiać z panną Goodnight.

– Nie mówię o pannie Goodnight, tylko o zmarłej księżnie.

Ransom zesztywniał aż do bólu na tę wzmiankę.

– Druga kobieta, dla której byłoby lepiej, gdybym się nie urodził.

– Byłem wtedy tylko młodym lokajczykiem, najęto mnie do tej pracy, kiedy jeszcze nosiła pana w łonie. Wszyscy w domu chodzili koło niej na palcach. Podobno rok wcześniej urodziła martwe dziecko. Doktorzy ostrzegali, jak mówiono wśród służby, że księżna może nie przeżyć kolejnego połogu.

Urodziła martwe dziecko rok wcześniej?

Ransom nigdy o tym nie wiedział.

– Ale ona chciała podjąć ryzyko – ciągnął Duncan. – Ogromnie pana pragnęła. Kiedy poród się skończył, posłano mnie, żebym zabrał torbę doktora z jej pokoju. Wyciągnęła wtedy rękę i chwyciła mnie za ramię. – Stary służący odkaszlnął. – „Obiecaj mi”, powiedziała. „Obiecaj, że będziesz go kochać”.

Ransom zamarł bez ruchu.

– Była na wpół przytomna – mówił dalej Duncan. – Już umierała. Wiedziałem, że pomyliła mnie z księciem. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć, a nie było już czasu, żeby go wezwać. Książę nie powiedziałby jej zresztą tego, co chciała usłyszeć.

No pewnie, że nie zrobiłby tego. Jego ojciec aż do śmierci pozostał zimnym, bezlitosnym nędznikiem.

– Ale ja nie mogłem pozwolić, żeby młoda księżna umarła zgnębiona. Powiedziałem jej więc, że przyrzekam. Obiecałem okazywać dziecku miłość. No i przez trzydzieści lat robiłem, co mogłem, żeby tego przyrzeczenia dotrzymać.

O Boże. Gdzież jest kolejne wiaderko zimnej wody, którego mu było trzeba, żeby nikt nie widział tych innych kropel na jego twarzy?

Ransom skulił się w wannie, podciągnął kolana pod samą brodę i przetarł twarz obiema rękami. Niańkom i wychowawcom zabroniono okazywać mu życzliwość. Ale kto mu asystował, mył go po każdej nocy rozpusty, zaszywał mu ranę, pomagał mu się wcisnąć w nieskazitelnie dopasowane fraki, ciaśniejsze niż matczyne objęcia?

Kto czuwał nad nim przez te siedem miesięcy, kiedy znajdował się na granicy śmierci?

Duncan. Przez cały czas.

– Teraz? – wydusił z siebie z trudem. – Teraz mi to mówisz?

– Nigdy przedtem nie myślałem, że jest pan gotów to usłyszeć. No i miałem rację.

– Ale… dlaczego? Nie ma takiej pensji, która by ci mogła wynagrodzić trzydzieści lat służby u mnie. Nie dałem ci zresztą powodu, żebyś mi był oddany.

– Pewnie, że nie. Dotrzymywałem przyrzeczenia przez trzydzieści lat, bo nadawało mojej pracy jakieś znaczenie. A także zaszczyt. Niewielki zaszczyt należny słudze, lecz tak czy owak zaszczyt. Ale pana zdaniem zmarnowałem całe życie. Bo moje przyrzeczenie było tylko jedną z nic niewartych przysiąg. Teraz, kiedy pan mnie z niego zwolnił… – Duncan nabrał głęboko tchu – osiądę pewnie na resztę życia w jakimś małym domku na irlandzkim wybrzeżu. Cieszę się na to.

Ransom szukał wokół siebie ręcznika lub ubrania. Nie znalazł niczego.

– Gdzie moja koszula?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. To już dłużej nie należy do moich obowiązków. Ale mogę udzielić Waszej Wysokości jednej rady na odchodnym… Nie ma pan wyboru. Jeśli ktoś panu ofiarowuje miłość albo przyjaźń, trzeba je przyjąć. Nawet od rycerza w zbroi z tac do herbaty.

Ransom był teraz ślepy, nagi, mokry i drżący. A także całkiem osamotniony, jak wtedy, gdy przyszedł na świat.

Pozostawało mu jedynie zacząć od nowa.

A także próbować wszystko odzyskać.

Izzy krążyła po swojej sypialni przy świetle jedynej świecy.

Znów spojrzała na zegar. Wpół do trzeciej w nocy. Tylko dziewięć minut minęło od czasu, kiedy po raz ostatni sprawdzała godzinę.

Gdzież, na miłość boską, mógł pójść Ransom? Sam, w nocy? Duncan dał się jej jakoś uprosić i poszedł go szukać. Obaj powinni byli wrócić już dawno temu. Teraz musiała się martwić o obydwóch.

Miotała się pomiędzy złością na Ransoma za to, że uciekł, a strachem, że przytrafiło mu się coś okropnego. Powtarzała sobie jednak, że w końcu był dorosłym mężczyzną, a Magnus wiernym przewodnikiem. Nie gwarantowało to jednak zabezpieczenia przed wypadkiem lub zranieniem. A gdyby zabłądził? A gdyby wpadł do strumienia?

A gdyby udał się do Szkocji z którąś ze Służek Kresydy? Nie wiedziała, czy mogłaby go za to winić po wszystkich tych swoich gniewnych słowach.

O Boże. Ta niepewność ją zabijała. Może powinna sama pójść na poszukiwanie? Mogła wziąć ze sobą lampę i zabrać Śnieżynkę.

Sięgnęła po płaszcz i buty. Nie była w stanie siedzieć bezczynnie.

Palce jej drżały, gdy rozsznurowywała pantofle. Nie wiedziała, czemu nigdy tego nie robi, kiedy już je zdejmuje pod koniec dnia. Świadczyło to o lenistwie. Nigdy nie żałowała tego bardziej niż w tym momencie.

Kiedy już podjęła decyzję, że pójdzie go szukać, jej strach wzmógł się jeszcze bardziej. Inaczej jednak niż wtedy, gdy bała się ciemności, teraz miał on wyraźny kształt.

Nie był już bowiem wyimaginowany. Bała się szczerze o bezpieczeństwo kogoś, na kim jej zależało. Kogoś, kogo kochała. Nieważne, że zmarnował

dziś całą jej ciężką pracę i przyszłe szczęście. Jeśli błąkał się gdzieś w mroku, musiała mu pomóc.

A wtedy – właśnie gdy rozplątywała sznurowadła drugiego pantofla – usłyszała hałasy na dziedzińcu. Rzuciła się pędem ku oknu.

Och, dzięki Bogu.

Wrócił do domu.

Wrócił do domu, wsparty ramieniem na barkach Duncana, i… zanosił się od śmiechu.

Śmiał się?

Jej strach zniknął, a zamiast niego wstąpiła w nią dzika furia.

Popędziła w dół po schodach i wpadła do wielkiego holu akurat w chwili, gdy obaj tam wchodzili.

Objęła się rękami, żeby pohamować drżenie całego ciała.

– Umierałam z niepokoju! Gdzieś ty był?

Duncan zrozumiał, że powinien się wycofać.

– Mam akurat coś… – wskazał nieznacznie na sufit – do wyprania i muszę…

– A więc proszę tam pójść – jęknęła Izzy.

Zrobił to bardzo chętnie.

– No i? – spytała, obejmując się rękami jeszcze mocniej. – Gdzieś ty był?

– Ja… – Ransom wykonał szeroki gest dłonią – szukałem sobie przyjaciół.

Przyjaciół? Nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby powiedział „poszedłem polować na jednorożce”.

– Gdzie ich szukałeś? Z kim się chciałeś zaprzyjaźnić?

– Zacząłem od plebanii. Wendell Butterfield bawił tam na obiedzie u Pelhamów. A po pewnym czasie poszedłem do wiejskiej gospody. Kiedy ją zamknięto, udałem się z kolei do mocno niechlujnej tawerny. Nazywa się bodaj Pod Piżmowym Knurem. Urocze, choć nieco duszne pomieszczenie,

pełne ciekawych typów. Ale co najwyżej jeden lub dwóch z jej gości umiało czytać.

– Czytać?

– O, tak. Widzisz, właśnie na tym mi zależało. Przez cały wieczór przenosiłem się to tu, to znów tam, bo chciałem, żeby mi coś czytano na głos, a nie mogłem prosić o to ciebie. Coś ważnego.

– Cóż to było?

– *Opowieści na dobranoc*.

Poczuła się tak, jakby ktoś podciął jej nogi.

– Och, nie.

– Och, tak. Dzisiaj stało się dla mnie jasne, że jeśli mam cię zrozumieć, zasłużyć na ciebie, a przynajmniej odzyskać cię, to muszę się dowiedzieć, o czym właściwie jest tam mowa. A teraz, dzięki Abigail, Wendellowi Butterfieldowi i uprzejmym właścicielom knajp poznałem całą tę sagę. Od początku do końca. Rzecz jasna, ona nie ma zakończenia. Muszę ci teraz zadać parę pytań.

Nie. Nie!

Oby tylko nie Ransom! Nie ten jedyny człowiek, który nie traktował jej jak naiwnej dziewczynki, tylko jak dorosłą kobietę. Piękną kusicielkę z ciekawymi pomysłami, zmysłową i bystrą.

Teraz, kiedy już wszystko przeczytał, stanie się taki, jak lord Archer, Abigail i wszyscy inni.

Izzy cofnęła się pospiesznie, zanim mógłby zrobić coś katastrofalnego. Na przykład pogłaskać ją po głowie albo poczęstować słodyczami.

Wyrecytował melodyjnie:

– „Zgaś światło, moja droga Izzy, a ja ci coś opowiem”.

Zdusiła w sobie chęć płaczu.

– Jak możesz?

– Jak mogę? A ty jak mogłaś? Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Muszę przyznać, że wszyscy ci ludzie, którzy piszą do ciebie takie mnóstwo

listów, budzą we mnie pewne współczucie. Nic dziwnego, są chyba nieco zbzikowani! Ulryk wisi na parapecie już od ponad roku, a Kresyda wciąż jeszcze tkwi w wieży… Musisz mi zdradzić, kim jest Mroczny Rycerz. Przynajmniej tyle. Mam co do tego swoją teorię, ale…

Ukryła twarz w dłoniach.

– Co za okropność! Przynajmniej ty mnie o to nie nękaj.

– Owszem, ja także będę teraz tak robić, bo jestem już Moranglianinem czystej krwi. Nawróconym wielbicielem *Opowieści na dobranoc*. – Wyciągnął się na sofie, założył ręce za głowę i skierował twarz ku sufitowi. – Uprzedzałaś mnie, że pierwsze odcinki są najgorsze. Przyznaję ci rację. Robią po większej części wrażenie niedojrzałych. Na ogół można się bez trudu domyślić, co będzie dalej.

– Można się domyślić? – Wbrew wszelkiej logice, Izzy poczuła się nieco urażona.

A Ransom ciągnął dalej:

– Ale potem, po drugim porwaniu Kresydy, coś się w nich zaczyna zmieniać. Całkiem, jakby dobra whisky dojrzała w baryłce. Wątki zaczynają się pogłębiać, uczucia przedstawiane są wnikliwiej, obrazowanie staje się coraz żywsze. Mógłbym sobie wyobrazić całą akcję tak jasno, jakby rozwijała się przed moimi oczami. Zaskoczyło mnie jednak zakończenie, a raczej jego brak. Przykuło mnie wprost do stołka w tawernie. Poczułem niemalże chęć utożsamienia się z Ulrykiem. Nie mówiąc już o tym, że wyraźnie przywiązałem się do Kresydy.

Izzy zaszlochała desperacko.

– Ale największe zdumienie wzbudziło we mnie coś innego niż bohaterowie i akcja. – Siadł na sofie, zwracając się twarzą ku niej. Ciemne oczy zdawały się przenikać ją na wskroś. – To się wiązało z tobą.

Serce w niej zamarło.

Och, Boże. On wiedział.

– No i – powiedział, potwierdzając jej najgorsze podejrzenia – znam teraz prawdę.

A więc to tak. Trzynaście lat ukrywania prawdziwego autorstwa przepadło. Wiedział wszystko.

Izzy mogła na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

Ucieczką.

23

Izzy z bolesnym westchnieniem rzuciła się do ucieczki. Wybiegła pędem z wielkiego holu i zaczęła gorączkowo wspinać się po krętych schodach.

– Izzy!

Nie zatrzymała się.

Ruszył w pogoń za nią.

– Izzy, stój! Nie uciekaj, do licha. Nie zdołasz mi nigdzie uciec!

Zatrzymała się raptownie w korytarzu, wsparta dłonią o ścianę.

Miał rację. Lady Emily Riverdale uciekła od niego. A zrobiła to, naśladując opowieści pisane przez Izzy. No i zrujnowała mu życie.

Jeśli Izzy mogła dać Ransomowi jakieś zadośćuczynienie, to właśnie takie. Szansę, żeby stanął z nią twarzą w twarz.

Poniechała więc ucieczki. Musiała zmierzyć się z prawdą.

– Ja… ja nie mogę sobie nawet wyobrazić, co ty musisz przeżywać w tej chwili.

– Och, myślę, że możesz.

Chwycił ją wpół i skierował się ku najbliższemu pomieszczeniu, a był to akurat urządzony na nowo, nieużywany jeszcze pokój książęcy.

Zamknął za sobą drzwi kopnięciem.

– W końcu to ty wymyśliłaś te niezwykłe historie, a więc na pewno potrafisz sobie wyobrazić mnóstwo innych rzeczy – mówił i jednocześnie popychał ją ku łożu. – Chyba więc jesteś w stanie wejść w moje położenie, najpierw na plebanii, potem w gospodzie, a wreszcie w tej lepiącej się od

brudu tawernie. Doszedłem w końcu do wniosku, że autorem wszystkich tych opowieści nie był wcale sir Henry Goodnight, tylko ty. Od samego początku.

Kant materaca uderzył ją boleśnie pod kolanami i padła na łóżko. On zaś padł na nią, zamykając ją, jak w klatce, w swoim uścisku, przygważdżając jej ciało swoim ciężarem do materaca.

– Powiedz mi więc – spytał z powagą – czy możesz sobie wyobrazić, co czułem? Czy potrafisz nazwać to intensywne uczucie, które wypełniło moją pierś aż do bólu?

– Gniew? – próbowała się domyślić. Czuła, że jest bliska zemdlenia.

Pokręcił głową.

– Pomyłka.

– Wściekłość?

– Znowu pomyłka. – Dotknął jej warg, obwodząc je dokoła kciukiem. – To była… duma. Och, moja Izzy. Stałem się wręcz niesłychanie dumny z ciebie. Po prostu pęczniałem cały z dumy.

Serce jej po raz kolejny zamarło.

– Czyżbyś był… – Zdusiła w sobie szloch. – Jakże mogłeś być dumny ze mnie?

– Przestań pleść bzdury. Nie udawaj dłużej. Nie przede mną. – Starł z jej twarzy łzę. – Byłem dumny z tego, że ty to napisałaś. Sama!

– Owszem, a to znaczy, że z mojej winy lady Emily dała się uprowadzić; że zostałeś ranny i straciłeś wzrok; że teraz grozi ci utrata wszystkiego. To wszystko przeze mnie.

– A ja mogę powiedzieć tylko tyle – Ransom odetchnął głęboko – że jestem ci niesłychanie wdzięczny.

– Chyba nie mówisz serio?

– Ależ tak! Gdybyś nie nauczyła Emily Riverdale, tej głupiej trzpiotki, marzyć o miłości, nie zyskałbym szansy, by samemu w nią uwierzyć. Nie znalazłbym się tutaj. Nie spotkałbym ciebie. A gdybym cię nawet spotkał,

byłbym zbyt arogancki i wyrachowany, żeby się do ciebie kiedykolwiek zbliżyć.

Ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi.

– Izzy, zawdzięczam ci wszystko. Jesteś moim sercem, moim prawdziwym życiem. Nie opuszczaj mnie nigdy.

– Nigdy tego nie zrobię – powiedziała, obejmując go mocno. – Jeśli zgodzisz się, żebym na zawsze została twoja, nigdy nie pozwolę ci odejść.

Pocałowali się głęboko, czule, powoli. Całkiem, jakby czas przestał dla nich istnieć.

– Przepraszam cię za wszystko, co robiłem wcześniej – powiedział. – A także za głupstwa, które wygadywałem. Zrujnowałem całą twoją pracę w paskudny sposób. Co gorsza, zniszczyłem też wszystkie własne plany.

Zmarszczyła czoło.

– A jakie plany miałeś?

– No cóż, zaczynając od tego, że… – uniósł się na łokciu – zamierzałem uwieść cię dziś wieczorem w tym łożu.

Izzy z trudem przełknęła ślinę.

– Czy ten plan uległ zmianie?

Błagam, powiedz, że nie. Że nie, prosiła go w duchu.

– Owszem. – Uniósł się jeszcze bardziej, a potem usiadł na niej okrakiem. – Nie sądzę, żeby to wymagało uwodzenia. Przypuszczam, że dojrzałaś do zniewolenia.

Przebiegł ją dreszcz. Coś w niej ogromnie pragnęło, żeby to on przejął nad nią kontrolę. I to od razu. Odkąd skończyła trzynaście lat, odpowiadała za całe gospodarstwo domowe. Przez wszystkie następne lata gorączkowo pisała opowieści, żeby zarobić na chleb i na olej do lampy. A potem żyła w nieustającym napięciu, starając się, żeby nikt poza nią o tym nie wiedział. Zawsze liczyła się ze słowami w każdej rozmowie, zaciskała kurczowo palce i gryzła się w język. Upewniała się, że nikt nie jest na tyle wnikliwy,

by się domyślić prawdziwego autorstwa. Musiała czuwać nie tylko nad rodzinnymi dochodami, ale też nad marzeniami i nadziejami tysięcy ludzi.

Przez cały czas tęskniła jednak za kimś, kto mógłby czuwać nad nią. Marzyła o mężczyźnie na tyle mocnym, by ją chronił, i na tyle śmiałym, by zrozumiał, kim naprawdę była. O takim, który zapragnąłby jej dla niej samej.

Długo, przez całe życie, czekała na zniewolenie.

Ale to nie mogło się stać tej nocy.

Kiedy więc splótł swoje ręce z jej dłońmi i przygniótł ją swoim ciałem na łóżku, zaprotestowała.

– Nie!

Zdumiał się.

– Nie?

– Nie w ten sposób. Nie mogę ci teraz na to pozwolić.

Skorzystała z jego zaskoczenia i przekręciła się na łożu w taki sposób, że to ona była teraz na nim.

– Tej nocy – oznajmiła stanowczo – to ja zniewolę ciebie.

Miałaby go zniewolić?

Ransom bez przekonania próbował zaprotestować. Wymruczał kilka niewyraźnych słów sprzeciwu, ale własne ciało zdradziło go.

– Wiedziałam, że tego chcesz – szepnęła, unosząc do góry suknię, żeby usiąść na nim.

A on naprawdę tego chciał. A nawet bardzo pragnął.

Nie wiedziała, jak wiele dla niego znaczyło, że pchnie go na łóżko, rozbierze ze wszystkiego, a potem będzie dotykać. Pieścić. No i najważniejsze ze wszystkiego – całować. Wszędzie. Bez oczekiwania na rekompensatę. Ani na wzajemność. Był to wyłącznie wybuch jej namiętności. Jej wspaniałego serca.

Całowała go wszędzie. Wszędzie.

Uznał za zachwycające, że wybrała kilka specjalnych miejsc, by je dotykać wargami. Wewnętrzną stronę łokcia. Kanciasty podbródek. Muskularne łydki.

A przez cały czas jej miękkie, sprężyste włosy przesuwały się po jego skórze niby tysiące czułych palców.

Całowała, rzecz jasna, i jego wargi, wnikając w nie głęboko językiem, policzki oraz skronie – i tę nietkniętą, i tę okaleczoną. A także wrażliwe miejsce tuż pod uchem. Przesuwała językiem wzdłuż jego piersi i…

…i zatrzymała się przy pępku.

Do licha.

Nie chciał jej zmuszać do tego. Ale ona już dotykała go tam ustami, tak samo jak przedtem w każdym innym miejscu, a jego przyrodzenie samo się wyprężyło ku jej dotknięciu, boleśnie wręcz pragnąc jej pocałunku. A nawet skacząc gwałtownie, jak zwierzę na uwięzi.

W końcu ujęła je w dłoń i przywarła wargami do samego czubka. Ośmielona jego jękiem rozkoszy, zrobiła tak jeszcze raz. I jeszcze raz, tym razem sunąc po nim delikatnie językiem.

– Pokaż mi – wyszeptała. – Pokaż mi, co mam robić.

Nie mógł się oprzeć temu zaproszeniu. Ujął ją za włosy i nakierował jej głowę tak, by wzięła je w swoje ciepłe, wilgotne, zachwycające usta i przesuwała je to w górę, to w dół. Nie potrzebowała wielkiej zachęty. Gdy raz uchwyciła już rytm, puścił jej włosy i pozwolił jej głowie opaść na poduszkę, delektując się błogostanem.

Wzięła go głęboko do ust po raz ostatni, a potem prześlizgnęła się językiem po wrażliwym spodzie. Jęknął, prosząc ją bez słów o łaskę.

– Czy jesteś gotów, żeby cię zniewolić? – spytała.

– Tak – odparł przez zaciśnięte zęby. – I to bardzo.

Wdrapała się na niego, otaczając go nogami, a potem, uniesiona nad nim, wsunęła czubek jego męskości tam, gdzie desperacko wprost pragnął się znaleźć.

Dobry Boże. Ona go po prostu zabijała.

– Izzy – wyjąkał zduszonym głosem – teraz. Zrób to teraz. Błagam cię.

– Wiesz, na jakie słowo czekam.

Czy wiedział?

Och, tak. Chyba wiedział. Co z niej była za psotnica.

– Proszę. – Sięgnął ku niej. Wplótł jedną dłoń w rozwichrzone, kręte włosy i powtórzył jeszcze raz: – Proszę.

Osunęła się na nim, powoli, gładko, biorąc go całego w siebie. Do końca.

Tak długo, jak mógł wytrzymać, pozwolił jej narzucić tempo. Kołysała się na nim w łagodnym, falującym rytmie, który wystawiał jego cierpliwość na ciężką próbę.

A kiedy cierpliwość ta już się wyczerpała, chwycił ją za biodra, dając jej sygnał, żeby zaczęła poruszać się szybciej i energiczniej. Wsparł stopy na łożu i unosił biodra ku górze, wychodząc jej naprzeciw.

Osunęła się w przód, a wtedy poczuł na sobie miękkość jej piersi, które zetknęły się z jego torsem.

Trzymał ją w ramionach mocno, utrwalając w pamięci każdy jej oddech i westchnienie rozkoszy. Wstrzymywał się jak najdłużej, unosząc ją coraz wyżej i wyżej, póki nie zadrżała gwałtownie i nie padła w jego rozwarte ramiona.

A gdy już osiągnęła spełnienie, osiągnął również i on. Stali się jednością i było to czymś zachwycającym. Czymś absolutnie doskonałym.

Boże, jak on ją kochał.

Obejmując ją jak najmocniej, przekręcił się na bok i przytulił jej głowę do piersi. Przywarła do niego cała, zwijając się w kłębek w jego uścisku.

Wsparł podbródek na czubku jej głowy.

– Chcę ci zadać jedno pytanie – powiedział. – Nigdy przedtem nie pytałem o to żadnej kobiety. Wymaga ode mnie wielkiej odwagi już samo poruszenie tego tematu, proszę cię więc, zastanów się dokładnie nad odpowiedzią.

– Cóż to takiego?

– Izzy, serce moje… – zaczął, gładząc czułym ruchem jej włosy rozsypane na poduszce – czy usmażysz mi naleśnika?

24

Gdy świtało, Izzy zbudziła go. Sprawiło jej to przykrość. Taki był piękny, ze swoim smagłym ciałem wplątanym bezwładnie w wykrochmaloną białą pościel i puchowe poduszki.

Wyglądał na uspokojonego.

Ten dzień zapowiadał się jednak co najmniej niełatwo. Ransom nie mógł spać dłużej.

Potrząsnęła go za ramię.

Drgnął gwałtownie.

– Co się stało?

– Zbudź się i ubierz. Dziś przyjeżdżają doradcy. Nie wiem, gdzie się podział Duncan, ale z pewnością wkrótce wróci.

– Izzy, na litość boską. Niech diabli wezmą doradców. Duncan wymówił mi pracę. Myślę jednak, że jakoś sobie z tym poradzimy. Nie mam zamiaru dłużej ukrywać, kim jesteśmy teraz dla siebie.

– Nie ukryję tego i ja. – Opadła koło niego na łóżko i rozwichrzyła mu włosy. – Pragnę jedynie, żebyś się pospieszył. Jeśli chcesz naleśnika, musisz zaraz wstać.

– Och, w takim razie zgadzam się.

Kilka minut później, w zmiętym ubraniu, ale z uśmiechem, zszedł na dół do kuchni.

Izzy rozpaliła ogień i zaczęła wyjmować miski z kredensu.

– Jak się domyśliłeś prawdy?

– Chodzi ci o to, w jaki sposób ją poznałem? Już od dłuższego czasu miałem pewne podejrzenia. Opisywałaś zachód słońca jako agonię wojownika, czytałaś modulowanym głosem. Kiedy wreszcie poznałem treść tych opowieści, wszystko stało się oczywiste. Izzy, nie powinnaś już dłużej ukrywać swego autorstwa ani udawać, że pisał to twój ojciec.

Bardzo dobrze. Nie chciała dłużej udawać. Nie wobec niego.

Inni nie musieli wcale znać prawdy, ale też ona nie mogła zaprzeczyć, jak ważne było, że Ransom wszystko odgadł. Zdołał się wznieść ponad pozostałych czytelników – i ujrzał ją. Prawdziwą Izzy.

– Naprawdę ci się podobało? – spytała. Było to najbardziej niemądre pytanie, jakie mogła mu zadać, i skarcił ją za nie należycie.

Pociągnął za kosmyk jej włosów.

– „Podobało się” nie jest właściwym określeniem.

Ciekawa była, jakie w takim razie może być właściwe. Czy podziwiał jej pisarstwo? Zachwycał się nim? Lubił je? Uwielbiał?

Wmawiała sobie, że nie potrzebuje wcale tego wiedzieć, ale w głębi duszy czuła, że ogromnie chciałaby usłyszeć jego opinię.

– Czemu mi tego nie powiedziałaś? – spytał. – No i czemu nie powiesz tego innym? Gdybym ja napisał najpopularniejszą angielską książkę, nigdy bym nie przestał się tym chlubić.

Czy on stracił rozum?

– Oczywiście, że nikomu bym tego nie powiedziała. Zniweczyłabym w ten sposób powszechny zachwyt i zrobiłabym z ojca oszusta.

– Ależ twój ojciec nim był! Tchórzliwym, bezwstydnym oszustem, który przywłaszczył sobie całą sławę, jaka ci się należała za tę ciężką pracę.

Pokręciła głową, sięgając do kredensu po jajka.

– Z początku właśnie on mnie chronił. Byłam za młoda. Wydawcy nawet by nie rzucili okiem na *Opowieści*, gdyby wiedzieli, że pisała je trzynastolatka. Nie chciałam zresztą ani zwracać na siebie powszechnej

uwagi, ani mieć wielbicieli. Podziw czytelników uszczęśliwiał ojca. Mnie radość sprawiało samo pisanie.

– Póki ojciec nie umarł, a ty nie straciłaś wszystkiego. Czy nie brak ci teraz pisania?

– Oczywiście. Strasznie mi go brak. – Nawet dziś, przeszło rok później, miała bolesne poczucie straty, które nigdy jej nie opuszczało. – Ale jakże mogłabym ciągnąć wszystko dalej? Gdybym usiłowała twierdzić, że to dzieło ojca, zysk należałby się Martinowi. Gdybym spróbowała wydać tekst pod własnym nazwiskiem, wydawca odesłałby mi rękopis. Najpewniej nie czytając go wcale.

– Jakże mogłabyś mieć pewność, że tak zrobi, skoro nie podjęłaś żadnej próby?

– Nie rozumiesz tego, bo utraciłeś wzrok.

Gwałtownie pokręcił głową, słysząc ten afront.

– Nie rozumiem, co moja ślepota ma z tym wspólnego.

– Wszystko. – Westchnęła.

Żaden mężczyzna nie traktował jej tak jak on. Była drobna, niełądna i nic nie znaczyła. Ale jej słowa wydrukowane na papierze znaczyły o wiele więcej. Mogły mieć na ludzi wpływ, mogły budzić podziw. A nawet mieć potężny rezonans.

Ale tylko wtedy, kiedy nie były jej słowami.

Pogodziła się w końcu z tym, że tak byłoby zawsze. Robiła korzystne wrażenie tylko wtedy, gdy jej nie widziano. Właśnie dlatego opisała się jako zielonooką i złotowłosą. Prawdziwa Izzy nie była dość dobra.

Aż do tej pory. Bo prawdziwa Izzy okazała się całkiem dobra – dla niewidomego Ransoma. Nigdy nie będzie wiedział, jak wiele to znaczyło. Postara się mu to uświadomić.

Uwolniła ramię z jego uścisku.

– Pozwól, żebym ci usmażyła tego naleśnika.

Nasłuchiwał dźwięków wybijania jajek do miski.

– Kto cię nauczył robić naleśniki? Kucharka?

– Nie było żadnej kucharki. – Roześmiała się. – Jedyne pieniądze, jakie ojciec zarabiał, pochodziły od garstki wychowywanych przez niego uczniów. Póki *Opowieści* nie odniosły sukcesu, nie mieliśmy nigdy pieniędzy na służbę. – Nalała do miski mleka, przesiała miarkę mąki i zaczęła ubijać wszystko łyżką. – Ani na kucharkę, ani na służącą, ani na guwernantkę. Zawsze żyliśmy tylko we dwoje, ja i papa. Nauczyłam się robić mnóstwo rzeczy, ale smażenie naleśników lubiłam najbardziej.

– A więc spędziłaś dzieciństwo jako własna kucharka, służąca i guwernantka. Potem zaś w wieku trzynastu lat stałaś się żywicielem rodziny. – Objął ją mocno. – Kusi mnie, żeby wyjąć ci z ręki łyżkę i wyrzucić ją przez najbliższe okno. Nie powinnaś już nigdy więcej robić naleśników.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

– Ależ to co innego. Sprawia mi przyjemność robienie ich dla ciebie.

Objął ją jeszcze mocniej, gdy dodała do miski szczyptę soli i cukru.

A wtedy postanowiła – właśnie w tej kuchni – że chciałaby się z nim podzielić również czym innym.

– Czy miałbyś ochotę na dalszy ciąg? Chciałbyś poznać prawdziwą tożsamość Mrocznego Rycerza?

– Nie żartujesz? – Przycisnął ją do siebie. – Dałbym za to prawie wszystko. Oczywiście prócz naleśników.

– A zatem Ulryk wisi uczepiony parapetu. Gdy tylko zaczyna się podciągać ku górze, Mroczny Rycerz wyciąga z pochwy miecz i jednym ciosem odcina mu jedną rękę.

Ransom skrzywił się.

– Ależ masz krwawą wyobraźnię.

– No i teraz Ulryk zawisa tylko na jednej ręce, wśród deszczu i wiatru. A musi przezwyciężyć nie tylko ciężar swego ciała, ale i zbroi. To za wiele.

Dłoń zaczyna mu słabnąć. Wszystko zmierza do kresu, a zarówno Ulryk, jak i Mroczny Rycerz wiedzą o tym.

Odstawiła na bok miskę z ubitymi jajkami, dając Ransomowi oblepione cukrem palce do oblizania, i ciągnęła dalej:

– „»Powiedz mi jedno – mówi Ulryk, gdy trzyma się parapetu już tylko dwoma palcami, a nie trzema – nim mi zadasz śmierć, wyjaw, kim jesteś«. Wtedy Mroczny Rycerz unosi przyłbicę hełmu, odsłaniając aż za dobrze znane Ulrykowi oblicze, i oznajmia – tu Izzy zniżyła głos – »jestem twoim bratem«”.

Ransom wypuścił jej palce z ust.

– Nie!

– Tak.

– Nie!

– Ależ tak! To wcale nie jest zbyt zaskakujący zwrot akcji. Pełno jest podobnych motywów w większości literatury tego typu. Błędni rycerze zawsze muszą stawić czoło mścicielowi, który okazuje się ich ojcem, bratem lub dawno utraconym synem.

Wrzuciła kawałek masła na rozgrzaną patelnię i polała ją obficie ubitą wcześniej mieszaniną.

– Sądziłem, że brat Ulryka zginął podczas krucjaty.

– Ulryk też tak myślał. Uważał, że Godryk zginął na polu bitwy, ale on przeżył. Powrót do Anglii zajął mu całe lata, a wraz z każdym krokiem marzył o zemście na bracie, który porzucił go na pewną śmierć.

Ransom pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Następnym razem powiesz mi, że Kresyda to ich siostra.

– Miałaby być ich siostrą? O Boże, nie! Co mogło sprawić, że wpadłeś na taki pomysł?

– Musisz przyznać, że byłaby to niezła niespodzianka.

Prychnęła z niesmakiem, przewracając naleśnik na drugą stronę.

– Nie mogą być rodzeństwem, bo się całowali.

– Niezbyt namiętnie.

– Ale to był w końcu pocałunek. Nie są bratem i siostrą. – Zaśmiała się. – Co za pomysł!

Zrzuciła gotowy naleśnik na przygotowany wcześniej talerz. W tejże chwili drzwi kuchni skrzypnęły, a Izzy podniosła wzrok znad patelni na tyle szybko, by ujrzeć znajomą twarz w obramowaniu błyszczących złotych włosów.

– A, tutaj jesteś, Izzy!

Abigail.

Izzy przygryzła wargę, niepewna, co też córka proboszcza może teraz o niej pomyśleć. Wczorajsze słowa Ransoma raczej nie pozostawiały pola dla domysłów, a teraz oboje, w zmiętych i niekompletnych strojach, smażyli o świcie w kuchni naleśniki.

Musiało być oczywiste, że są kochankami.

I jakby nie było to całkiem widoczne, Ransom objął ją, a potem przygarnął do siebie.

– Dzień dobry, Abigail – powiedziała Izzy. – Ja właśnie… to znaczy my…

– W porządku, Izzy. – Abigail weszła do środka, a potem odciągnęła ją na bok. – Nie powiem nikomu. W gruncie rzeczy przyszłam tu tylko po to, żeby cię prosić o pewną przysługę. Jeśli ktoś spyta o mnie, powiedz, że byłam przez całą noc w zamku.

– Naprawdę? – Izzy zaczęło coś świtać. – Och, oczywiście, że cały czas byłaś tutaj…

– A na pewno nie spędziłam nocy w obozie Armii Moranglii – ciągnęła szeptem Abigail – i nie pozwoliłam panu Butterfieldowi na raczej nierycerskie zachowanie…

Zaczerwieniła się po tych słowach.

– Jasne, że cię tam nie było – zgodziła się Izzy z uśmiechem.

– Dziękuję ci.

– Nie ma za co. Przecież jesteśmy przyjaciółkami.

Abigail uściskała ją serdecznie i odetchnęła z ulgą.

– No a teraz co z tymi doradcami? – spytała głośno. – W jaki sposób udowodnimy im, że książę nie jest szaleńcem i że może wykonywać swoje obowiązki? Ale z pewnością się nie poddamy.

Izzy spojrzała na Ransoma.

– Nie poddamy się, prawda?

– Nie zrobimy tego – odparł. – Niech przyjeżdżają. Dosyć zgadywanek. Dosyć udawania. Jeśli mają zamiar podważyć moje prawa do tytułu, niech rozstrzygnie o tym Sąd Lorda Kanclerza.

– Podoba mi się ten plan – uznała Izzy. – Abigail, czy możemy nadal liczyć na twoją pomoc?

– Oczywiście.

– Duncan zrezygnował ze służby – oznajmił Ransom, pocierając nieogolony podbródek. – Myślę jednak, że zdołam przekonać go, żeby tu wrócił. Jako przyjaciel. Nadal brak nam za to lokajów. – Zwrócił się w stronę Abigail. – Mówiła pani, że Armia Moranglii nadal obozuje w pobliżu? Może zdołam namówić ją, żeby wróciła.

Izzy nie była pewna, czy to się uda.

– Wczoraj obraziłeś ich dotkliwie. Bóg jeden wie, co sobie dziś o mnie myślą. Radzę ci zacząć od szczerych przeprosin. A zakończyć przemowę słowem „proszę”.

Ransom zjadł kęs naleśnika i wzruszył ramionami.

– Są rozsądnymi ludźmi. Jestem pewien, że po krótkiej rozmowie będę mógł liczyć na zrozumienie.

Najwyraźniej się jednak przeliczył.

Niecałe dwie godziny później został w obozie Moranglianów otoczony przez rycerzy. Narzucono mu na głowę kaptur, ręce związano na plecach, a do gardła przytknięto ostrze.

Potem zaś zabrano go do lasu.

Usiłował wołać, mimo brzęku zbroi, poprzez kaptur.

– Zacni panowie, prawda, że wczoraj powiedziałem wam wiele przykrych rzeczy, ale dziś przychodzę do was dobrowolnie. Chciałbym wstąpić w wasze szeregi.

Jakiś ostro zakończony przedmiot dźgnął go w nerki.

– Nie można ot, tak po prostu wstąpić w szeregi Rycerzy Moranglii. Nie jest to łatwe. Najpierw musi nastąpić ceremonia i złożenie przysięgi.

– No i próba – dodał ktoś inny.

– Doskonale. Poddam się waszej próbie. Ale doprawdy, czy koniecznie z kapturem na głowie? Ja i tak nic nie widzę.

Po raz drugi dźgnięto go w nerki.

– Na kolana!

Ukląkł. Ktoś ściągnął mu z głowy kaptur.

Ransom chciwie zaczerpnął tchu.

– Co więc mam robić? Co powinienem mówić? – Odkaszlnął. – Bez zwłoki! Przysięgam na wierność w toż samym miejscu…

Kaptur z powrotem znalazł się na jego głowie.

– Ależ… – zaprotestował. – Upraszam o najmarniejszą choć chwilkę…

– Bracie Wendell, on tego nie bierze na serio – powiedział jeden z rycerzy. – Nasz zakon wymaga świętej wiary. Znaleźliśmy się tutaj, bo łączy nas wyższy cel.

Drugi rycerz był podobnego zdania.

– Jeśli przyjmiemy go w nasze szeregi, będziemy musieli traktować go jak jednego z nas. Jak brata. Czy sądzisz, że on ma zamiar traktować nas tak samo?

Ransom pochylił głowę i zdołał nieco odsunąć brzeg kaptura. Potem uniósł ją ponownie i przemówił do otaczających go mężczyzn, których twarzy nie mógł zobaczyć:

– Słuchajcie. Nie byłem waszym przyjacielem, tylko podłym nędznikiem. Ale teraz klęczę przed wami w lesie, bo znalazłem się w bardzo niefortunnej sytuacji, odkąd opuścił mnie jedyny sługa. Mówię to serio i serio też was przepraszam za to, co wcześniej wygadywałem. Bo na serio potrzebuję waszej pomocy.

Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, mówił, że potrzeba mu czyjejś pomocy. No i proszę – bynajmniej nie padł trupem z upokorzenia.

Pierwszy z rycerzy znów się odezwał:

– Nie pozwól mu na to, bracie. On nie jest prawdziwym Moranglianinem.

– Teraz chcę nim być – upierał się Ransom. – A sir Wendell powinien o tym wiedzieć. Był przecież na plebanii, kiedy po obiedzie czytaliśmy pierwszą część.

– Dowiedź zatem swojej wartości – przemówił drugi z rycerzy. – Jakich trzech rzeczy potrzebował w siedemnastym odcinku Ulryk, żeby sporządzić magiczny napój Wiedźmy z Graymere?

Do licha, to było coś bardzo szczególnego. Ransom usiłował sobie przypomnieć to, co usłyszał poprzedniej nocy. Słuchał wprawdzie *Opowieści* z uwagą, ale w końcu naprawdę się pogubił i niewiele z tego spamiętał.

– Palec stopy trolla, włos salamandry i… i bodajże urynę jednorożca? Do diabła, nie wiem.

– A widzisz? – powiedział pierwszy rycerz. – On nie jest szczery. Założę się, że nawet nie zna słów o wątpieniu.

– Czekaj – powiedział Ransom – to pamiętam.

Pamiętał, co to takiego było. W niezłym fragmencie pożegnania Ulryka z Kresydą, gdy wyrusza on, by zabić Potwora z Cumbernoth, mówił do niej.

– „Nie wątp, moja damo – wyrecytował – że powrócę. Nie wątp w me ostrze…”

– W mój miecz – poprawił ktoś Ransoma, dźgając go jeszcze raz w nerki. – „Nie wątp w mój miecz”.

– Słusznie, słusznie. – Usiłował się skoncentrować, stojąc na błotnistym gruncie. – „Nie wątp w mój miecz. Nie wątp w moją moc”. Jest tam jeszcze coś więcej i coś o bólu, a potem „zawsze będziesz królową mego serca”; a kończy się słowami „za moją damę i za Moranglię”. – Uniósł głowę. – No, czy tego wystarczy?

– Nie. – Ransom rozpoznał głos Wendella Butterfielda. – To było żałosne.

– On się tylko chce nami posłużyć – odezwał się znów pierwszy rycerz. – A kiedy uzyska, czego chce, zapomni o wszystkim i przepędzi nas. Będzie sobie kpił z naszych rytuałów w tych jego klubach dżentelmenów. On nie rozumie, kim jesteśmy.

Ransom pokręcił głową.

– Nie, nie. Zresztą nikt mnie w tych klubach nie lubi. Wierzcie mi, ja wiem, jak to jest, kiedy się kogoś lekceważy. Siedem miesięcy temu zostałem ciężko ranny. Zgadnijcie, ilu mnie odwiedziło gości i dobrze mi życzących osób? Nie przyszedł nikt. Zostałem wyrzutkiem.

– Zamożnym, wysoko postawionym wyrzutkiem z półtuzinem posiadłości – wytknął mu Wendell.

– W tej chwili, owszem. Ale jeśli moim doradcom i spadkobiercy uda się dopiąć tego, co mają zamiar zrobić, mogę stracić wszystko. Nie sądźcie, że proszę was o pomoc dla mnie. Chodzi mi o pannę Goodnight. Jeśli wizytacja doradców nie skończy się dla mnie pomyślnie, ona straci dom swoich marzeń. Pozwólcie mi wstąpić w wasze szeregi, a ja złożę przysięgę i zjednoczymy się w wyższym celu. Dla niej.

Zapadła długa cisza.

Ransom nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Uważam, że to ujdzie za twoją uroczystą przysięgę. – Wendell położył mu miecz płasko na ramieniu. – Pasuję cię, sir Ransomie, na brata Zakonu

Makowego i prawdziwego rycerza Moranglii.

Dzięki Bogu.

– Zakon Makowy? – zastanawiał się Ransom na głos, gdy mu rozwiązywano ręce. – Czy to znaczy, że wy palicie opium?

– Nie – odparł Wendell, ale zwracając się do jednego ze swoich towarzyszy, dodał: – Podaj mu miód.

Wciśnięto mu w dłoń płaską buteleczkę słodkiego, lepkiego wina. Ransom napił się z niej.

– Niezłe. Dziękuję, sir Wendellu.

– Bracie Wendellu – poprawił go Butterfield. – Jesteś teraz jednym z nas.

No i rzeczywiście tak było. Został jednym z nich.

Stało się coś nieoczekiwanego. Klęcząc w lesie, otoczony kręgiem mężczyzn, którzy reprezentowali istną kolekcję dziwaków i wolnych duchów niecierpiących na nadmiar zajęć z angielskich szkół publicznych, Ransom doświadczył osobliwego i najzupełniej mu dotąd nieznanego doznania.

Akceptacji.

– A prywatnie – ciągnął Wendell – jestem panem Wendellem Butterfieldem i mam tytuł szlachecki.

– Naprawdę? – spytał Ransom. – Chyba nie powie mi pan, że jest prawnikiem?

– Och, jako żywo nim jestem.

– Nie wiedziałem, że prawnicy mogą spędzać wolne dni, błąkając się po lasach w sporządzonych amatorskim sposobem zbrojach.

– Czemu nie? – spytał Wendell. – W końcu spędzamy dni pracy w długich, czarnych szatach i pudrowanych perukach na głowach.

Ransom przyznał, że tak jest istotnie.

– Być może nie nadaję się do tego, bym podawał jako lokaj do stołu – ciągnął Wendell – ale mogę panu pomóc w rozwikłaniu kłopotów z prawem. Rzecz jasna, jeśli się pan zgodzi na tę pomoc.

A potem wyciągnął ku niemu coś o zamglonych konturach i w cielistym kolorze.

Swoją rękę.

Resztki urażonej dumy opuściły Ransoma i rozwiały się, nie pozostawiając śladów. Wstał bez niczyjej pomocy, bo tego jednak jego duma wymagała. Nie był inwalidą ani dzieckiem.

Był jednak mężczyzną. Po raz pierwszy w życiu nieprzytomnie zakochanym. A prócz tego zagrożonym utratą wszystkiego. No i, co już powiedział Duncan, trzeba mu było całej przyjacielskiej pomocy, jaką tylko mógł otrzymać.

Powściągnął instynktowną chęć odmowy i przyjął wyciągniętą ku niemu rękę.

Gdy wstał z klęczek, Wendell kazał rycerzom podejść ku niemu. Ręce ich spoczęły na jego ramionach i plecach.

– Salut rycerski! Wszyscy razem!

Pięści zadudniły donośnie o zbroje.

– Za moją damę i za Moranglię!

25

*I*zzy, nie uwierzysz chyba! – Abigail pchnęła ją ku oknu w wieżyczce.

– O co chodzi? Och, błagam, tylko nie mów, że przyjechali doradcy! Nie jesteśmy gotowi na ich przyjęcie. Nie ubrałam się jeszcze odpowiednio. No i nie ma tu Ransoma.

– To nie doradcy. Spójrz.

Izzy wysunęła głowę przez wąskie okienko. W oddali ujrzała znany jej już barwny tłum Konnych Rycerzy Moranglii z Zachodniego Yorkshire, zmierzający wprost do zamkowego barbakanu. Towarzyszył im siostrzany oddział Służek Kresydy. Chorągwie powiewały na wietrze, słońce lśniło na zbrojach.

– Książę uzyskał to, co zamierzał osiągnąć – powiedziała Abigail, trzymając ją kurczowo za ramię. – Przekonał ich, żeby wrócili!

– Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tobą – odparła Izzy. – Sir Wendell z pewnością miał własne powody, żeby tu wrócić. Nieważne jednak, dlaczego wrócili. Liczy się tylko to, że tutaj są.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Nawet po wszystkim, co stało się wczoraj, nie opuścili jej. Znów się tu znaleźli. Nadal pozostali jej przyjaciółmi. A także nadal wierzyli w to, co przedtem.

„Nie wątp”.

Kilka następnych godzin spędzono na gorączkowych działaniach. Kucharka i dziewczęta zajęte były w kuchni. Rycerze ponownie uczyli się podawania do stołu. Duncan błyskawicznie przygotował Ransomowi

kąpiel, ogolił go, pomógł mu włożyć surdut i wyczyścił do połysku buty. Abigail poświęciła prawie trzy kwadranse i mnóstwo cierpliwości staraniom, żeby jakoś ułożyć włosy Izzy.

Kiedy koła powozów zaturkotały na podjeździe, Izzy nie była w stanie się zmusić, żeby wyjrzeć przez okno. Musiała to za nią zrobić Abigail.

– Tak – powiedziała – to oni. Już są tutaj.

– Ilu ich jest?

– Dwa powozy. Trzech… nie, łącznie czterech mężczyzn.

Czterech mężczyzn? O Boże. Tylko dwóch z nich mogło być doradcami. Pozostali dwaj to z pewnością lekarze lub może pomocnicy Lorda Kanclerza.

Krążyła nerwowo po pokoju, mając nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Duncan powita ich, wprowadzi do wielkiego holu, a wtedy przyjdzie czas na…

Rozległo się pukanie do drzwi.

Ransom.

– Jesteś gotowa? – Podał jej ramię i oboje wyszli na korytarz. – Nie martw się o nic. Trzymaj się tylko przez cały czas blisko mnie.

– Czy ich nie zdziwi, że przez cały czas będę tkwić tuż przy tobie?

Usta lekko mu drgnęły z jednej strony.

– Wierz mi, żadnego z moich doradców nie zaskoczy widok pięknej kobiety u mego boku. To jedynie wzmocni wrażenie, że jestem taki sam, jak przedtem.

O jego reputację nie musiała się martwić. Mocno jednak wątpiła, czy doradcy przywykli do widywania go z takimi kobietami jak ona.

– Poczekaj – powstrzymała go.

– O co chodzi?

– Ja… ja muszę ci coś powiedzieć.

– Hm. No, dobrze. Ale czy nie możesz z tym poczekać, aż dobiegnie końca spotkanie, do którego przygotowywaliśmy się przez cały tydzień?

– Nie mogę – powiedziała, chwytając go za rękaw. – Musisz się tego dowiedzieć, i to natychmiast.

Ale kiedy udało się jej doprowadzić do tego, że chciał jej wysłuchać, straciła niemal całą odwagę. Zmusiła się jednak, żeby z zamkniętymi oczami wyrzucić z siebie:

– Widzisz, ja… ja wcale nie jestem piękna.

Zmarszczył czoło i zacisnął wargi, jakby chciał zadać jej jakieś pytanie, którego jednak nie wypowiedział.

– Powinnam ci była powiedzieć o tym już dawno. Nie masz pojęcia, jak mi to ciążyło. Dlatego, że… że nikt nigdy nie nazwał mnie piękną ani nie dał mi poczuć się piękną. Szczerze się cieszyłam, że o tym nie wiesz, choć wszystko wynikło z nieporozumienia. Ale teraz musisz się o tym dowiedzieć. Jeśli wejdziemy tam razem, a ja znajdę się tuż przy tobie… będzie to jawny dowód, że straciłeś wzrok. Oni nie zrozumieją, na co jestem ci w ogóle potrzebna.

– Izzy. – Chwycił ją za ramię.

Wyrwała mu się.

– Nie dopraszam się komplementów. Zależy mi, żebyś uwierzył w to, co mówię, i zrozumiał mnie. Nie tylko nie jestem piękna, ale nawet nie można mnie nazwać ładną czy choćby przystojną lub względnie niebrzydką. Mam krańcowo nieciekawą powierzchowność. Zawsze taka byłam. Żaden mężczyzna nigdy nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

– W porządku. Nie jesteś piękna.

– Nie jestem.

– A więc to jest ten największy sekret, który ukrywałaś przede mną?

Jego ręce spoczęły na jej ramionach.

– Tak – odparła, próbując uwolnić się od nich.

Chwycił ją tak mocno, że nie mogła się poruszyć.

– Nie wyrywaj mi się.

Gdy przyparł ją do ściany, słowa zaczęły nagle płynąć z jej ust. Bezużyteczne, niemądre słowa.

– Z początku sądziłam, że to nieszkodliwe. Nawet nie przypuszczałam, że może spowodować jakiś kłopot. Powtarzałam sobie, że nie ma żadnego powodu, byś musiał znać prawdę. Tylko że… teraz są tu także inni ludzie. A tymczasem ty chcesz, żebym uchodziła za twoją kochankę, więc…

– Nie uchodzisz za nią, tylko nią jesteś.

Zakryła twarz rękami. Przeklinała swoją śmiechu wartą próżność, bo właśnie z jej powodu cała jego przyszłość była zagrożona.

– Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło – zaczął. – Do… do tego twojego wielkiego, haniebnego wyznania. Mówisz mi, że nie jesteś piękna. – Roześmiał się. – Co za absurd!

– Absurd?

– Tak. Przecież to śmiechu warte. Chcesz poznać naprawdę odrażający sekret, Izzy? Oto on: zabiłem swoją matkę.

Wyczuł, że cofnęła się przerażona i niemal namacalnie wstrząśnięta.

Nie winił jej. Były to wstrętne słowa, sprawiały dotkliwą przykrość, gdy się je słyszało. Odcisnęły na nim swoje piętno.

– Moja matka rodziła mnie przez ponad trzydzieści godzin i zmarła niecałą godzinę później. Ja ją zabiłem. Właśnie tak powiedział mi mój ojciec, dokładnie tymi słowami, kiedy byłem już dosyć duży, żeby je zrozumieć.

Pamiętał to wciąż, z niesłychaną wyrazistością. Za każdym razem, kiedy płakał, bo upadł, potłukł się i pragnął z tego powodu pociechy, jego ojciec chwytał go za kołnierz i wlókł po marmurowej posadzce, a potem rzucał na nią przed naturalnej wielkości portretem matki.

„Przestań się mazgaić. Ona ci nie może otrzeć łez, bo ją zabiłeś”.

Boże, ależ piękna była na tym portrecie. Złote włosy, niebieskie oczy, jasnobłękitna suknia. Prawdziwy anioł. Miał zwyczaj modlić się do niej.

Zanosić prośby, drobne, bluźniercze błagania o wybaczenie przewinień czy zabawki w nadziei, że ich wysłucha. Ale ona nie mogła tego zrobić. Nie żyła.

Nigdy się już potem o nic nie modlił.

– Cała służba, nianie, gospodyni, wychowawcy zostali surowo pouczeni, żeby nie okazywać mi uczucia. Żadnych uścisków, pocałunków, troskliwości, współczucia. Bo mogłaby je okazywać tylko matka, a ja nie zasługiwałem na nie. Obwiniał mnie o jej śmierć.

Usłyszał, że westchnęła.

– To po prostu straszne.

– Istotnie – zgodził się.

– Jak on mógł tak cię traktować?

– Niestety, mógł. Był okrutnym, odrażającym nikczemnikiem. No i, rzecz jasna, nigdy nie opowiadał mi niczego na dobranoc.

– Może… może to bez znaczenia, ale strasznie mi cię żal.

– To wcale nie jest bez znaczenia – powiedział, obejmując ją. – To ma wielkie znaczenie. A jeśli kiedyś będziesz mnie chciała w łóżku pogłaskać po głowie, chętnie się zgodzę. – Cofnął się, stali teraz nieco dalej od siebie. – Ale to będzie później. Teraz pomówimy o tobie. O twoim braku urody. Znam kobiety, Izzy. Znałem ich o wiele za dużo. – Całe lata spędził na poszukiwaniu tego pocieszenia, którego mu wzbraniano, zawsze jednak unikał głębszego uczucia. – Wiedziałem, prawie od samego początku, że jesteś niepodobna do żadnej z nich. Cieszy mnie to. Cieszy mnie też, że mężczyźni cię nie dostrzegali, taki już ze mnie samolubny łajdak. Bo w przeciwnym razie byłabyś teraz związana z kimś innym, a nie ze mną. Niezależnie jednak od tego, jak mocno trzymałem cię w uścisku i jak głęboko zapadłaś mi w serce, zawsze czułem, że coś w tobie mi umyka, że coś przede mną ukrywasz. Myślałem, że może chodzi tu o twoje serce. Och, jak ja go pragnąłem. Bo pragnąłem ciebie całej. Nie potrafiłem się jednak zmusić, żeby prosić cię o coś, na co najwyraźniej nie zasługiwałem.

Wyczuł, że chciała mu się sprzeciwić, lecz nie pozwolił jej na to, nim jeszcze otworzyła usta.

– Nie ma to nic wspólnego z moim przyjściem na świat ani z dzieciństwem. Jestem na tyle dorosły, by sobie zdawać sprawę, że ojciec traktował mnie z bezsensownym okrucieństwem. Ale to już przeszłość. Uważasz, że twoje rysy czynią cię brzydką? To właśnie ja jestem przeraźliwie szpetny. Cała Anglia o tym wie. Przeglądając te papiery, brnęłaś przez wszystkie moje łajdactwa, musiałaś więc nabrać do mnie wstrętu. Jesteś bystrą dziewczyną. Jak ty możesz mnie kochać? Jak ktokolwiek może mnie kochać?

– Ransomie… – Głos jej zadrżał.

– A teraz się dowiaduję, co przede mną ukrywałaś. Jak również, że okazywałaś mi rezerwę, bo nie czujesz się dosyć ładna. Dla niewidomego mężczyzny, Jezu Chryste, Izzy! A mnie się wydawało, że właśnie ja byłem nic niewart.

Jego słowa zabrzmiały brutalniej, niż zamierzał, złagodził je więc pocałunkami. Czułymi, serdecznymi pocałunkami pokrywał jej policzki, szyję, wdzięcznie wygięte ramiona.

Była wprost błogosławiona. Razem ze swoją niemądrą, naiwną próżnością. Nie był pewien, czy mógłby na nią zasługiwać, a jej chodziło tylko o to?

Wiedział zresztą, jak temu zaradzić.

– Izzy – wyszeptał ciężko, obejmując ją – ja cię po prostu nieprzytomnie pragnę. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo.

A potem zaczął unosić jej suknię.

– Co ty robisz?! – wykrztusiła bez tchu.

– Właśnie to.

– Wykluczone! Na dole czekają doradcy!

– To jest ważniejsze.

– Ściskanie się ze mną na korytarzu jest ważniejsze niż ratowanie twojego tytułu?

Zamilkł. A potem pocałował ją prosto w usta.

– Ważniejsze.

Powiedział to krótko, węzłowato i z całą powagą. Bo tak właśnie uważał. Bo liczyło się tylko to. Doradcy mogli sobie iść do diabła. Tytuł książęcy także. A jego życie nie miałoby znaczenia, gdyby nie zdołał sprawić, by zrozumiała, o co mu chodzi.

– Nie mogę już sam widzieć piękności, ale wiem, jak ją usłyszeć. Jest niby wielka rzeka pełna płynnego, dzikiego miodu. Ma woń rozmarynu i smak nektaru.

Uśmiechnęła się. Tym swoim pięknym uśmiechem. Jakże mogła wątpić, czy mu się podobała?

– Miałabyś być nijaka? – Ujął jej pierś w jedną rękę, a drugą sięgnął ku spodniom. – Miałabyś nie być pociągająca? Niech cię to przekona!

Nie było już czasu na nic więcej poza samym ich złączeniem.

Gdy przedarł się przez wszystkie jej halki, była już gotowa na niego, jak zawsze. Uniósł ją ponad ziemię, tuż przy ścianie. Przywarła do niego cała.

– Kocham cię – powiedział.

Wypowiedział te słowa, przed którymi wzdragał się tak długo, że przestały dla niego cokolwiek znaczyć. A że wymówił je, wnikając w nią? To było oszałamiające.

– Kocham cię, Izzy – powtarzał. – Ciebie. Piękną… kuszącą… bystrą… zachwycającą.

Obydwoje walczyli o oddech. Wniknął w nią najgłębiej, jak tylko mógł. Ale czy to wystarczy? Czy zdoła dotrzeć do jej serca?

Musiał się o tym przekonać.

Zamknął oczy i przycisnął czoło do jej słodkiej, pokrytej pudrem skóry. Wciąż jednak pulsowały w nim bezgłośne słowa: „Nie zasługujesz na to. Nie zasługujesz na nią”.

A wtedy powiedział na głos to, co było mu najtrudniej wyrazić:
– Kochaj mnie.

26

*K*ochaj mnie.

Wypowiedział te słowa schrypniętym, ledwie dosłyszalnym szeptem. Izzy wiedziała jednak, ile go kosztowały.

– Kocham cię. – Objęła go mocno za szyję, żeby nie dać się zatopić tej fali czułości. Całowała go w czoło, w policzki. – Och, Ransomie, kocham cię.

Zduszonym głosem poprosił:

– Jeszcze raz.

– Kocham cię. Kocham.

Mogła to powtarzać bez końca. Mogła brać go w siebie tak długo, jak tego pragnął. Nie mieli jednak czasu. Robił, co mógł, by oboje osiągnęli oszałamiający kres. Chwyciła się zębami za nadgarstek, żeby głośno nie krzyknąć.

Wtedy wycofał się z jej ciała, stawiając ją ponownie na ziemi. Trzymał ją jeszcze przez chwilę w ramionach, dysząc ciężko.

– Trzeba mi tego było – powiedział. – Sama nie wiesz nawet, jak bardzo.

Uśmiechnęła się.

– Obojgu nam było tego trzeba.

Opuściła suknię i wygładziła ją, podczas gdy on doprowadzał do porządku swoje odzienie.

– Izzy, mogę ci powiedzieć w zaufaniu, jak mężczyzna, który sporo wie – ciągnął, obciągając kamizelkę, a potem po kolei oba rękawy – że jesteś

wprost nieprzytomnie pociągającą, zmysłową kobietą. Być może zalotnicy nie mieli odwagi zbliżyć się do ciebie z powodu *Opowieści*. Może twój ojciec trzymał ich na dystans, bo się bał, że cię straci. Nie wiem, czemu mężczyźni nigdy przedtem się tobą nie interesowali. Mogę ci jednak powiedzieć, dlaczego nie będą tego robić teraz.

– No, dlaczego?

Uścisnął ją porozumiewawczo.

– Bo ja im na to nie pozwolę.

– Och. – Izzy z wrażenia wsparła się mocno o ścianę.

Rozłożył szeroko ręce, rozumiejąc, jak bardzo się przejęła.

– Pozwolisz mi z powrotem to poukładać, prawda?

– Jesteś wprost niesłychany. – Chwiejąc się jeszcze na nogach, dotknęła swojej fryzury, a raczej tego, co z niej pozostało. – Och, moje włosy! Idź tam pierwszy. Ja muszę pobiec na górę i…

– Daj sobie z tym spokój. – Ujął ją pod ramię. – Przestań się martwić o swój wygląd. Trzymaj się blisko mnie przez cały czas. Moi doradcy powinni bez żadnych wątpliwości zrozumieć, co z tobą robiłem. – Urwał. – Chyba że martwisz się, co sobie pomyślą twoi przyjaciele. W takim razie…

– Nie martwię się o to ani trochę – powiedziała, ściskając mocno jego ramię.

A wtedy Ransom ruszył na spotkanie z wizytatorami.

Gdy wszedł do wielkiego holu, wszyscy już tam stali. Dostrzegł grupę czterech ciemnych postaci majaczących w morzu szarej mgły. Nie mógł odróżnić jednej od drugiej. Nie miał pojęcia, kim mogą być ci dwaj inni poza Blaylockiem i Riggettem.

Te cztery złowrogie cienie przybyły tu, żeby osądzić jego życie.

Miał jednak tuż przy sobie Izzy. Cichy chrzęst zbroi stojących wokół rycerzy nieoczekiwanie dodał mu otuchy.

Miał również nowego prawnika. Dobrego. Takiego, któremu mógł zaufać.

Jeden z wizytatorów zbliżył się ku niemu. Ransom czuł, że ten człowiek szacuje jego wygląd, przypatrując się uważnie bliznom.

– Wasza Wysokość, z prawdziwą ulgą widzimy, że cieszy się pan dobrym zdrowiem.

Z prawdziwą ulgą? Ransom prychnął pogardliwie. Wątpił, czy ten człowiek naprawdę ją czuje. Podły, zachłanny oszust.

Izzy ścisnęła go jeden raz za ramię, dając mu poznać tożsamość rozmówcy.

– Blaylock – powiedział – to jest panna Izolda Goodnight. Nowa właścicielka Gostley Castle. Lynforth zapisał go jej w testamencie.

Izzy dygnęła.

– Witam panów.

– Przyjechał z nami pan Havers – powiedział Blaylock – z kancelarii Lorda Kanclerza.

Havers wystąpił naprzód.

– Miło mi panią poznać, panno Goodnight. Lord Kanclerz przesyła pani pozdrowienia. Jego syn jest wielkim miłośnikiem opowieści pani ojca.

Blaylock dokończył prezentacji.

– Przypomina pan sobie zapewne mego kolegę, pana Riggetta. A ten dżentelmen to doktor Mills z zakładu dla obłąkanych w Holyfield.

Ransom odpowiedział na to wyjaśnienie krótkim ukłonem.

– Jeśli już się panowie przedstawili, zaprezentuję teraz z kolei moich ludzi. To pan Wendell Butterfield, mój nowy doradca prawny. Nim przystąpimy do dalszych rozmów, postawmy jasno pewną sprawę. Odpowiem na wszystkie pytania. Wyjaśnię, jak spędziłem tutaj ostatnie siedem miesięcy, dlaczego tutaj osiadłem i co mam zamiar robić później, a także zdam panom sprawę z mego kalectwa, czyli upośledzenia wzroku – odczekał chwilę, by mogli oswoić się z tą nowiną – i ze stanu mego

umysłu. Ale najpierw… – tu pstryknął palcami, a Wendell podał mu papiery – …podpiszą panowie ten dokument.

– Cóż to takiego?

– Ustanowienie funduszu powierniczego na rzecz panny Goodnight, w wysokości dwudziestu tysięcy funtów.

Jego doradca znieruchomiał.

– Co takiego? Dwadzieścia tysię…

– Wskutek waszych niedopatrzeń panna Goodnight po odziedziczeniu zamku zapisanego jej przez ojca chrzestnego stwierdziła, że został on krańcowo zaniedbany. Powinniśmy więc przynajmniej zapewnić jej fundusze na jego odrestaurowanie.

– Wasza Wysokość, nie możemy wyrazić na to zgo…

– To mój majątek. A ja jestem księciem. Póki sąd nie zdecyduje inaczej, ja wyrażam moją zgodę… – wcisnął papiery w dłoń doradcy – …i zaraz to podpiszę. Pan będzie świadkiem. Wtedy, i dopiero wtedy, mogę być do waszej dyspozycji. Jeśli zaś odmówicie, to przysięgam, że wypowiem wam bezwzględną walkę, póki nie zostaniecie oskarżeni o oszustwo.

Doradcy zaczęli się naradzać.

Izzy chwyciła go za ramię.

– Co ty robisz? – spytała szeptem.

– Zapewniam ci przyszłe życie w tym zamku. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie.

– Twój los nie jest czymś o drugorzędnym znaczeniu – wyszeptała. – Nie dla mnie.

Ransom ścisnął jej dłoń, ale nie cofnął swego żądania. Dwadzieścia tysięcy było niemałą sumą, lecz stanowiło jedynie drobną część jego fortuny, którą doradcy pragnęli kontrolować, gdyby udało się im odebrać mu majątek. Liczył na to, że dzięki ich chciwości uda mu się odnieść nad nimi zwycięstwo.

– No i co? – spytał zniecierpliwiony. – Może powinienem wycofać tę propozycję i przejść od razu do oskarżenia o oszustwo?

– To nie będzie konieczne – odparł Blaylock. – W interesie panny Goodnight podpiszemy dokumenty.

– W porządku. – Kiedy nagryzmolił już podpis na skraju karty, a doradcy zrobili to samo, mógł odetchnąć z ulgą. Izzy została zabezpieczona.

Teraz należało zrobić ją księżną.

Lekarz zbliżył się do niego.

– Zaniepokoiły mnie te wzmianki o oszustwie. Czy Wasza Wysokość często dopatruje się wokół siebie spisków?

A więc zaczęło się przesłuchanie.

Ransom usiadł na sofie, sadowiąc się na niej wygodnie. Odpowiadał po kolei na każde z pytań. O rok, o panującego monarchę, o kolor nieba. Padały również pytania dotyczące odniesionych przez niego ran i blizny.

Wszystkie rezerwy cierpliwości, jakie posiadał, były już na wyczerpaniu. Doszedł do wniosku, że czyhano na najmniejszy choćby błąd lub uchybienie z jego strony. Przy tak wielu świadkach doradcy nie mogli sfabrykować oskarżeń o zaburzenia umysłowe. Gdyby doszło do formalnego procesu, wiedział, że byłby w stanie go wygrać. Dużo łatwiej byłoby jednak skończyć z tym wszystkim jeszcze tego samego dnia.

Mniej więcej po godzinie nie mógł już dłużej tego wszystkiego wytrzymać. Poczuł ból narastający u podstawy czaszki.

– Niech mi ktoś naleje whisky.

Lekarz z miejsca zanotował:

– Bardzo chętnie… pija… whisky.

– Nie od dzisiaj – powiedział cierpko.

– Muszę przyznać – zauważył Havers – że ubiory pańskiej służby… hm… niezwykle przyciągają wzrok.

– Och, to był mój pomysł – oznajmiła Izzy tym swoim słodkim, dziecinnym głosikiem, którym pogardzał. – Wie pan, jak bardzo jestem

przywiązana do opowieści mego ojca. Wprost nie mogłam się oprzeć chęci, by powołać ich do życia na tle tego wspaniałego zamku. Jestem doprawdy szczęśliwa, mogąc tu mieć wokół siebie rycerzy i służebne. Czy lubi pan słodycze?

Lekarz zapytał z zaciekawieniem:

– Co pan o tym sądzi, Wasza Wysokość? Czy pan również lubi życie w atmosferze czarodziejskiej baśni?

Jeden z rycerzy – sir Alfred, jeśli Ransom dobrze zapamiętał jego imię – wystąpił do przodu z chrzęstem i brzękiem, wkładając mu do ręki szklaneczkę whisky, lecz zrobił to niezbyt zręcznie i trunek prysnął na obydwóch.

– Przepraszam cię, bracie – powiedział Alfred.

– Bracie?!

Niech to licho. Ransom rozpoznał głos Blaylocka. Ton jego był ostry jak szpon drapieżnego ptaka.

– Czy ten lokaj nazwał pana bratem? – spytał doradca.

– Sprawdza pan teraz mój słuch? – spytał Ransom, udając znudzonego. – Rzeczywiście, chyba tak się właśnie wyraził.

– Czyżby pozwalał pan lokajom zwracać się do siebie w tak familiarny sposób, Wasza Wysokość? Chyba że zrobił to przez zapomnienie.

– Bynajmniej.

– Hej, ty! – zawołał Riggett do młodego rycerza, który z brzękiem powrócił na swoje miejsce. – Czemu nazwałeś Jego Wysokość bratem?

– Bo… bo obydwaj należymy do tego samego Zakonu Makowego – odparł młodzieniec.

Kiedy Ransom usłyszał wybuch śmiechu po tej odpowiedzi, nie miał już przed oczami szarości, tylko czerwień, kolor gniewu.

– Zakon Makowy? – spytał Blaylock głosem łakomego chłopca, który ma przed sobą miseczkę deseru z bitą śmietaną. – Powiedz nam coś o nim.

– To jest rycerski zakon Moranglianów, sir. Mamy swoje proporce, godła, urządzamy turnieje. No i składamy przysięgę.

– A czy książę chętnie bierze w tym wszystkim udział?

– Ja… ja nie wiem, sir. – Alfred zawahał się.

No oczywiście, że się zawahał. Ransom rozpoznał teraz głos młodzieńca. Był to jeden z tych rycerzy, którzy sprzeciwiali się przyjęciu go w poczet rycerzy Moranglii. Nie bez słusznego powodu. Alfred rozumiał zapewne, że chwila dekonspiracji nadejdzie, nie przewidział jedynie, że stanie się to tak szybko.

No i wiedział też, że Ransom będzie poddany przesłuchaniu.

A więc to tak. Mógłby zachować majątek, tytuł i władzę – ale tylko wtedy, gdyby się odrzekł ciężkiej pracy Izzy i wszystkich jej stojących teraz wokół niego przyjaciół.

Jeszcze wczoraj zrobiłby to bez żadnego wahania. Wyszydził przecież i zlekceważył każdą z osób stojących dziś po bokach tego pomieszczenia.

Ale dzisiaj ci ludzie do niego wrócili. Zrobili to dla Izzy i dla niego. Czy mógł ich wszystkich ponownie skrzywdzić?

– Czy panowie mi teraz wierzą? – Riggett chciał przypieczętować całą sprawę. – On najwyraźniej stracił rozum. Cios w głowę nieodwracalnie naruszył jego władze umysłowe. Nie pozostaje nam nic innego. Musimy go uznać za niepoczytalnego.

Lekarz podszedł do Ransoma.

– Czy Wasza Wysokość wie, kim jest?

– Tak. – Ransom wstał. – Jak najbardziej wiem. Jestem Ransomem Williamem Dacre Vane, jedenastym księciem Rothbury. Jestem również markizem Youngham, hrabią Priorwood, lordem Thackeray. A także…

– Kim? – naciskał na odpowiedź lekarz. – Uważa pan, że jest również kimś innym?

Usłyszał, że Izzy syknęła coś ostrzegawczo. Ale, do diaska, złożył w końcu przysięgę. W jej imieniu. Nie mógł się tego zaprzeć.

– Jestem też rycerzem Moranglii.

Izzy zakryła usta dłonią.

O Boże. Zrobił to!

Ransom uderzył się pięścią w pierś, a wszyscy rycerze, jak jeden mąż, odwzajemnili ten uroczysty gest.

Izzy czuła jednocześnie zachwyt i rozpacz. Był to wspaniały, bohaterski gest z jego strony, ale jaką cenę będzie musiał za niego zapłacić?

Doradcy z miejsca ruszyli do ataku.

– Widział pan, Havers? Nie mamy wyboru. – Riggett wskazał na księcia. – Trzeba go poddać badaniu. Cierpi na urojenia i może być niebezpieczny.

Lekarz zgodził się z nim.

– Moim zdaniem powinno się go odosobnić aż do czasu badania w Londynie.

– Proszę się z tym nie spieszyć! – krzyknęła Izzy. – Rozpatrzmy wszystko dokładniej. Z pewnością zamknięty zakład nie jest tu konieczny!

Błaganie jej zagłuszył jednak donośny chór protestów.

Wszyscy rycerze i dziewczęta stojący wokół wielkiego holu ruszyli na pomoc Ransomowi.

Jeden z rycerzy wyciągnął szablę – nie wyglądała, niestety, na dostatecznie ostrą, by można nią było pokrajać choćby ciasto biszkoptowe – i zaczął wymachiwać nią w powietrzu.

– Nie możecie go zamknąć! On jest jednym z naszych braci! – krzyknął inny.

– Wiedziałem, że całe to przesłuchanie ma jakiś ukryty cel!

– Ruszymy jak jeden mąż do walki na śmierć i życie!

Nawet Magnus zaczął warczeć i ujadać.

Rozległ się powszechny krzyk:

– Wypuścić gronostaja!

– Stójcie! – Izzy podbiegła do stołu na końcu sali, wdrapała się na niego i przyłożyła dłonie do ust. – Stójcie! – krzyknęła ponownie, najgłośniej, jak tylko mogła.

Stanęli. A potem zwrócili się wszyscy ku niej.

Kiedy już zdołała zyskać powszechną uwagę, nabrała głęboko tchu i przycisnęła obydwie dłonie do piersi, jakby chciała w ten sposób pohamować pulsujące w niej napięcie.

– Nie trzeba będzie żadnej walki ani badania lekarskiego. To nieporozumienie! Książę wcale nie jest obłąkany, panowie! Musicie mi uwierzyć. Przebywałam w tym zamku razem z nim od kilku tygodni i wiem, że jest najzupełniej zdrów, a w żadne romantyczne historie nie wierzy. Nie powinien zresztą w nie wierzyć.

– Widzicie – jej wzrok przesunął się po rycerzach i dziewczętach – *Opowieści na dobranoc* są… no cóż, zmyśleniem. Nigdy nie byłam niewinną dziewczynką o złotych włosach, podobnie jak sir Henry nie był czułym ojcem, chociaż chciał dla mnie jak najlepiej. Nie pragnęłam wcale mieć gronostaja i nie prosiłam o niego. Kresyda może jest dzielna, ale ja się boję ciemności. Ulryk może mówić: „Nie wątp”, ale ja wątpiłam przez cały czas. Wątpiłam w szczęśliwe zakończenie, w istnienie miłości na śmierć i życie, a najbardziej wątpiłam w siebie samą.

Potem zaś dodała, zwracając się do doradców:

– Książę zrobił to dla mnie, ale on dobrze wie, że to tylko fikcja, a wczoraj nawet nazwał ją nic niewartą. – Rozejrzała się po sali. – Czyż nie? Przecież wszyscy to słyszeliście!

Rozległ się szmer niechętnego potwierdzenia.

Odwróciła się w stronę Ransoma.

– Powiedz im więc, że nie muszą już dłużej udawać, a ty nie musisz mnie chronić. Powiedz im to, co powtarzałeś mi przez cały czas. Jesteś całkowicie zdrów, a romantyczne rojenia są złudą. – Przycisnęła znów dłoń do piersi. – Naprawdę.

Ransom namyślał się. Widziała, jak pierś unosi mu się przy oddechu. Podrapał się w szyję i zwiesił głowę.

Blaylock zbliżył się do niego.

– No i cóż, Wasza Wysokość?

Zrób to! – błagała Izzy bez słów z drugiego końca sali. Nie udawaj dłużej! Ratuj się! Powiedz prawdę!

– Powiem tylko jedno – Ransom uniósł głowę i uśmiechnął się dyskretnie – „Nie wątp".

Serce w niej zamarło.

– Nie. Nie. Ransomie, nie rób tego!

– „Nie wątp, moja damo, że wrócę".

– Nie! – błagała go. – Nie teraz!

A Ransom z uniesioną głową ruszył ku niej, nie przerywając recytacji.

– „Nie wątp w mój miecz. Niestraszne mi pęta, strzały, ostrza ni kamienie".

Nie były to wcale słowa przemowy Ulryka.

– „Nie wątp w moją moc. – Głos jego przybrał na sile przy tych słowach. – Ani wzburzone…"

Urwał.

Dobrze wiedziała, jak brzmi dalszy ciąg, ale nie była w stanie mu pomóc.

Spojrzała na rycerzy, szukając u nich wsparcia.

Jeden z nich podpowiedział mu szeptem:

– „Ani wzburzone morze…"

– O właśnie, właśnie. – Ransom cofnął się o krok i zaczął od początku.

– „Nie wątp w moją moc. Ani wzburzone morze, ani smagane wiatrem pustynie, ani góry wysokie nie zdołają odgrodzić mnie od ciebie".

– Widzicie – mruknął do lekarza Blaylock. – Zupełnie zwariował. Uważa się za bohatera jakiejś baśni.

Ransom nie zwracał na nich uwagi. Zdawał się nie dostrzegać w sali nikogo poza Izzy. Szedł ku niej powoli, ale nie zbaczając z drogi.

Stojące na końcu wielkiego holu dziewczęta były bliskie zemdlenia.

– „Nie wątp w moje serce” – recytował głośno, z przejęciem. Jego głęboki, dźwięczny głos był jak do tego stworzony. – „Miesiące i lata rozłąki nie mają władzy nad tym, co wieczne”.

– Błagam cię! – wyszeptała. – Oni sądzą, że straciłeś rozum. Ja też zaczynam tak myśleć!

Doradcy i lekarz ruszyli ku niemu, jakby trzeba go było powstrzymać. Mogli sobie darować te wysiłki. Izzy czuła, że Ransom lada chwila zdoła do niej dojść.

No i rzeczywiście – odrzucił kopnięciem krzesło stojące mu na drodze, a potem zaczął recytować następną część monologu.

– „Nie wątp w moją miłość”.

W tej chwili wszyscy rycerze i dziewczęta zaczęli deklamować tekst razem z nim. Oczywiście wszyscy go znali, nawet lepiej od niej.

Ale tylko Ransom wiedział, że ona go napisała. Że to zawsze były jej słowa. A on jej teraz je zwracał. W geście miłości, wierności… i jawnego szaleństwa.

Przycisnęła dłoń do serca. To był jej bohater. Kilka dziewcząt podbiegło pospiesznie ku niej, pomagając jej zejść ze stołu i kierując ją ku niemu, na sam środek sali.

– „Nie wątp w moją miłość – powtórzył jeszcze raz, a cały chór rycerzy za nim. – Ludzie mogą szukać sposobu, żeby nas rozdzielić, ale nawet śmierć nie zdoła tego dokonać. Bo choć przeszedłem ziemię całą dla mojego króla, ty zawsze pozostaniesz królową mego serca”.

Ukląkł na jednym kolanie i ucałował jej dłoń.

– Nie gniewaj się – szepnął, wstając. – To dzieło twojego życia, a Morganlianie są naszymi przyjaciółmi. Nie mogłem postąpić inaczej.

– Oczywiście, że się nie gniewam. – Ujęła jego twarz w dłonie. – Nie masz pojęcia, jak cię teraz kocham.

– W takim razie powiedz, że za mnie wyjdziesz. Pojadę do Londynu, żeby zrobić porządek z całym tym prawnym kramem. A potem wrócę z pierścionkiem. Wolisz diamenty czy szafiry?

– Nie chcę żadnego pierścionka, tylko ciebie.

A potem się pocałowali. Pospiesznie, ale z całego serca.

Wtedy nastąpiła ostatnia próba odebrania mu wolności.

– Wasza Wysokość, proszę się uspokoić – mówili doradcy, zbliżając się do niego. – Zaraz zabierzemy pana do Londynu, a tam zbada pana kilku znakomitych specjalistów.

Strząsnął z siebie ich ręce.

– Sam pojadę do Londynu. Nie trzeba mi żadnej opieki. No i na pewno spotkamy się jeszcze w sądzie.

– Moim zdaniem – oświadczył Havers – nie trzeba będzie chyba podejmować żadnych prawnych kroków ani badania stanu umysłu.

– Co takiego? – spytał Balylock, wskazując na rozgrywającą się właśnie przed nimi scenę. – Przecież sam pan widzi, co się tu dzieje!

– Widzę, ale zapewniam panów, że Lord Kanclerz wcale nie będzie zainteresowany tą sprawą – odparł Havers, po czym zwrócił się do Izzy: – Jak już mówiłem, panno Goodnight, jego syn jest wielkim miłośnikiem *Opowieści na dobranoc*. Ten młodzieniec w dzieciństwie spadł z konia i dlatego od tej pory przykuty jest do łóżka. Te *Opowieści* są dla niego prawdziwym błogosławieństwem.

– Przykuty do łóżka? – Izzy zaczęła się nagle czegoś domyślać. – Czy ma pan może na myśli lorda Peregrine?

– Właśnie jego – odparł Havers. – I dlatego Lord Kanclerz nie będzie nawet chciał słuchać tego wszystkiego. Czyż mógłby zamknąć przyszłego męża Izzy Goodnight w zakładzie dla obłąkanych? Nigdy by wtedy nie poznał zakończenia *Opowieści* podczas rodzinnego obiadu, a cała Anglia nie posiadałaby się z oburzenia.

Riggett zaczął desperacko wymachiwać rękami.

– Ale ci wszyscy rycerze w zbrojach, Zakon Makowy?!

– Na litość boską, panie Riggett, przecież to tylko baśniowe opowieści. Wszyscy, jak tu stoimy, rozumiemy to. – Havers wskazał ręką na Ransoma. – Proszę tylko spojrzeć na niego. Ona wcale nie jest szalony. Po prostu się zakochał!

Wargi Ransoma drgnęły w typowym dla niego półuśmiechu.

– Z tym zarzutem nie będę się spierał.

Nie było to typowe wesele. Raczej cichy ślub.

Ceremonia odbyła się we wtorek rano. Panna młoda ubrana była na czerwono, żeby pan młody mógł ją łatwo dostrzec w tłumie. Wąskie ławki wiejskiej kaplicy ledwie zdołały pomieścić rycerzy w sporządzonych amatorskim sposobem strojach i dziewczęta w średniowiecznych sukniach.

A po weselnym śniadaniu w wiejskiej oberży szczęśliwa młoda para zrezygnowała z jazdy oczekującym na nią powozem, bo wolała wrócić do zamku długim, powolnym spacerem ramię w ramię.

Gdy zbliżali się do barbakanu, Izzy spojrzała ku starej, kamiennej fortecy. Nowe szyby w oknach lśniły niczym diamenty w porannym słońcu. Ileż się zmieniło od tamtego deszczowego i ponurego popołudnia, kiedy wysiadła tu z powozu, nie mając ze sobą nic prócz gronostaja, listu lorda Archera i resztek nadziei.

Ransom zatrzymał ją, gdy weszli na dziedziniec.

Spojrzała na niego. A przez następne kilka chwil starała się oprzytomnieć. Zamek mógł teraz w jej oczach wyglądać inaczej, ale ten mężczyzn – nie. Jego chmurna, oszałamiająca męska uroda zawsze sprawiała, że uginały się pod nią kolana.

– Co się stało? – spytała. – Czy zapomnieliśmy może czegoś w oberży?

– Nic się nie stało. Po prostu chciałem to zrobić jeszcze raz.

Chwycił ją wpół i jednym szybkim ruchem uniósł w ramionach, tuląc Izzy mocno do piersi.

Ale tym razem udało się jej jakoś nie zemdleć.
Choć niewiele do tego brakowało.

Epilog

Kilka miesięcy później

Świeca niemal się dopalała w lichtarzu, gdy Ransom stanął na trzydziestym czwartym stopniu schodów.

– Izzy, jest późno. Powinnaś już pójść spać.

– Wiem.

Izzy włożyła pióro do kałamarza i wsparła się łokciem na biurku. Z westchnieniem zamknęła zmęczone oczy i potarła skronie.

Stanął za nią. Jego mocne dłonie spoczęły na jej ramionach.

– Przez ostatnie kilka tygodni pracowałaś stanowczo zbyt ciężko.

– O tym także wiem. – Wyjęła pióro z kałamarza i ponownie zaczęła coś pisać. – Przepraszam. To tylko dlatego, że bardzo chciałam skończyć kilka kolejnych odcinków przed urodzeniem się dziecka. Praca idzie mi dużo wolniej, niżbym chciała. A prócz tego wprost tonę w listach, na które trzeba odpisać.

Zaczął ugniatać kciukami mięśnie jej karku. Westchnęła głęboko.

– Co mam teraz robić? – spytał.

– Ten masaż był wspaniałym początkiem. – Pogrzebała w stosie kopert. – Czy mógłbyś mi pomóc w odpowiedzi na list lorda Peregrine?

– Jaką łamigłówkę przysłał ci tym razem?

– W gruncie rzeczy teraz nadeszła moja kolej na zadawanie zagadek, a ja nie potrafię żadnej wymyślić. – Stuknęła piórem w bibularz. – Ach, już

mam! – Zanurzyła znów pióro w kałamarzu i zaczęła pisać. – Czy wolałby pan znaleźć w swoim łóżku łasicę, czy też ośmiornicę?

Dodała te słowa do listu i odłożyła go.

– To nieuczciwe – sprzeciwił się. – On może wybierać? Ja nie miałem wyboru.

– Nie miałeś. Musiałeś mieć styczność z jedną i drugą. – Izzy z rozbawieniem wyciągnęła spod stosu listów czasopismo. – Mam tu coś, co cię rozśmieszy. Do wydawcy „Gentleman's Review" nadszedł list na mój temat.

– Przeczytaj mi go.

Izzy otworzyła pismo na zaznaczonej stronie i przeczytała na głos, naśladując wyniosły, afektowany ton:

– „Podobnie jak wielu oddanych czytelników pańskiego magazynu, ucieszyła mnie wiadomość, że ukochana córeczka całej Anglii, mała Izzy Goodnight, obecnie księżna Rothbury, chwyciła za pióro, by kontynuować opis cudownego świata, który sir Henry stworzył dla niej i dla nas. Przeczytałem pierwsze odcinki, na które czekałem z wielkim zaciekawieniem. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że nie zrobiły na mnie dobrego wrażenia".

– Impertynencki osioł! – prychnął Ransom.

– Wolno mu mieć własne zdanie. O, patrz tutaj. „Choć szybko zyskała wyższą rangę społeczną niż jej zmarły ojciec, pierwsze rozdziały świadczą niestety bardzo wyraźnie, iż Jej Wysokość nigdy nie dorówna pod względem literackim ojcu. Pisarstwo jej w porównaniu z bogactwem prozy sir Henry'ego jest blade, choć stwierdzam to z przykrością".

– Zapłaci mi za to – warknął Ransom.

– Och, tu jest jeszcze coś lepszego – powiedziała, szukając czegoś w tekście. – Dalej pisze on tak: „*Wędrówka Mrocznego Rycerza* nie jest jednak pozbawiona pewnych zalet. Z czasem, gdy księżna wydoskonali swój warsztat, zdoła się zapewne zbliżyć do poziomu ojca, co samo w sobie

może być imponującym osiągnięciem autora tak młodego, w dodatku płci żeńskiej”. Podpisano: „Wielce Szanowny Edmund Creeley z Chatton, Kent”.

Odłożyła czasopismo, śmiejąc się serdecznie.

Ransom nie śmiał się wcale. Milczał.

– No i co? – spytała. – Nie ubawiło cię to? Czemu nie odpowiadasz?

– Och, odpowiem, odpowiem. Wielce Szanowny Edmund Creeley może wziąć swoje pióro i …

Dalszy ciąg był tak niecenzuralny, że Izzy chwyciła się za brzuch, jakby chciała nienarodzonemu jeszcze dziecku zatkać uszy. Ono jednak podskoczyło wyraźnie w jej łonie.

O Boże. Chyba wda się w ojca.

Nie miałaby absolutnie nic przeciwko temu.

– My będziemy się śmiać ostatni – zapewniła męża. – Pan Creeley będzie musiał wtedy połknąć swoje słowa, jeśli nie… te inne rzeczy, które wymieniłeś. W odpowiednim czasie pozna prawdę. Jak zresztą wszyscy.

Ransom podsunął jej ten pomysł, a Izzy przyrzekła, że zastosuje się chętnie do niego. Zamierzała ujawnić swoje autorstwo i kontynuować potem pisanie, które – podobnie jak tylu innych – kochała. Chciała jednak snuć je rozważnie, z respektem dla Kresydy i Ulryka, a także przez pamięć o ojcu oraz o purpurowym baldachimie – zwłaszcza z uwagi na tych czytelników, którzy uczynili *Opowieści na dobranoc* nie tyle „prawdziwymi”, ile pełnymi znaczenia.

Dlatego właśnie, zamiast podjąć wątek tam, gdzie się on pierwotnie urywał, rozpoczęła coś nowego: *Wędrówkę Mrocznego Rycerza*.

Bez wątpienia wielu czytelników, bardziej wnikliwych niż Edmund Creeley, zacznie domyślać się prawdy. Kilku z nich napisało już nawet do niej o swoich podejrzeniach. Ale na razie Izzy wolała bawić się z nimi w kotka i myszkę.

Zamierzała podążać w ślad za Mrocznym Rycerzem aż do kulminacyjnej sceny przy parapecie. Wtedy, gdy obydwa wątki splotą się ze sobą, rycerz podniesie przyłbicę, ujawniając swoją tożsamość.

A także jej tożsamość.

Ujawnienie prawdy będzie miało nieco skandaliczny posmak. Izzy bardziej się jednak martwiła, jak Ransom się z tym pogodzi, niż własnymi uczuciami. Miała nadzieję, że odczytanie mu listu Edmunda Creeleya może stać się dla niego czymś w rodzaju oswojenia się z krytyką.

– Lepiej przygotuj się, Ransomie, na to, co nastąpi, gdy za jakiś czas ten odcinek zostanie opublikowany. Nikt wtedy nie pogłaska mnie po głowie. Z pewnością otrzymam wiele nieprzyjemnych listów.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– W porządku.

– W porządku?

– Tak. Doszedłem do wniosku, że właściwą reakcją na każdy nieprzyjemny list będą pocałunki, a chętnie zyskałbym jakąś wymówkę, żeby móc cię całować.

– Sądzę, że po tym wyjątkowo niemiłym liście zasługuję na nie jeden, ale przynajmniej na dziesięć czy dwanaście pocałunków.

– Nie przerwę całowania, póki nie doliczysz do stu. Ale to będzie później.

Zrobiła nadąsaną minę.

– Później?

– Bo teraz chcę ci coś pokazać. Mam dla ciebie niespodziankę.

Zaintrygowana Izzy zeszła z nim po krętych schodach, stąpając powoli i ostrożnie, bo punkt ciężkości jej ciała uległ ostatnio wyraźnemu przemieszczeniu.

– Jaka niespodzianka może być lepsza od stu pocałunków? – spytała, idąc za Ransomem korytarzem.

– Mam nadzieję, że właśnie ta.

Zatrzymał się przed sypialnią, którą przeznaczyli na pokój dziecinny. Otworzył drzwi.

Izzy aż klasnęła w ręce ze zdumienia.

– Już jest wykończony?

Zabroniono jej stanowczo brania udziału w pracach renowacyjnych. Ransom uznał bowiem, że zbyt wiele kurzu może jej bardzo zaszkodzić. Nie chciała się z nim spierać. Była zadowolona, że dzięki temu zakazowi może skoncentrować się na pisaniu. A także z tego, że Ransom coraz więcej starań i pieniędzy inwestował w zamek, siedzibę swoich przodków.

A ten zamek był teraz domem ich obojga.

– Robotnicy skończyli ostatnie prace po południu. – Wskazał na otwarte drzwi. – Spójrz tylko.

Izzy z uśmiechem weszła do środka.

A potem zamarła bez ruchu, zachwycona.

– Och! – wyjąkała z trudem. – Och, Ransomie!

– Tylko nie zacznij narzekać, że traktuję cię jak dziewczynkę. Wiem, że jesteś już za duża na purpurowy pokój malowany w złote gwiazdy, ale wiem również i to, że kiedyś o nim marzyłaś. Pomyślałem więc, że może zechcesz go ofiarować nie sobie, lecz naszym dzieciom.

Izzy z przejęciem przycisnęła dłoń do piersi. Pokój był wprost przepiękny. Kołyska z purpurową narzutą i mnóstwem tiulu. Dywan we wzór w kręte pędy winorośli i deseń kwiatowy. Całe rzędy półek bibliotecznych. Na suficie srebrne księżyce i złote gwiazdy. A także jedna czy dwie komety.

Niektóre z tych ciał niebieskich namalowano mniej precyzyjnie od innych. Były niezupełnie równe i miejscami nieco zamazane. Nie zgadzało się to z wysokim poziomem wykonania, jakiego Ransom wymagał od rzemieślników.

Izzy domyśliła się jednak, jak można wyjaśnić te niedociągnięcia w rysunku gwiazd.

Musiały to być te, które namalował własnoręcznie.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Czemu nic nie mówisz?

– Bo oniemiałam. Czasami nawet pisarz nie potrafi znaleźć właściwych słów z wielkiego wrażenia. – Starła łzę z policzka i objęła go tak mocno, jak pozwoliło jej na to zaokrąglone łono. – Dziękuję ci. Kocham cię. To najwspanialszy prezent, jaki mogłam sobie wymarzyć.

A naprawdę był to prezent, o jakim marzyła przez całe życie. Teraz się urzeczywistnił. Mogli ten iście magiczny pokój we własnym zamku podarować swoim dzieciom. A co ważniejsze, mogli podarować im miłość. I poczucie bezpieczeństwa.

A także opowieści. Całe noce opowieści.

To było prawdziwe zakończenie baśni. Ransom obiecał jej, że „będą żyli długo” już wtedy, gdy postanowili się pobrać. Ten pokój dopowiadał ostatnie słowa: „i szczęśliwie”.

A najwspanialsze ze wszystkiego było to, że jeszcze wiele lat dzieliło ich od słowa „Koniec”.

Podziękowania

Jestem niesłychanie wdzięczna Katie Dunneback i Rachel Kelly za ich pomoc w zbieraniu materiałów dotyczących upośledzenia wzroku i związanych z tym procesów adaptacyjnych. Wszystkie ewentualne błędy mogły tu powstać wyłącznie z mojej winy.

Serdecznie dziękuję bliskim i przyjaciołom, jak również życzliwym pracownikom wydawnictwa HarperCollins za ich wyrozumiałość podczas pisania przeze mnie tej książki. Bren, Courtney, Carey, Leigh, Laura, Susan i Kara zasługują na to w równym stopniu, jak mnóstwo innych, których nie wymieniłam z nazwiska. Ile razy ratowaliście mnie na wszelkie możliwe sposoby! Kocham was wszystkich.

A wreszcie wyrazy wdzięczności i miłości należą się mojemu mężowi – jakie to wspaniałe, że możemy się razem starzeć, połączeni na dobre i na złe.

Przypisy

[1] Londyński szpital dla obłąkanych.